

*Bratu Luke'owi Armourowi*

PODZIĘKOWANIA

Wyrazy miłości i uznania dla Audrey i Roberta Loggia.

Wdzięczna jestem E. J. McAdamsowi, dyrektorowi New York City Audubon i byłemu strażnikowi parkowemu za zapoznanie mnie z sowami w Central Parku i ludźmi, którzy się nimi opiekują.

Serdeczne dzięki dla Karen Ziembra.

Za wsparcie dziękuję następującym osobom: Juanowi Figueroa, Anthony'emu Lopezowi, Raulowi Salazarowi, Sixto Cruzowi, Jerry'emu de Jesus i Emilowi Estradą.

Wyrazy podziwu przekazuję Mii Onorato i pracownikom BDG za ich niekończące się poszukiwania.

Z najlepszymi życzeniami dla Cirilla, członka tego samego zespołu, nadzwyczajnego fotografa i doskonałego partnera na wspólne wypadki do kina.

Wyrazy miłości i wdzięczności zechcą przyjąć następujące osoby: Irwyn Applebaum, Nita Taublib, Tracy Devine, Kerri Buckley, Barb Burg, Susan Corcoran, Betsy Hulsebosch, Carolyn Schwartz, Cynthia Lasky, Jim Plumeri, Anna Forgione, Virginia Norey i cały personel Bantam Books.

Składam podziękowanie Robertowi G. Steele'owi za piękną obwolutę tej i innych moich książek.

Susan, Mowgli i Sugar Ray znają całą prawdę i jestem im za to nieskończenie wdzięczna.

Maggie, May i Maisie opiekują się Chelsea, sobą wzajemnie i mną ...

Wdzięczna jestem wszystkim, którzy uczą mnie patrzeć poza świat dostępny naszym oczom w poszukiwaniu rzeczy, które zobaczyć możemy sercem ... zwłaszcza Leslie i świętej pamięci ojcu Williamowi "Ripowi" Collinsowi, C.Ss.R.

1

Przez lato drzewa urosły wysokie i bujne, korzeniami zapuszczając się głęboko w bogatą glebę wyspy, konarami tęsknie sięgając ku złotemu słońcu. Wiejący ze wschodu słony wiatr pomalował igły na srebrno. Każdy wiedział, że najlepsze bożonarodzeniowe choinki pochodzą z północy, a zwłaszcza z Nowej Szkocji, gdzie gwiazdy wiszą nisko nad ziemią. Mówiono, że ich światło osadza się na gałęziach, że północne zorze nasycają igły magią. Drzewa z Nowej Szkocji były silne dzięki morzu i świetliste dzięki gwiazdom.

Nad Pleasant Bay na Cape Breton, w odległym zakątku na północy Nowej Szkocji, znajdowała się hodowla choinek, której właścicielem był Christopher Byrne. Kiedy był dzieckiem, jego rodzina wyemigrowała do Kanady z Irlandii; odpowiedzieli na ogłoszenie poszukujące pracowników do hodowli choinek. To była straszliwie ciężka praca, rodzina przymierała głodem i Christy pamiętał, że chodził spać z boleśnie ściśniętym żołądkiem.

Jako dwunastolatek miał już metr osiemdziesiąt wzrostu, rósł za szybko jak na finansowe możliwości rodziny i matka często rezygnowała z własnych porcji, żeby najstarszy syn miał dość jedzenia. Potrzebował tego, by stawić czoło żywiołom. Bo na północy wiały porywiste wiatry, spadały arktyczne śniegi, letni skwar wywoływał pożary, a Christy musiał przez cały czas pracować. Matka biciem w dzwon przywoływała ich na obiad. Uwielbiał jego dźwięk, bo nieważne, jak mało mieli, matka zawsze robiła co w jej mocy, żeby Christy dostawał nadmiar miłości i niemal dość do jedzenia.

Głód sprawił, że Christy Byrne pracował jak szalony i ze wszystkich sił dążył do osiągnięcia sukcesu. Zbierał ziarnko do ziarnka, aż wreszcie kupił ziemię, a potem wykorzystując przekazane mu przez ojca umiejętności i intuicję, sadił drzewa i walczył z surową naturą. Dzięki miłości i wielkoduszności matki stał się porządnym człowiekiem i dobrym ojcem. Wiedział, że jest dobrym ojcem, w tej kwestii nie mogło być cienia wątpliwości, w jego sercu uczucie do dzieci płonęło jasnym płomieniem. I dlatego gdy w tym roku ścinał drzewa na zboczu góry, przygotowując się do wyprawy na południe, targały nim sprzeczne emocje, wielka nadzieja mieszała się z zamętem w myślach.

Co roku pierwszego grudnia Christy jechał do Nowego Jorku. Na połyskliwą wyspę Manhattanu podążały hordy sprzedawców drzewek z nizin Winnipeg, zaśnieżonych lasów na północ od Toronto i wschód od Quebecu, zielonych kniej Vermontu i Maine, znad jezior Wisconsin, samotnych półwyspów Michigan. Wieźli towar na platformach przez wspaniałe udekorowane mosty łączące rzeki East i Hudson, a potem rozładowywali go na rogach ulic od Małej Italii do Gramercy Park, od Tribeca do Morningside Heights i liczyli, że przez miesiąc

zarobią tyle, by wystarczyło im na cały rok.

Hodowcy drzew to niechlujny ludek. Ich umundurowaniem były spodnie z drelichu i ocieplane dżinsowe kurtki. Niektórzy przyjeżdżali w przyczepach kempingowych, parkowali przy krawężnikach i cały grudzień kulili się z zimna, bo choć z rur wydechowych leciały chmury dwutlenku węgla, ciepła niewiele to dawało. Czasami na dachach pysznił się oświetlony święty Mikołaj albo bałwan.

W sprzedaży bożonarodzeniowych choinek Christy nie miał sobie równych. Z początku zawsze jeździł sam. Na rogu ulicy w Chelsea rozkładał stoisko udekorowane białymi lampkami, które podkreślały barwę posypanych solą igieł, i wykorzystywał swój irlandzki dar krasomówstwa do sprzedania wszystkich drzew, tak by na Wigilię wrócić do domu obładowanym cukierkami, orzechami, czekoladami i serami z najlepszych sklepów na Manhattanie, złotowłosymi lalkami, ołowianymi żołnierzkami, łyżwami i sankami dla Bridget i Danny'ego, swetrami z miękkiej czerwonej wełny i pięknymi jedwabnymi szlafroczkami dla Mary. Bo i dlaczego nie wydać części zysku na rodzinę? Przecież sporo zarobił na nowojorczykach.

Po powrocie do domu opowiadał o swych dokonaniach rodzinie, opowiadał Danny'emu, żeby chłopiec wiedział, co go czeka.

- Ty i ja będziemy partnerami - oznajmił mu pewnego dnia Christy. - Jak dorośniesz, dostaniesz na własność połowę farmy. Ucz się pilnie, synku. Rolnictwo to skomplikowana sprawa. Musisz być naukowcem, znać się na zmianach pogody, kwaśności gleby, robakach.

- Mówisz, że do tego potrzebna wiedza książkowa? - roześmiała się Mary.

Christy nie okazał, że go tym zraniła, zresztą nigdy nie doceniała umiejętności niezbędnych w pracy na roli. Jej ojciec, który miał za sobą dwa lata college'u w Halifaksie, pracował w głównym biurze firmy handlującej homarami i Christy wiedział, że Mary podobne plany ma wobec syna.

- Wiedzę i intuicję - odparł Christy świadom, że Danny słucha uważnie; pragnął, by malec był dumny ze swych hodujących drzewa przodków. - Uprawa ziemi wymaga od nas najlepszych cech! Kiedy sprawiasz, że choinki wyrastają tylko dzięki słońcu i ziemi, to jest magia.

- I dzięki opadom atmosferycznym - dodał Danny. - Umiarkowanym deszczom i frontom zokludowanym.

Christy roześmiał się czule, słysząc te uczone słowa i widząc poważne spojrzenie chłopca.

Ale odkąd cztery lata temu Mary umarła na atak serca, musiał zabierać dzieci do Nowego Jorku. Danny miał wtedy lat czternaście, Bridget osiem. Szkoła dała im pozwolenie oraz wyznaczyła lekcje do odrobienia w czasie, gdy ojciec handlował. Danny'emu oczy o mało nie wyskoczyły z orbit, kiedy po raz pierwszy zobaczył miasto: wieże, mosty, eleganckie sklepy ...

- To jest Nowy Jork? - zapytał zauroczony podczas tej pierwszej wizyty. - Jest taki ... wielki, tato! Jak las budynków, cały oświetlony.

- Tylko niech ci nie przysłoni domu - ostrzegł Christy.

- Nigdy, tatusiu.

Tak więc Christy wynajął dwa pokoje w pensjonacie pani Quinn na Dziewiątej Alei, skąd mógł mieć oko na stoisko, wielki pokój dla siebie i syna, mniejszy dla Bridget: stać go było na to, ponieważ jego srebrzyste świerki, daglezie i sosny były najlepsze, zawsze też potrafił skłonić bogatych nowojorczyków, żeby zapłacili mu o połowę więcej niż handlarzom na innych ulicach. Drzewa wiązał solidnym łańcuchem w ochronie przed złodziejami, zresztą spał z jednym oknem otwartym. Po mieszcuchach spodziewał się wszystkiego, biedni kradli wszystko, majętni korzystali z każdej okazji, by coś mieć za darmo.

- W ten sposób bogaci stają się jeszcze bogatsi - mawiał.

Mary besztła go za to cyniczne nastawienie wobec bogatych mieszkańców Manhattanu.

- Christy, dzięki nim cały rok spokojnie żyjemy.

Oni spłacają naszą hipotekę i zapłacą za college, o ile w ogóle wypuścisz Danny'ego z domu. Więc nie wygaduj o nich takich rzeczy!

- Ach, mają pieniądze, ale nawet nie zwracają uwagi na powietrze, którym oddychają - odparł Christy, ignorując przytyk żony. - Śnieg widzą tylko wtedy, kiedy narzekają, że zniszczył im kosztowne buty. Przed wiatrem zaraz uciekają, nie chcą czuć na skórze jego ukłuć, dzięki którym człowiek wie, że żyje.

- Ale to ci nie przeszkadza, kiedy bierzesz od nich dolary.

- Nie przeszkadza - śmiał się Christy. - Wierz mi, tyle ich mają, że nie zauważą braku. Gdybym podwoił ceny, pewnie sprzedałbym wszystko dwa razy szybciej. Bogaci uwielbiają wydawać pieniądze, a jeśli jakaś rzecz słono ich kosztuje, mają powód do dumy.

- Jesteś okropny, Christy - kręciła głową Mary. - Handlowanie bożonarodzeniowymi drzewkami z takim nastawieniem to grzech, naprawdę. Wpadniesz przez to w kłopoty, zapamiętaj moje słowa.

Jej rodzina żyła dostatnio, Mary nigdy nie kładła się spać głodna. Co ona wie? pytał siebie podczas krótkiego urokliwego lata, kiedy chodził brzegami lodowatych, kryształowo czystych strumieni, czując na twarzy letni wiatr i kiedy przycinał drzewka, by nadać im kształt świątecznych choinek, obliczając zyski, jakie przyniosą w grudniu.

Słuchając w tym roku ryczących jak demony pił elektrycznych, które rozrzucały kawałki drewna w piekielnym akcie destrukcji natury, Christy wiedział, że Mary miała rację. Ubiegłej zimy Manhattan wziął najwyższą możliwą cenę za wszystkie te pieniądze, które dał mu przez lata - odsetki za zarobki, za jego chciwość, jak nazywała to Mary, urosły do wielkości niewyobrażalnej: Nowy Jork odebrał Christy'emu jedyne go syna.

Miejskie światła, które Danny oglądał przez trzy lata, dla nastolatka okazały się pokusą nie do odparcia. Zeszłej zimy Danny powiedział ojcu, że nie wraca z nim i Bridget do domu w Nowej Szkocji. Zostanie w Nowym Jorku, poszuka pracy, znajdzie swoją drogę.

- Co to znaczy: "znajdziesz swoją drogę"? - zapytał Christy.

- Nie chcę o tym rozmawiać! Zresztą i tak nie zrozumiesz! Po prostu pozwól mi, tato,

- Zostać w Nowym Jorku? Oszalałeś, Danny? Pomiędzy ojcem a synem zapanowało straszliwe napięcie. Christy złapał Danny'ego za rękaw, ten się odsunął, dosłownie wyszarpnął rękę. Wtedy Christy chwycił go mocniej.

- Nie ma o czym mówić - oznajmił Danny.

- Nigdy nie było. Farma to twoje życie, tato. Ja też mam coś, co chcę robić. To moje marzenie. I muszę je realizować! Ty mnie uczyłeś, żeby nie marnować czasu na gadanie, kiedy jest praca do zrobienia.

Danny mówił poważnie i miał rację: Christy rzeczywiście go tego uczył. Gadanie zajmuje o wiele za dużo czasu, kiedy trzeba zająć się drzewami. Naturalnie Danny nie miał pojęcia, że Christy wzdraga się przed mówieniem. Obawiał się, że dzieci zaczną zadawać mu pytania, na które nie zna odpowiedzi, że powie im o rzeczach, które nazbyt go wzruszą. Jego miłość do dzieci wykraczała poza słowa.

Teraz Danny wpatrywał się w ojca zdecydowanymi oczami marzyciela. Christy był przerażony, zraniony do głębi. Jak jego syn mógł snuć plany związane z Nowym Jorkiem, a on, ojciec, nic o tym nie wiedział? W głębi duszy zdawał sobie sprawę, że sam ponosi za to winę, nigdy nie należał do dobrych słuchaczy. Ważniejsze jednak było to, czy może zostawić syna w takim miejscu? Nie, to wykluczone. Christy złapał mocniej. Danny się uwolnił.

Pierwsze starcie ojca i syna.

Pobili się na ulicy, Christy w czasie szamotaniny z synem podarł mu kurtkę, nową puchową kurtkę, którą kupił na początku zimy. W obłoku fruujących piór Danny przypadkiem uderzył ojca łokciem w nos. Krew się lała, podczas gdy Christy usiłował przytrzymać chłopca - gdyby tylko mógł z nim porozmawiać, przemówiłby mu do rozsądku. Walczyli ze sobą do wtóru krzyków Bridget, która błagała obu, żeby przestali.

Wezwano policję. Z rykiem syren nadjechały policyjne wozy. Podczas bójki spadły białe lampki z kramu i leżały teraz, oświetlając splamiony krwią śnieg. Policjant złapał Christy'ego i skuł mu ręce na plecach, a Danny wykorzystał okazję i uciekł.

Christy po raz ostatni widział syna, jak w niebieskiej poświacie policyjnych kogutów przepycha się przez tłum gapiów. Z kurtki niczym śnieg sypał się biały gęsi puch. - Jest strasznie zimno - powiedział Christy do oficera zapisującego jego dane na posterunku. - Zgłodnieje i przemarznie w rozdartej kurtce.

- Oto prawdziwy nastrój świąteczny. Może powinien być pan pomyśleć o tym, zanim go pan pobije - odparł gliniarz. Nazywał się Rip Collins.

Duma nie pozwoliła Christy'emu zaprotestować, wyznać policjantowi swoje prawdziwe odczucia i przerażenie. A cóż ten policjant wiedział? Co wiedział ktokolwiek z tego brutalnego, oślepiającego, połyskliwego miasta pełnego sztucznych świateł, świątyń chciwości i ludzi, których tak łatwo da się skłonić do zapłacenia fortuny za zwykłą sosnę?

Zwolniony za kaucją, którą sam wpłacił, Christy opuścił posterunek. Idąc do pensjonatu, czuł, jak krew szumi mu w żyłach; wbrew rozsądkowi wierzył, że zastanie tam Danny'ego. Ale była tylko Bridget, która siedziała na łóżku z buzią mokrą od łez.

Christy spakował się i z ciężkim sercem wrócił do Kanady. Na marzec wyznaczono rozprawę, ale Collins poinformował zastępcę prokuratora o tym, co naprawdę się wydarzyło, a ponieważ mimo wysiłków policji Danny'ego nie odnaleziono, oskarżenie przeciwko Christy'emu zostało wycofane. Zamiast ulgi czuł jednak

straszliwe przygnębienie. Dla policji i sądownictwa nowojorskiego jego rodzina stała się kolejną pozycją w statystyce przemocy domowej, a jego syn następnym dzieckiem ulicy.

Od tamtej bójk minął rok; teraz oboje z Bridget gotowi byli do wyjazdu do Nowego Jorku. Danny przysłał tylko jedną widokówkę z mostem Brooklińskim, ale nie napisał, gdzie mieszka i jak sobie radzi, skreślił tylko kilk~ butnych słów: "Jest super, nie martwcie się o mnie".

Zadnej wzmianki o tęsknocie za ojcem i siostrą czy trzydziestu akrami drzew iglastych na krańcu świata. Chłopiec pochodził z magicznej północnej krainy zamieszkaanej przez orły, niedźwiedzie, lisy i wielkie puchacze. Zostawił ją dla miejskich jaskiń Nowego Jorku zaludnionych przez graczy i kanciarzy. Christy namiętnie nienawidził tego miasta, nigdy więcej nie chciał tam się znaleźć.

Wiedział jednak, że musi. Musi ustawić drzewa na rogu tej samej ulicy, zawiesić białe światła, by kryształki soli zabłyśły na igłach i zwabiły klientów, musi przywołać uśmiech i cały swój urok, musi sprzedać wszystkie choinki i pieniądze wpłacić do banku. Przede wszystkim jednak musi być w tym samym miejscu co zawsze, żeby Danny wiedział, gdzie go znaleźć.

- Chodź, Bridget! - zawołał. Dziewczynka pojawiła się u szczytu schodów, wlokąc kolejną walizę: - Co to jest?

- Moje rzeczy, tato.

- Twoje rzeczy są w ciężarówce, Bridget! Wyjeżdżamy tylko na parę tygodni. Co tam masz?

- Stroje na przyjęcia, tatusiu. - Jej zielone oczy błyszczały.

Christy zapatrzył się na córkę. Miała już prawie trzynaście lat, była młodą damą. Sama zakreśliła swoje śliczne brązowe włosy i związała je ciemnoczerwoną aksamitną wstążką, którą gdzieś znalazła. Do diabła, ona przypuszcza, że stroje wizytowe na coś jej się przydadzą? Przecież Christy będzie przez cały dzień pracował, dopóki nie sprzeda wszystkich choinek.

- Bridget... - zaczął.

- Spotkamy Danny'ego i zabierzemy go gdzieś, żeby to uczcić.

- Zostaw walizkę w domu. Bądź grzeczną dziewczynką i ruszajmy już.

- W telewizji widziałam program o Nowym Jorku, tatusiu - powiedziała, z wysiłkiem ciągnąc walizę po schodach. - Eleganckie miejsca, w których nigdy nie byliśmy. Danny'emu bardzo się spodobała, to pałace, tatusiu! Całe z kryształu i złota, z choinkami wyższymi niż naj starsze drzewa na naszej górze, ozdobionymi wstęgami i maleńkimi lampkami. Jak w bajce, naprawdę! W takich miejscach dziewczynki jedzą podwieczorek z ojcami, a chłopcy mają garnitury i krawaty. Wszyscy są szczęśliwi i wspólnie świętują, tato.

- Nie tak obchodzimy te święta - odparł Christy ponuro.

- Ale musimy zrobić coś wyjątkowego, kiedy Danny do nas wróci!

- Wsiadaj do auta, Bridget. - Christy zamasyżyście wskazał drzwi. Córka minęła go zgarbiona pod ciężarem walizy. Z ociąganiem wziął ją od niej i włożył za siedzenie. Ruszyli.

Christy ogrzał kabinę dla córki, choć nie przypuszczał, by to zauważyła. I to jest w porządku, mówił sobie. Wiedział, że dobrze wywiązuje się z obowiązków ojca rodziny, bo dzieci nigdy się nie skarżyły, że jest im zimno albo że żołądek boli je z głodu; swoje wygody uważały za pewnik, a tak właśnie powinny zachowywać się dzieci. Przysiągł sobie, że nie będzie próbował zmuszać Danny'ego do powrotu.

Musi się tylko upewnić, że syn nie przymiera głodem. I dowiedzieć się, czy zbliżył się do realizacji swojego "marzenia". Patrząc ze zbocza swojej góry na morze, Christy zadawał sobie pytanie, czy jakiegokolwiek marzenie może być lepsze od tego, przecież ta ziemia należy do Danny'ego i Bridget. Gdyby zdołał osiedlać wiatr i pojąć słońce, zrobiłby to. I oddał dzieciom.

- Zobaczmy się z Dannyem, tato - powiedziała Bridget z mocą. - Powinieneś być szczęśliwy.

Jego twarz ściągnięta była w posępnym grymasie.

Próbował rozluźnić mięśnie, żeby nie smucić córki, ale serce rozdzierał mu ból. Im bardziej usiłował wyglądać na spokojnego, im większe budziły się w nim nadzieje, tym dotkliwiej cierpiał - bo przecież Danny przysłał tylko jedną widokówkę.

Na końcu drogi czekała załadowana choinkami osiemnastokołowa ciężarówka, z rury wydechowej wyrzucając ogromne chmury dymu, które unosiły się w zimnym powietrzu nad Zatoką Świętego Wawrzyńca. Kiedy kierowca zobaczył pikap Christy'ego, nacisnął klakson.

Christy ustawił się za ciężarówką i tak rozpoczęli dwuniową podróż do Nowego Jorku.

## 2

Co roku okres świąteczny rozpoczynał się wcześniej. Kiedyś znaczyło go Święto Dziękczynienia -

następnego dnia Manhattan zaczynał stroić się na Boże Narodzenie. A teraz ta granica przesunęła się na październik, rozmyślała Catherine Tierney, chociaż stoiska warzywne są wtedy wciąż pełne dyń, a półki w sklepach spożywczych uginają się od słodczy na Halloween. Miasto wkładało najlepszy zimowy strój, Catherine natomiast codziennie czuła coraz większy ciężar na sercu.

Przez cały listopad oglądała, jak w witrynach sklepowych pojawiają się maleńkie migające lampki. Przed domami towarowymi stali z dzwonekami święci Mikołajowie, którym do żelaznych garnków przechodnie wrzucali datki. Przed Saksem na Piątej Alei orkiestry Armii Zbawienia grały "Cichą noc" i "God Rest Ye Merry, Gentlemen" zauroczonej widowni, która gromadziła się przed sławnymi z dekoracji świątecznych witrynami. Przepychając się przez tłum, Catherine zachowywała obojętną minę, by nikt nie mógł zobaczyć, jaki wpływ mają na nią kolędy.

W pierwszym tygodniu grudnia okres świąteczny był już w pełni. Hotele zapełniali ludzie, których do miasta sprowadziły zakupy albo wydarzenia kulturalne: "Dziadek do orzechów" w inscenizacji City Ballet, program bożonarodzeniowy w Radio City, "Mesjasz" Haendla i naturalnie choinka w Rockefeller Center. Ulicą jechał sznur żółtych taksówek, do metra płynęli strumieniem ludzie.

Catherine Tierney pracowała jako bibliotekarka w prywatnej bibliotece należącej do Rheinbeck Corporation. Rheinbeckowie dorobili się fortuny w bankowości, a teraz powiększali ją handlem nieruchomościami; byli też filantropami wspierającymi edukację i sztukę. Biblioteka znajdowała się na pięćdziesiątym czwartym piętrze wieżowca korporacji, który stał przy zbiegu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, dokładnie naprzeciwko Grand Army Plaza w Central Parku.

Rheinbeck Tower był gotycki w stylu, z łukowymi oknami, pinaklami, przyporami, kwiatonami i gargulcami, wznosząc się sześćdziesiąt pięter w górę do ozdobnego szczytu. Ze wszystkich biur oraz z biblioteki Catherine rozciągał się zadziwiający widok na park: osiemset czterdzieści trzy akry zielonego raj w samym środku miasta.

Przez cały rok paryskim wzorem fasada oświetlona była na złoto, na okres bożonarodzeniowy lampy zmieniano na czerwone i zielone. W nie zwykłym holu o beczkowym sklepieniu pyszniła się potężna choinka zawieszona wielobarwnymi bombkami i lampkami. Mozaiki w stylu bizantyjskim połyskiwały niczym prawdziwe złoto, malowaną galerię na piętrze zdobiły girlandy z wieczniezielonych roślin.

W porze lunchu w holu kolędy śpiewały chóry, co- . dziennie z innej szkoły. Kiedy tego popołudnia Catherine wróciła do pracy z kanapką, przystanęła, żeby posłuchać. Dziecięce głosy były czyste i słodkie.

Mała dziewczynka w ostatnim rzędzie wyróżniała się z grupy. Z odrzuconą do tyłu głową ozdobioną długimi brązowymi warkoczami śpiewała, ile sił w płucach, niemiłosiernie przy tym fałszując. Dyrygentka rzuciła jej lodowate spojrzenie i dała dłonią znak; nagle dziewczynka zamilkła, w jej szeroko otwartych oczach załśniły łzy upokorzenia. Na ten widok Catherine poczuła, jak ścisną jej się żołądek. Nie mogła dłużej na to patrzeć, musiała pobiec schodami na górę, żeby się nie wtrącić i nie powiedzieć małej, by dalej śpiewała, nie zbesztać dyrygentki za to, że zdusiła ducha swojej podopiecznej. Tak postąpiłby Brian. Wyraz malujący się w oczach dziewczynki towarzyszył Catherine przez cały dzień. Od "Joy to the World" do szoku wywołanego naganą. Catherine czuła jej wstyd i przez resztę dnia z trudem koncentrowała się na pracy: szukaniu w archiwach materiałów o kamiennych aniołach i gargulcach w budynkach na Manhattanie. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie będzie mogła pójść do domu.

O wpół do szóstej zamknęła bibliotekę i ruszyła na stację metra. Mieszkała w Chelsea. Położona na zachód od Szóstej Alei, pomiędzy Czternastą a Dwudziestą Trzecią Ulicą, ta część miasta odznaczała się własną osobowością. Ósma Aleja tryskała radością, okna sklepów i restauracji udekorowane były wieńcami z czerwonych papryczek, Mikołajem w saniach zaprzężonych w osiem flamingów, świecami w kształcie Grincha i Betty Lou Who ... Boczne uliczki przywodziły na myśl wiek dziewiętnasty, domy w stylu włoskiego i greckiego neoklasycyzmu oddziały od chodników ogrodzone dziedzińce z bogato zdobionymi kutymi bramami i replikami lamp gazowych.

Niektórzy mieszkańcy dekorowali swoje domy na święta tak, jakby Chelsea wciąż było częścią posiadłości Clementa Clarke'a Moore'a, autora "Wizyty świętego Mikołaja": angielskim ostrokrzewem, wawrzynem i łańcuchami uplecionymi z wieczniezielonych roślin, czerwonymi wstążkami, złotymi i srebrnymi bombkami. Całość odznaczała się wielką dyskrecją i jeśli ktoś nie chciał tego widzieć, to po prostu nie musiał.

Catherine odetchnęła z ulgą, gdy wysiadła z pociągu u zbiegu Dwudziestej Trzeciej i Ósmej. Budynki były tu niskie, widziała niebo. Kryształowo czyste, zimne i suche powietrze raniło płuca. Gdy Zachodnią Dwudziestą Drugą śpieszyła do domu, kolana i palce u nóg jej przemarzły w stylowych botkach i krótkim

plaszczu z czarnej wełny.

Przy Dziewiątej Alei skręciła na południe. Człowiek od choinek znowu przyjechał; kiedy go zobaczyła, stanęła jak wryta czując, że serce jej wali jak galopujące konie. Przez sekundę zastanawiała się, czyby nie przejść na drugą stronę, żeby nie musieć spojrzeć mu w oczy.

W zeszłym roku była świadkiem jego bójkę z synem, wąpiła więc, czy kiedykolwiek tu wróci. Ale był, rozkładał sosny i świerki, przez co na chodniku unosił się zapach jak w górskim lesie. Drzewa zajmowały jedną czwartą przecznicy, przy której mieściły się niewielkie sklepy: antykwariat, salony dwóch awangardowych projektantów mody, nowa piekarnia, kwaciarnia i "Chez".

Wpadłszy na błyskotliwy i dziwaczny pomysł możliwy do realizacji jedynie w Chelsea, Lizzie sprzedawała robione przez siebie kapelusze razem z trudno dostępnymi na rynku tomikami poezji oraz staroświeckimi serwisami do herbaty. Kiedy była w nastroju, zastawiała mahoniowy stół porcelaną Spode'a i Wedgwooda i każdego, kto wchodził, częstowała aromatycznym naparem. Catherine tak się zdenerwowała widokiem handlarza drzewek, że skręciła do sklepu Lizzie, żeby u niej znaleźć schronienie. W sklepie paliły się lampy z jedwabnymi abażurami, ale drzwi były zamknięte.

- Dzisiaj zamknęła wcześniej i wyszła z małą - powiedział handlarz, opierając się o prowizoryczny regał z surowego drewna, na którym leżały wieńce, girlandy i gałązki. - Wyglądała pięknie w kapeluszu z czarnego aksamitu z pawim piórkami, więc ją zapytałem, czy idzie do opery. A może do Irish Repertory Theater? - Kiwnął głową w kierunku Dwudziestej Drugiej, przy której znajdował się teatr.

- Hmm - mruknęła Catherine. Dłonie w rękawiczkach miała wilgotne i pragnęła jak najszybciej umknąć.

- Odpowiedziała, że idzie na "bankiet".

Catherine ukryła uśmiech. To było w stylu Lizzie. - Myślę, że gdyby tu była, powiedziałałaby pani -

handlarz przytupywał, żeby rozgrzać stopy, słowa wy-

powiadane z irlandzkim akcentem opuszczały jego usta w kłębach pary - że powinna pani ode mnie kupić śliczną choinkę prosto z Nowej Szkocji. I wieniec na drzwi. Widuję panią codziennie i wygląda mi pani na osobę, której spodobałby się biały świerk. ...

Mężczyzna był wysoki, jego szerokie ramiona okrywała kurtka z surowego płótna. Włosy miał jasnobrązowe, ale nawet pomimo mroku Catherine widziała, że od ubiegłego roku posiwiiał. Ogrzewał dłonie nad naftowym grzejnikiem. Kiedy zrobił krok ku Catherine, ta pamiętając zeszłoroczny incydent, gwałtownie się cofnęła.

- Nie chcę białego świerka.

- Nie? To może srebrzysty ...

- Ani żadnego innego drzewka. - Od sceny w holu bolała ją głowa i marzyła o tym, by wreszcie znaleźć się w domu.

- Niech pani tylko popatrzy na te igły. - Przesunął gołą dłonią po gałęzi. - Są świeże jak w dniu, kiedy drzewa zostały ścięte, nie spadną prędko. I widzi pani, jak połyskują? To solna mgiełka z Cape Breton ... wie pani, mówi się, że gałęzie łapią światło gwiazd i ...

Urwał w połowie zdania, jakby zapomniał dalszego ciągu albo stracił serce do przekonywania jej. W przeszłości Catherine zauważyła, że podczas rozmów z klientami jego błękitne oczy połyskują, dziś wieczorem jednak były matowe jak zeszłotygodniowy śnieg. Chwilę odzajemniał jej spojrzenie, potem spuścił wzrok na ziemię. Serce jej waliło, choć minę miała neutralną, tak by nie mógł odczytać jej myśli.

- Nie, dziękuję panu - powiedziała.

Idąc do domu, czuła się podwójnie nieprzyjemnie.

Wciąż przygnębiała ją scena z małą chórzystką, a teraz jeszcze okazało się, że handlarz drzewkami będzie w sąsiedztwie jej domu aż do Wigilii, przez co musi chyba zmienić zwykłą trasę. Ciekawe, czy w tym roku przyjechała z nim córka? Catherine miała tylko nadzieję, że jego syn przebywa w ciepłym miejscu, sama czuła, jak w nos i opuszki palców kłują ją igielki mrozu. Od Hudsonu wiał grudniowy wiatr, a kiedy skręciła w Zachodnią Dwudziestą, zobaczyła obłoczki pary wokół gazowych lamp przy Cushman Row.

Pomimo przenikliwego zimna przystanęła, by popatrzeć na półcień wokół migoczącej lampy. Kula światła powstała pewnie dzięki wilgoci przynieszonej od rzeki i zapowiadającej burzejak pierścień wokół księżyca. Przypominała jej ducha. To dobry znak, pomyślała z nadzieją, zaciskając w pięści przemarznięte dłonie i ruszając dalej.

W Boże Narodzenie w Chelsea pojawiały się duchy. A przynajmniej w jednej sali ratusza usytuowanego w samym środku Cushman Row. Podobnie jak sąsiednie ceglane domy w stylu greckiego neoklasycyzmu z wysokimi schodami z brunatnego piaskowca, dziedzińcami wielkości kieszeni i ozdobnymi żeliwnymi balustradami, także dom, w którym mieszkała Catherine, zbudowany został w 1840 roku przez don Alonza

Cushmana, przyjaciela Clementa Clarka Moore'a.

Catherine przystanąła z dłonią na balustradzie i spojrzała na ceglana trzypiętrową kamienicę z małymi oknami mansardowymi. Łączone ołowiem szybki otoczone gipsowymi wieńcami z wawrzynu, które odbijały niebo, stanowiły naj śliczniejszy, najbardziej uroczy element całego budynku. Przechodnie często się zatrzymywali, żeby popatrzeć na te tajemnicze okna.

Ludzie zawsze czynią założenia na temat życia innych. Catherine myślała o mijających dom obcych, którzy wyobrażają sobie jego szczęśliwych lokatorów. Może spoglądają na ładny dom i oczyma wyobraźni widzą eleganckie proszone kolacje. Może przypuszczają, że jest własnością pary ze wspaniałymi dziećmi, których pokój znajduje się na strychu, za tymi małymi, otoczonymi wieńcami okienkami.

I dlaczego nie mieliby sobie wyobrażać takich rzeczy? Catherine kiedyś też tak robiła. Nie odrywając wzroku od okienek, poczuła, jak po kręgosłupie przebiega jej zimny dreszcz. Sparaliżował ją niczym porażenie prądem, nie pozwolił poruszyć się ani oderwać spojrzenia. Dzisiaj wieczorem również na ulicy były duchy. Zamknęła oczy, próbując wyczuć tego, którego kochała, błagając, by odwiedził ją tej nocy w mansardzie.

Znowu nadeszła pora Bożego Narodzenia. Grudzień, niegdyś źródło radości i zabawy, teraz stał się czasem smutku i bólu, Catherine wcale go nie świętowała. Przynosił wyłącznie smutne wspomnienia, toteż pragnęła, by jak najszybciej minęło to szaleństwo. ,

Otrząsając się z tych myśli, pobiegła po schodach.

Dokładnie zamknęła za sobą drzwi i pośpiesznie wskoczywszy do łóżka, naciągnęła pościel na głowę.

Kilka przecnic dalej Lizzie Donnelly stała przy stole z jedzeniem, ubrana w pelerynę z ciemnoczerwonego brokatu i czarny aksamitny kapelusz. Para unosząca się z potraw osiadała na jej pstrokatych okularach. Ciągle musiała je zdejmować i dawać do wytarcia swojej dziewięcioletniej córce Lucy, żeby na pewno nikomu nie dać za małej porcji, chociaż niepotrzebnie się martwiła, klienci od razu zwróciliby jej uwagę.

- Dziękuję, słoneczko - powiedziała Lizzie.

- Nie ma za co, mamó. Lepiej podawaj jedzenie, wszyscy są głodni - odparła Lucy.

- Cześć, Joe, cześć, Billy, cześć, Ruthie, jak leci, Maurice, jesteś grzeczny, chyba nie chcesz w tym roku znaleźć w skarpecie węgla, co? - Lizzie paplała, napełniając talerze dzisiejszym smakołykiem: duszoną wołowiną, gniecionymi ziemniakami, marchewką z groszkiem. Przez zatłoczoną jadalnię w parafii Świętej Łucji przechodził ksiądz w drodze z probostwa do kościoła.

- Witaj, ojczu - odezwało się kilka głosów.

- Niech was Bóg błogosławi - odpowiedział. Śpieszył się, jego ubranie przypominało czarną plamę.

- Czego pan sobie życzy? - zapytała Lizzie następnego w kolejce. - Mogę zaproponować duszoną wołowinę? Kucharz przeszedł dzisiaj samego siebie.

Lizzie dwa razy w tygodniu pracowała ochotniczo w jadalni dla bezdomnych. Została ochrzczona u św. Łucji, tak samo jak jej córka, która imię otrzymała po patronce kościoła. Lizzie i jej najlepsza przyjaciółka Catherine razem przystępowały do pierwszej komunii. Razem chodziły do szkoły podstawowej i liceum. Trzy lata temu Catherine zapytała Lizzie, czy nie zajęłaby miejsca Briana w jadalni. "Mamy tak wiele, musimy innym dać coś od siebie", powiedział kiedyś Brian. Lizzie się zgodziła, jakże mogłaby odmówić? I tak to się zaczęło.

Teraz Lizzie była sama ze swoją chochlą. Od pogrzebu Briana Catherine odmawiała przekroczenia progu jakiegokolwiek kościoła, nawet tego pod wezwaniem Świętej Łucji. Lizzie próbowała ją przekonać, że z formalnego punktu widzenia jadalnia znajduje się na terenie probostwa, ale choć minęły trzy lata, Catherine wciąż była zbyt obolała, żeby słuchać słów rozsądku. Lizzie zawsze oczekiwała, że serce jej przyjaciółki troszkę stopnieje w czasie Bożego Narodzenia, tymczasem ono jeszcze bardziej twardniało.

- Groszek i marchewka, czerwień i zieleń - mówiła Lucy.

- Bożonarodzeniowe kolory - dodała Lizzie, która zaczynała się pocić pod swoją peleryną.

- Cześć, Lucy, cześć, Lizzie - rozległ się głos Harry'ego.

- Harry! - wykrzyknęła Lucy.

- Gdzieś ty się podziewał, Harry? - zapytała Lizzie, wybiegając zza stołu, żeby uściskać wysokiego młodego mężczyznę. Pozwolił jej rzucić się sobie na szyję i nawet chwilkę tulił ją do siebie, ale potem zaraz odepchnął.

- Hej, daj spokój - powiedział, obrzucając spojrzeniem ludzi stojących w kolejce i zgarbionych nad je-

dzeniem przy długich stołach. - Zobaczą nas.

- A niech patrzą. Wszyscy zamieniliby ryżowy pudding na jeden mój uśmiech. Ale poważnie, gdzie byłeś? Zaczynaliśmy się o ciebie martwić.

- Tu i tam.

- Co to znaczy? - zapytała Lucy.

- To brzmi niebezpiecznie, zwłaszcza w ustach kogoś takiego jak ty - rzekła Lizzie sucho. Przyjrzała się badawczo jego twarzy, próbując odgadnąć, co się z nim dzieje. Bezdomni starzeli się przedwcześnie.

Oczy irri mętniały, twarze złobiły głębokie bruzdy od słońca, wiatru i napięcia, kości wyginały się i kurczyły z niedożywienia. Dla niektórych narkotyki stawały się drogą ucieczki, latającym dywanem przenoszącym ich do lepszego miejsca, a za bilet niekiedy płacili życiem. Harry do nich nie należy, jeszcze nie, pomyślała Lizzie. Jego oczy nigdy nie były bardziej błyszczące i przenikliwe.

- Muszę się zbierać - powiedział, wyciągając kopertę z tylnej kieszeni podartych i brudnych dżinsów. - Oddasz to C?

- Jasne. - Lizzie spojrzała na niego ciekawie. - Co jest w środku?

- Będzie wiedziała.

- Jutro jemy śniadanie w restauracji. Może się z nami spotkasz i sam jej to dasz? - zapytała Lizzie w nadziei, że zwabi go na darmowy posiłek.

- Jestem umówiony - odparł, uciekając od niej wzrokiem. Jego ton sprawił, że Lizzie ścisnęła się żołądek. Nie wiedziała, jak Harry zarabia na życie, a teraz uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy wcale nie chce tego wiedzieć.

- Zjesz coś? Dzisiaj mamy dobre jedzenie. Spojrzał na mięso i jarzyny. Lucy wcisnęła mu talerz w dłoń, a Lizzie napelniła go jedzeniem, dokładając dodatkową porcję wołowiny. Harry usiadł na końcu stołu i zaczął jeść. Lizzie obserwowała go z satysfakcją. Skończył w rekordowym tempie, nie zostawiając ani okruszka, i przystanął, żeby się pożegnać.

- Dzięki.

- Wpadaj, kiedy chcesz. Po to tu jesteśmy.

- Nie zapomnisz oddać tego C?

- Możesz na mnie liczyć.

Lizzie pochylała się, by znowu go uściskać - miała rozkaz robić to tak często, jak tylko się da. Lucy poszła w ślady matki. Jednakże Harry nie rzucał słów na wiatr i zaraz zniknął w tłumie tłoczącym się w drzwiach, rozkoszując się ostatnimi chwilami ciepła, nim wyjdzie na lodowatą ulicę.

- Dokąd on idzie, mamó?

- Do schroniska, kochanie. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Lizzie mogła tylko odprowadzać go wzrokiem. Wetknęła kopertę pod pelerynę, zastanawiając się, co też zawiera. Z dziwną melancholią uśmiechnęła się do córki, po czym wróciła do przydywaniania przy stole bankietowym.

Bridget Byrne siedziała w rogu sofy, próbując odrabiać lekcje. Ściszyła telewizor, żeby nikt nie usłyszał; nie wolno jej było oglądać telewizji, dopóki nie skończy lekcji, które nauczyciel z Nowej Szkocji wyznaczył jej na ten dzień. Co nie znaczy, że wokół wielu było takich, którzy by to zauważyli, Bridget jednak słyszała, jak pani Quinn szurając pantoflami, człapie po swoich pokojach. Danny nazywał ją "starym jastrzębiem", bo zawsze ich pilnowała.

Pod tym jednym względem Bridget i Danny się różnili. On nienawidził nadzoru, ona uwielbiała. Czuli się dobrze wiedząc, że ktoś zwraca na nią uwagę, nawet jeśli była to starsza wiekiem właścicielka pensjonatu. Czuli, że mama zaaprobowałaby panią Quinn i jej troskę. W poprzednich latach także Danny opiekował się Bridget. Czasami kogoś poznawali, ale to było trudne zimą w Nowym Jorku. Wszystkie dzieci czas spędzały głównie w domu. Danny i Bridget mieli więc tylko siebie.

Pomimo tęsknoty za bratem Bridget lubiła przebywać w pensjonacie. Szum ciepłej wody w rurach dodawał otuchy. Tapeta w różę i niezabudki w salonie była stara i pożółkła. Pani Quinn powiedziała, że brązowawy nalot na suficie pochodzi od dymu.

- To był pensjonat dla żeglarzy, kochanie - wyjaśniła. - Robotnicy portowi, dokerzy, załogi statków, które przybijały do portu w Chelsea, wszyscy przychodzili tu przez prawie dwieście lat. I wszyscy palili.

Bridget słuchała, nie zdradzając, że jej brat także miał w to swój wkład; Danny czasami wypalał papierosa, kiedy ojciec sprzedawał choinki, a pani Quinn oglądała jeden ze swoich ulubionych programów.



Uwagę Bridget nagle przykuł ekran telewizora. Prowadzący program "Live at Five" stał przed choinką w Rockefeller Center, trzydzieści przecznic od miejsca, gdzie siedziała Bridget.

- Za dwa dni trzydzieści tysięcy żarówek zapłonie na tym mierzącym dwadzieścia pięć metrów świerku z Wall w stanie New Jersey - powiedział prowadzący, kiedy kamera przesunęła się na piękne drzewo kontrastujące ciemną sylwetą ze światłami miasta. Pokazano, jak w zeszły czwartek ustawiano świerk. Kiedy kamera zaczęła przesuwac się po tłumie, Bridget dosłownie przykleiła się do ekranu.

Niektórzy ludzie trzymali tablice z napisami: "Pozdrawiamy Brisbane!", "Cześć, mamó i tato w Columbus", "Wesołych świąt dla wszystkich mieszkańców Luizjany!" Z walącym sercem Bridget przyglądała się twarzom. Wiedziała, że człowiek, którego szuka, nie będzie stał w pierwszym rzędzie z tablicą w dłoniach, ale postara się ukryć gdzieś z tyłu. Będzie wdychał zapach drzewa, wpatrywał się w ostre czarnozielone igły i korę połyskującą od złotej żywicy, w czubek wycelowany prosto w gwiazdy. Był opiekunem i pasterzem wielkiego drzewa.

Prowadzący zmienił temat, pokazując relację z pożaru na Upper West Side, i Bridget zamknęła oczy. Rozmyślała o bracie. Danny zawsze wierzył, że bożonarodzeniowe choinki mają dusze. Zafascynowany meteorologią, układał historie o aniołach śniegu, którzy tchnęli dusze w drzewa. Słońce dostarczyło chlorofilu, który płaszczem zielonych igieł okrył gałęzie.

- One mają własne dusze, Bridget - mówił Danny. - Wszystkie, co do jednego. Są żywe, korzeniami wchodzą głęboko w ziemię, gałęziami sięgają do gwiazd. - A my je ścinamy - przeraziła się Bridget.

- Zabijamy je!

- Nie myśl tak. Wcześniej drzewa zrzucają nasiona na ziemię, żeby się upewnić, że coś po nich pozostanie, choć to oczywiście zależy od opadów i kierunku wiatrów.

- Danny... daj spokój z pogodą. Opowiedz mi o drzewach!

- Ale pogoda o wszystkim decyduje, Bridey! Pamiętasz te obfite deszcze w zeszłym tygodniu? Musieliśmy czekać, aż niź odsunie się z wybrzeża i zabierze opady. A mimo to ostrzegano przed powodzią i NEXRAD ...

- Chryste, Danny, tylko nie NEXRAD. Nic mnie nie obchodzą prognozy pogody. Chcę posłuchać o drzewach. Aniołowie śniegu je ożywiają, słońce okrywa płaszczem zielonych igieł, a my zabijamy!

- Drzewa umierają, to prawda. W chwili gdy piły dotykają kory ...

- To straszne! - krzyknęła Bridget.

- Rzecz w tym, Bridey, że one wracają do życia.

- W jaki sposób?

- Kiedy zapalają się lampki.

- Kiedy ...

- No wiesz, kiedy ktoś zabiera drzewko do domu i zapala na nim lampki. - Kiedy je kocha?

- Coś w tym rodzaju.

Danny był zbyt twardy, żeby się do tego przyznać, ale Bridget widziała, jak pilnuje drzew ojca, zanim ktoś je kupi. Stawał w ich cieniu, wdychając ostre zimne powietrze, i czekał, aż jakiś przechodzień zabierze jedno do domu. Może jak Bridget marzył o wspaniałych mieszkaniach - wysoko nad ziemią w drapaczach chmur albo w przytulnych kamienicach - i cudownych możliwościach, jakie oferuje Nowy Jork.

- Popatrz tam - mówił do siostry, wskazując Empire State Building oświetlony zielonymi i czerwonymi lampkami z okazji świąt. - Jakie wielkie miasto w taki sposób zdołałoby pomalować niebo? Wiesz, ile prądu na to trzeba? Można by nim oświetlić całą Nową Szkocję.

- Nie podobałoby ci się życie tutaj, Danny! Miesiąc to jedna sprawa, ale dłużej na pewno byś nie wytrzymał. Tu nie ma drzew poza naszymi ściętymi i rosnącymi przy chodnikach, ale te są marne. Nie ma lasów. Gdzie tu znajdziesz sowy i jastrzębie? Skąd będziesz obserwował nadchodzącą burzę?

- Nie mówiłem, że chcę tu mieszkać. Ale mylisz się co do drzew, zwierząt i obserwowania burzy. Nowy Jork ma to wszystko, są tu takie miejsca - powiedział Danny na swój tajemniczy sposób i Bridget zadała sobie pytanie, gdzie brat bywał podczas swoich wędrówek.

"Live at Five" dobiegło końca, zaczęły się wiadomości, w których znowu pokazywano Rockefeller Center. Padał śnieg, ludzie jeździli na łyżwach na tle złotego posągu Prometeusza, nad nieprzebrany tłumem machającym do kamery wznosił się majestatycznie ogromny świerk.

Ze wzrokiem utkwionym w ekran Bridget modliła się, by zobaczyć brata. Jeszcze nie przyszedł jej szukać, choć oboje z ojcem spędzili w Nowym Jorku cały dzień. Wbiła paznokcie w dłoń.

- Danny, Danny, muszę się z tobą zobaczyć. Wpatrywała się w szczęśliwe twarze ludzi, którzy zjechali tu ze wszystkich stron kraju, by doświadczyć bożonarodzeniowej magii Nowego Jorku, magii tak potężnej, że uwiodła jej brata, odebrała go rodzinie.

\_ Gdzie jesteś, Danny? - zwróciła się do telewizora ze ściśniętym gardłem, obserwując płatki śniegu osiadające na świerkowych igłach i rozmyślając o śnieżnych aniołach brata. - Wrócisz do nas? Musisz ...

Drzewo było ciemne. Jego dusza umarła, wróci do życia dopiero za dwa dni, kiedy zapłoną na nim światła. Bridget wiedziała, że jej brat tam jest. Może nie od razu przyjdzie do Chelsea, bo na pewno pamięta ubiegłoroczny straszny gniew ojca. Kiedy jednak w końcu się pojawi, Bridget była gotowa na świętowanie. Przywiozła najlepsze stroje. Cała rodzina pójdzie do hotelu Plaza na podwieczorek - będzie cudownie i wyjątkowo. Zanim to jednak nastąpi, Bridget wyobrażała sobie brata trzymającego straż przy wielkim drzewie w Rockefeller Center. Patrzącego, jak gałęzie okrywa śnieg.

Tak intensywnie wypatrywała Danny'ego na ekranie, że nie usłyszała kroków pod oknem. Dopiero kiedy jeden z pojemników zagrzecotał, wróciła na ziemię. Coś zaskrobało, jakby przesuwano paznokciami po drewnie, ale Bridget przypuszczała, że to Murphy, suczka pani Quinn. Murphy zawsze chciała iść na spacer... Teraz ujadła.

- Słyszałaś? - zapytała pani Quinn, z nieodstępną Murphy wchodząc do salonu. Suczka wskoczyła na krzesło pod oknem i z wielką odwagą zaczęła szczekać, jakby była owczarkiem niemieckim, a nie małym yorkshire terrierem.

- Nic nie słyszałam - odparła Bridget, nie odrywając wzroku od ekranu.

- To ci bezdomni, co grzebią w śmietnikach. - Pani Quinn wsiadła na swojego ulubionego konia. - Szukają pustych butelek i puszek. Nic bym przeciwko nim nie miała, gdyby nie zostawiali takiego bałaganu. - Dopiero teraz zauważyła włączony odbiornik. - A co to ma znaczyć, moja panno? Powinnaś odrabiać lekcje, prawda?

Bridget nie potrafiła wykrztusić słowa. Bała się odwrócić, bo gdyby to zrobiła, pani Quinn zobaczyłaby, że jej oczy są czerwone i pełne łez. Czy pani Quinn nie wie, że Danny jest teraz bezdomny? Gdzie śpi? Co je? Pasterz drzew, chłopiec, który uwielbiał oglądać burze, musi być silny i bezpieczny.

Och, Danny, pomyślała Bridget. Kiedy spojrzała na tłum w telewizji, łzy znów zaczęły płynąć jej po policzkach.

### 3

W każdy czwartkowy poranek Catherine i Lizzie spotykały się na śniadaniu w Moonstruck, restauracyjce na rogu Dwudziestej Trzeciej Ulicy i Dziewiątej Alei. Idąc tam, Catherine minęła handlarza drzew. Nocą spadł lekki śnieg, okrywając Chelsea białym welonem.

Mężczyzna, nieświadom, że Catherine nadchodzi, stał nieruchomo, trzymając papierowy kubek z kawą. Widziała unoszącą się parę i wyobraziła sobie, że kubkiem ogrzewa ręce. Wpatrywał się w pokryte śniegiem drzewa, srebrne i białe kryształki lodu połyskiwały w słońcu wczesnego poranka, jakby sosny wciąż rosły na zboczu góry w Nowej Szkocji.

- Dzień dobry pani. Widziała pani kiedyś coś piękniejszego? - zapytał, gdy podeszła bliżej.

- Dzień dobry - odparła, przyspieszając kroku.

Może wieczorem kupi jednak pani drzewko, - zawołał za nią i prosta suknię. Zielony bawarski z małymi poinsecjami z czerwonego jedwabiu wpiętymi we wstążkę pasował do kamizelki. Catherine zdjęła czarny płaszcz, szal i rękawiczki, po czym powiesiła okrycie na ścianie.

- A teraz wyjaśnij wiadomość, którą zostawiłaś mi na sekretarce - powiedziała Lizzie, kiedy Catherine usiadła. - O tym wczorajszym incydencie z koleśkami.

Catherine usłyszała lekką kpinę w ostatnich słowach, ale ją zignorowała i zaczęła opowiadać o małej dziewczynce, która śpiewała nie na tę nutę co trzeba.

- Powinnaś była widzieć jej twarz, zbladła jak ściana. Była taka przygnębiona, pozostałe dzieci śpiewały, a ona stała i powstrzymywała płacz. Miałam ochotę skrócić kark dyrygentce.

- Ale tego nie zrobiłaś?

- Nie.

- Nie uratowałaś tej małej, nie zabrałaś do lepszego chóru, gdzie doceniono by jej zapal?

- Nie.

- A niech mnie, robisz postępy! - Lizzie uśmiechnęła się do kelnera, który czekał na zamówienie. Obie poprosiły o to samo: kawę, sok ze świeżych pomarańczy i gorący makowy obwarzanek z masłem.

- Ona przypominała mi Lucy - powiedziała Catherine.

- Lucy nie zwróciłaby uwagi na dyrygentkę i zaczęła dwa razy głośniej śpiewać.

- I przypomniała mi Briana.

- Wszystko przypomina ci Briana - odrzekła Lizzie łagodnie.

- On nie potrafiłby przejść obok tego obojętnie, wiesz? Nigdy nie godził się na niesprawiedliwość. Nawet w chórze. - Catherine zamknęła oczy, przywołując na pamięć twarz Briana. Zobaczyła jego błyszczące zielone oczy, ciemne włosy, silnie zarysowaną szczękę. Ubrany w garnitur i krawat, codziennie ruszał na ratunek światu. Porzucił lukratywną praktykę prawniczą na rzecz pracy w programie edukacyjnym, ponieważ wierzył, że ludziom należy pomagać, a ona zakochała się w nim, bo ... bo był Brianem.

- Cath, musisz wreszcie przestać - powiedziała Lizzie.

- Chodziło o gest, którym dyrygentka ją uczyła.

Był taki ostry i nieprzyjemny, dziewczynka wybuchnęła płaczem. Jaki jest sens prowadzić zajęcia z dziećmi, pomagać im błyszczeć, śpiewać, jeśli nie potrafisz robić tego sympatycznie?

- Wiem. Wygląda na to, że dyrygentce nie udzielił się duch świąt.

Podano śniadanie i przyjaciółki zabrały się do jedzenia. Catherine rozmyślała o słowach przyjaciółki: duch świąt. Kiedyś też jej towarzyszył, ale od trzech lat ani razu się nie pokazał. Gryząc obwarzanek, spojrzała przez okno na handlarza choinek.

- Widziałaś tego handlarza, Lizzie? Wrócił, stoi dokładnie przed twoim sklepem.

- Jasne, że widziałam. Jakżeby mogła nie widzieć?

Jest taki seksowny. Siedzę w sklepie, gapię się przez okno i wyobrażam go sobie bez tej kurtki. Bez koszuli. J ak ścina sosny w palącym słońcu Nowej Szkocji, mięśnie ramion ładnie mu się napinają, kiedy piłuje gałęzie. Spocony ...

- Przestań.

Lizzie machnęła ręką.

- Jestem samotna, czemu mam przestać? Catherine w gruncie rzeczy nie miała na to odpowiedzi. Lizzie niedawno zerwała z mężczyzną, którego kochała zbyt długo. Nie chciał się ożenić, nie chciał razem z nią wychowywać Lucy - Catherine uważała go za człowieka tępego, złego i głupiego.

- A co mam robić? Siedzieć i udawać, że jestem drzewem z korą i igłami, a nie kobietą z hormonami i uczuciami, która potrzebuje, żeby ją zauważono? Czy on odzywa się do ciebie, kiedy przechodzisz?

- Handlarz choinek?

- A przy okazji, on nazywa się Christopher Byrne i obie dobrze o tym wiemy. Ale tak, handlarz choinek. - Odzywa się. Chce sprzedać mi drzewko.

Lizzie przekrzywiła głowę. W kapeluszu modnie nasadzoną na bakier wyglądało to tak, jakby głowa miała zaraz spaść jej na ramię.

- Mogłabyś potraktować go uprzejmie, ty z krwaWlącym sercem.

- Lepiej nie. Jak sobie przypominam zeszły rok. ...

- Próbował zatrzymać syna - odparła Lizzie.

- Nie chciał zostawiać go w Nowym Jorku, samego i bezdomnego. Myślałaś kiedyś o tym w taki sposób?

- Brian zainterweniowałby i przerwał bójkę.

- Samo wypowiedzenie na głos jego imienia tak bardzo ją wzruszyło, że musiała przerwać i poczekać, aż to mmle.

Lizzie chwilę milczała.

- Zbliża się trzecia rocznica ... - odezwała się wreSZCie.

- Wczoraj wieczorem widziałam pierwsze duchy - powiedziała Catherine.

- Zawsze pojawiają się pierwszego grudnia, o tej samej porze co handlarz choinek.

Catherine znowu spojrzała przez okno. Słońce wznosiło się nad niskimi budynkami i roztopiało śnieg na drzewach Christophera Byrne'a. Może dlatego tak nie lubiła, gdy się pojawiał, jego przybycie przypominało jej o tym, że utraciła Briana.

- Ojciec Cusack wczoraj pytał o ciebie. - Lizzie zmieniła temat. - Powiedział, że jesteś potrzebna w jadłodajni.

Catherine tęskniła za Świętą Łucją, za pomaganiem w kuchni, wydawaniem posiłków, karmieniem głodnych. Razem z Brianem robili to w każdą niedzielę, odkąd dziewięć lat temu się pobrali. Ale kiedy po odejściu z kancelarii Slade'a i Lindena podjął pracę w Family Orchard Program, miał więcej zajęć niż czasu. Catherine to rozumiała, poprosiła więc Lizzie, żeby przyłączyła się do niej w niedzielę.

- Mijam kościół i myślę o naszym ślubie - powiedziała. - To był cudowny dzień wypełniony miłością, która miała trwać wiecznie. Ojciec Cusack nas pobłogosławił. I powiedział, że błogosławi nas Bóg, święta Łucja,

wszyscy aniołowie i święci. Myślę o tamtym dniu i wszystkich innych szczęśliwych dniach: chrzcie Lucy, na którym z Brianem byliśmy rodzicami chrzestnymi ... a potem myślę o pogrzebie Briana.

- Wiem, kochanie.

- Nigdy więcej tam nie wejdę.

- Okay.

- A teraz w pracy muszę znaleźć materiały o aniołach w nowojorskiej architekturze: posągach, gzymsach, zdobieniach budynków, i nawet to doprowadza mnie do szaleństwa. Gdzie byli aniołowie, kiedy Brian umierał?

Lizzie w milczeniu słuchała. Catherine siłą powstrzymywała łzy. To był strasznie trudny okres roku. Spoglądając przez okno, zobaczyła klienta zatrzymującego się przy choinkach. Każdy pragnął zawiesić świąteczne ozdoby, śpiewać kolędy, czuć się szczęśliwy. Ale jak to możliwe, kiedy przerażające rzeczy zdarzają się ludziom, których kochamy? Catherine otarła oczy.

Zerkając na zegarek, zorientowała się, że robi się późno. Musiała iść do pracy, odliczyła więc pieniądze za swoje śniadanie.

- Ojej - Lizzie szukała czegoś w torebce. - O mało nie zapomniałam.

- Co to? - zapytała Catherine, patrząc na białą kopertę z wypisaną literą "C", którą Lizzie położyła na stole.

- Od twojego cichego wielbiciela.

- Od Harry'ego? - Catherine uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Od Houdiniego we własnej osobie. Musisz mi powiedzieć, co pisze, umierałam z ochoty, żeby otworzyć kopertę.

- Powiem - przyrzekła Catherine, idąc z przyjaciółką do kasy. - O wszystkim ci mówię.

- Prawie o wszystkim - poprawiła ją Lizzie. - Ale kiedy chodzi o Harry'ego, wiem, że masz tajemnice.

Catherine uśmiechnęła się tylko, objęła Lizzie i cmoknęła ją w policzek, po czym pośpieszyła do metra. Chodnik pokrywały teraz płaty śniegu i o mało się nie pośliznęła. Zbiegła po schodach i wskoczyła do pociągu w chwili, gdy prawie ruszał. Ściśnięta w tłumie, złapała się słupka i jakoś zdołała wyjąć list.

Na kartce widniało tylko jedno zdanie:

"Wpuścisz mnie?"

Catherine zamknęła oczy. Pociąg z grzechotem toczył się w tunelu pod miastem, a ona wiedziała, że odpowiedź na to pytanie jest twierdząca.

Christy Byrne pracował na mrozie. Był roztrzęsiony, jak zawsze kiedy niedostatecznie się wyspał, nadmiernie świadom otaczającego go świata. Słońce wschodzące nad ceglany domami Chelsea wyglądało jak kula białego ognia, jego promienie kładły się na ulicy niczym roztopione złoto. Przenikliwie zimne powietrze wdzierało mu się za kołnierz kurtki i do rękawów. Nowy Jork położony był o wiele bardziej na południe niż Nowa Szkocja, ale mróz bardziej tu dokuczał. Może dlatego, że gdzieś na tych ulicach szukał schronienia Danny.

Christy pozdrowiał właścicieli sklepów, dostawców i okolicznych mieszkańców idących do pracy. Pozdrowił też nieśmiałą smutną kobietę (nie znał jej nazwiska), która zawsze ubierała się na czarno. Cóż, właściwie wszystkie modne kobiety w Nowym Jorku tak się ubierały, ta jednak była inna. Christy patrzył na jej czarne kostiumy, czarny płaszcz, czarne dzinsy i bluzę, które wkładała w weekendy, i skądś wiedział, że nosi żałobę.

Jej oczy za okularami w srebrnych oprawkach były dobre, ciemnoszare, błyszczące. Pamiętał, że niegdyś mijala go z mężczyzną - śmiali się, trzymali za ręce, kupowali u niego choinki na Boże Narodzenie. Ale jakieś trzy lata temu mężczyzna zniknął, teraz była samotna. Zachodziła do sklepu z kapeluszami, wypijała herbatę z właścicielką i jej córką. Najwyraźniej łączyła je bliska przyjaźń. Christy cieszył się z tego.

Nieśmiała kobieta w tym roku traktowała go wrogo, jakby widziała albo słyszała o bójce z Dannym i aresztowaniu. Nie tylko ona, wielu mieszkańców odnosiło się do niego inaczej. To bolało, bardzo bolało. Pragnął zatrzymać przechodniów, mówić im, co czuł, kiedy chwycił syna w ramiona, próbując powstrzymać go przed uwolnieniem się jak foczkę, która usiłuje uciec z rybackiej sieci. Pragnął opowiedzieć wszystkim w Chelsea, a zwłaszcza tej nieśmiałej kobiecie, że był wtedy rozdarty na pół, nie panował nad sobą, bo tak bardzo się bał, że straci syna.

Jednakże trzymał te słowa w sobie i starał się zachować godność w obecności ludzi, którzy słyszeli, jak wrzeszczy, widzieli, jak szaleje, nim policjanci skuli go i wsadzili do wozu, z którego mógł tylko bezsilnie patrzeć, jak Danny ucieka.

Wczoraj wieczorem Christy poszedł szukać syna; tak samo zrobił poprzedniej nocy i będzie robił, dopóki go nie znajdzie. Zamknął stoisko o dziewiątej i zajrzał do Bridget. Kiedy się położyła i odmówiła paciorek, na-

tychmiast ruszył na miasto.

Gdzie może być Danny? Przez cały rok Christy pozostawał w kontakcie z Ripem Collinsem, glinializem, który go wtedy aresztował. Rip skontaktował go z opieką społeczną Nowego Jorku, gdzie Christy się dowiedział, że połowa z trzydziestu ośmiu tysięcy nowojorskich ludzi ulicy to dzieci. W rejestrach schronisk nie było nazwiska Danny' ego. I nie będzie, Christy wiedział, że jego syn w żadnym razie nie zgłosiłby się do noclegowni.

Nie miał pojęcia, od czego zacząć. Mimo że przez lata sprzedawał choinki w Nowym Jorku, ledwo znał miasto. Przyjeżdżał tu pracować i zarabiać pieniądze, do Kanady wracał najszybciej, jak tylko było to możliwe.

U siłował wejść w umysł Danny' ego. Wydzieranie ziemi środków na utrzymanie było ciężką pracą. Christy zdawał sobie sprawę z brzemienia, jakim obarcza syna, tak samo postąpił jego ojciec. Wiele razy nocami młody Christy leżał bezsennie, marząc o życiu w Halifaxie albo Fredericton, o łatwiejszym miejskim życiu, gdzie miałyby wokół siebie przyjaciół i mnóstwo dziewcząt do wyboru, a o życiu i śmierci nie decydowałoby, czy północnowschodni wiatr uderzy wprost na nich czy dziesięć mil dalej na południe.

- Pójdę na uniwersytet, tato - oznajmił Danny, kiedy na koniec siódmej klasy przyniósł świadectwo z samymi szóstkami. - Pan Burton powiedział, że mam wszystko, czego potrzeba.

- Oczywiście, że tak - potwierdziła wtedy Mary. - Jesteś bardzo bystry.

- Uniwersytet wiele kosztuje - wtrącił Christy. - Więcej, niż kiedykolwiek będziemy mieli. A poza tym wiesz już dość, żeby przejąć farmę ode mnie. Gdybym jutro umarł ...

- Przestań, tato - przerwał mu Danny. - Wiesz, że me umrzesz.

A Christy pokiwał głową, dumny z syna za jego odwagę i zgodę na życie, jakie rodzina prowadzi. Widział jednak chmurę w jego oczach.

Może Danny myślał o lawinie błotnej, która miesiąc wcześniej w czasie ścinki o mało nie porwała Christy'ego. Burzliwy strumień ziemi pomieszanej z błotem rzucił nim w parów wypełniony głazami i uschłymi konarami, skąd wyciągnął go Danny.

Jaki nastolatek nie chciałby uciec od takiego życia? Christy wspominał chwile, kiedy widział swojego ojca pokonanego przez naturę: pewnego r!izu huragan złamał mu nogę wyrwanym z korzeniami drzewem. Jaki nastolatek nie pragnąłby wyjechać na studia? I czy Christy nie był sknerą i zrzędą, nie zachęcając do nauki chłopca tak inteligentnego jak Danny?

Skulił się na wspomnienie twarzy syna w progu klasy.

Danny słyszał wszystko: pochwałę pani Harwood, odpowiedź ojca, argumenty nauczycielki zmieniające się w prośbę. Christy wiedział, że Danny wszystko słyszał, ale nigdy o tym nie rozmawiali.

Zdawał sobie sprawę, że uniwersytet zabrałby Danny'ego daleko od rodzinnej farmy. Nie tylko na cztery lata nauki, ale na zawsze. Bo Danny posmakowałby tego, co świat ma do zaoferowania poza skalistym wybrzeżem i porośniętym sosnami zboczem. Halifax, Fredericton, inne miasta kanadyjskie wabiłyby go ku sobie, a on bez wątpienia by im uległ.

Christy'emu nigdy nawet przez myśl nie przeszło, że tym miastem będzie Nowy Jork.

Pierwszego wieczoru Christy pojechał metrem do Battery Park. Wybrał to miejsce, ponieważ było największym obszarem zielonym na mapie dolnego Manhattanu i znajdowało się blisko mostu Brooklińskiego z widokówki Danny'ego.

Czekając na metro, Christy krążył po zimnym, przywodzącym na myśl jaskinię peronie i spoglądał w ciemność. Czy to możliwe, że Danny ukrywa się w tunelach metra? Kiedy jednak z rykiem nadjechał pociąg, Christy wiedział, że nie - nie dlatego, że chłopiec boi się ciemności, ale dlatego, że na pewno przebywa gdzieś na dworze, gdzie czuje powietrze na skórze, smakuje śnieg, widzi te gwiazdy, które można zobaczyć w jaskrawo oświetlonym mieście.

Wyszedł z metra na samym czubku Manhattanu.

Przed sobą miał przystań promową Staten Island, na twarzy poczuł słone powietrze. Port nowojorski był ciemny, wodę burzył wiatr wiejący od Atlantyku. Po tafli sunęły płonące światłami promy. Statua Wolności wznosiła pochodnię, jakby chciała rozjaśnić mu drogę do syna. Bliskość morza sprawiła, że Christy poczuł się jak w domu. Danny czułby to samo, Christy rozpoczął więc swoje poszukiwanie pełen sił i nadziei.

Battery Park opustoszał na wieczór. Kilka osób, które spotkał, szło chyląc głowy przed wiatrem. Christy'emu marzły policzki, kiedy rozglądał się za ludźmi skulonymi na ławkach, wyciągniętymi w okolicy Castle Clinton, ale nikogo takiego nie dostrzegł. Okrążył teren, dochodząc do kościoła pod wezwaniem Świętej Trójcy z iglicą odcinającą się czarno od halogenowego światła. Na schodach siedział stary człowiek owinięty w koce.

- Dobry wieczór - powiedział Christy.

- Dobry wieczór.

- Szukam kogoś. - Christy wyjął z kieszeni zdjęcie. - To mój syn, Daniel Byrne. Niedawno skończył siedemnaście lat, ma mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu. Widział go pan?

- Wysoki - odparł starzec.

- Tak. Widział go pan?

- Nie.

- Proszę, niech pan uważnie się przyjrzy ...

Ale tamten przykrył głowę kocem jak niedźwiedź chowający się w gawrze i nic więcej nie chciał powiedzieć. Christy ruszył dalej.

Przemierzył Wall Street, South Street i Seaport z eleganckimi sklepami i restauracjami oraz starymi żaglowcami stojącymi na kotwicy, zupełnie jak w Lunenburgu; wykorzystują przeszłość, żeby wyciągnąć więcej pieniędzy od turystów, pomyślał. Przyśpieszył kroku, ponieważ widział tu wyłącznie modnie ubranych i najedzonych ludzi, wracających z wykwintnych kolacji i przedświątecznych przyjęć w jasno oświetlonych restauracjach i na statkach.

Kiedy Christy doszedł do pirsu 17 i zobaczył bruk błyszczący od rybich łusek, zorientował się, że trafił na sławny rybi targ. Zbliżała się północ, handel właściwie jeszcze się nie zaczął. Mijał skrzynie z lśniącymi dorszami, flądrami, halibu tami i morszczukami.

Na końcu ulicy dostrzegł ogień płonący w pojemniku na śmieci i zerwał się do biegu. Rip Collins mówił mu, że bezdomni rozpalają pod mostami ogniska, żeby się rozgrzać. Po chwili rozróżniał już pstrokate stroje i serce mu pękało na myśl, że Danny może być między nimi.

Z bliska przekonał się, że wokół pojemnika zgromadziło się pięciu mężczyzn, z których dwaj niewiele byli starsi od Danny'ego. Połyskujące metalicznie w płomieniach oczy mieli dzikie i czujne jak wilki, które wiecznie głodne polowały na jego górze. Christy wyjął fotografię syna. Pokazał, ale nie pozwolił, by jej dotknęli.

- Widzieliście mojego syna?

- Nie, nie - odparli chórem.

- Na pewno? Możecie dokładniej się przyjrzeć? Bez słowa odwrócili się i dalej grzali dłonie. Christy poczuł, jak żołądek mu się ściska; nie był pewien, czy cieszyć się, że ci ponurzy mieszkańcy ulic nie znają jego chłopca. Podniósł wzrok ku kamiennym wieżom górującym nad miastem. Odchodząc, rozejrzał się i zobaczył to wszystko, czego wcześniej nie widział, skupiony wyłącznie na ognisku, stojących przy nim ludziach i nadziei na znalezienie Danny'ego.

Od zachodu piękny ogromny most podtrzymywała wieża. W rzece East odbijały się girlandy świateł. Christy zauważył stalowe liny rozchodzące się promieniście z gotyckich pirsów i poczuł pragnienie, by obejrzeć most z bliska. Czy to możliwe, że Danny kupił widokówkę w jakimś pobliskim kiosku? Jeśli Christy wróci tu jutro, może odnajdzie osobę, która mu ją sprzedała.

Bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że jest na dobrym tropie, pobiegł do budki telefonicznej i wykręcił bezpośredni numer na Posterunek Dziesiąty w Chelsea i poprosił Ripa. Niestety, okazało się, że ten nie ma dzisiaj służby.

Stojąc nazajutrz rano na zaśnieżonej Dziewiątej Alei, Christy zmuszał się, by nie opuścić swoich drzew. Pragnął ruszyć do śródmieścia, w sklepach z pamiątkami i pocztówkami szukać osoby, która Danny'emu sprzedała widokówkę z mostem Brooklińskim.

Liz i nieśmiała kobieta wyszły z Moonstruck. Christy patrzył, jak chwilę rozmawiają, potem żegnają się uściskiem. Kiedy Liz zbliżała się do swojego sklepu, obdarzył ją swoim najbardziej uroczym łobuzerskim uśmiechem sprzedawcy. Już miał ją zacząć przekonywać do zakupu choinki do okna wystawowego, sugerując, żeby zamiast tradycyjnych ozdób zawiesiła na niej kapelusze, kiedy obok zatrzymał się wóz patrolowy.

- Jak leci, Christy? Dobrze cię znowu widzieć - powiedział Rip Collins, wychylając się z okna i obrzucając Liz pełnym uznania spojrzeniem, które kokieteryjnie zignorowała.

- I wzajemnie. - Christy całkiem zapomniał o zamiarze sprzedania choinki Liz. Z kieszeni wygrzebał pocztówkę. - Słuchaj, mam ...

- Sierżant dyżurny mówił, że wczoraj dzwoniłeś. Teraz mam służbę dzienną, przykro mi, że mnie nie zastałeś. Co się dzieje?

- Chyba mam coś o Danny'ego. Ta widokówka ... - Podaj ją Ripowi, a potem patrzył, jak policjant czyta, odwraca, ogląda zdjęcie. Serce mu wezbrało, gdy sobie wyobraził, co będzie czuł, kiedy odnajdą Danny'ego.

- Racja - powiedział Rip. - Mówiłeś mi o tym przez telefon latem, kiedy ją dostałeś.

- Tak sobie myślę ... Musimy sprawdzić sklepy z pamiątkami koło mostu Brooklińskiego. Byłem tam wczoraj, trafiłem w to miejsce właściwie przypadkiem, i naraz przyszło mi do głowy, że ... Sam bym to teraz robił, tylko że muszę sprzedawać drzewka ...

- Sklepy z pamiątkami? - przerwał mu Rip. Christy schylił się, by zajrzeć do wozu, i zobaczył, że partner Ripa siłą powstrzymuje śmiech.

- Nie mówię wam, jak macie wykonywać swoją pracę - powiedział, nie chcąc obrazić żadnego z policjantów - ale mój syn musiał tam być, koło tego mostu, i w oko wpadła mu widokówka, którą nam wysłał. Popatrzcie, to przecież most w nocy! Światła wyglądają jak gwiazdy, tak na pewno pomyślał Danny. Jestem przekonany, że tęskni za nocnym niebem w domu. Więc jak, sprawdzicie sklepy z pamiątkami i pocztówkami koło mostu Brooklińskiego? Pokażecie fotografię Danny'ego sprzedawcom?

- Christy, w całym mieście sprzedają takie widokówki. Możesz je kupić nawet tutaj, w Chelsea. Christy znieruchomiał.

- To tak jak w Irlandii: widokówki z kamieniem Blarney dostaniesz w Dublinie, a widokówki z Dublina w Galway. Tak to działa. Wejdź do tej apteki, a przekonasz się, że mają widokówki przedstawiające most Brookliński, Statuę Wolności, Rockefeller Center, a nawet zoo w Bronksie.

Partner Ripa śmiał się głośno.

- Ale gdzieś tam jest chłopak, wiecie? To nie jest śmieszne!

- Wiemy - odparł Rip, rzucając partnerowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Myślałem ... - zaczął Christy, ale urwał czując, jak nadzieja z niego wycieka.

- Christy, wciąż go szukamy, ale to nie jest łatwe w mieście, gdzie mieszka tyle ludzi, gdzie jest tyle dzieci, które uciekły z domu, rozumiesz? Mimo to nie zamierzam rezygnować.

Odrętwiały Christy kiwał głową, kiedy policjanci uściskawszy mu rękę, zamknęli okno i odjechali. Stał na chodniku, otoczony zapachem sosen. Żałował, że nie może odejść prosto w głęboki las. Tak zawsze robił w domu, kiedy nie mógł znieść tęsknoty za Dannym.

Gdzie on może być? Dokąd chodzi jego syn, kiedy dopada go tęsknota za domem? Bo na pewno dopada, Christy w to nie wątpił. To było nieuniknione. Danny nade wszystko kochał naturę. Wspinał się na drzewa, skakał z konaru na konar, naśladował śpiew ptaków, o zmroku krył się w krzakach i obserwował "wylot" sów opuszczających gniazda i udających się na nocne łowy. Nikt tak jak Danny nie potrafił wysledzić sowy.

I pogoda: Danny łaknął dotyku wiatru na twarzy.

Ślęczał nad mapami pogodowymi, mówił ojcu, czego ma się spodziewać, jeśli chodzi o nize, wyże, fale gorąca i prądy powietrzne. Gdyby tylko Christy uważniej go słuchał. Gdyby obdarzał syna szacunkiem, na jaki zasługiwał, bo przecież Danny pomagał mu przewidywać pogodę, dzięki czemu skuteczniej prowadzili farmę. Danny potrzebował ekstremalnych upałów i mrozów z Cape Breton.

Jak taki chłopiec mógł przeżyć w Nowym Jorku? Wstrząśnięty do głębi informacją Ripa o widokówkach, Christy nie dostrzegając Liz, która stała przed sklepem z kluczami w dłoni i uważnie obserwowała całą scenę. Wyjął z tylnej kieszeni mapę Nowego Jorku i zaczął się wpatrywać w zielone plamy: były to zalesione fragmenty miasta, dokąd jego syn najprawdopodobniej się udał.

#### 4

Catherine z trudem koncentrowała się na pracy. Kartka papieru wypalała jej dziurę w kieszeni. Za każdym razem, kiedy ktoś wchodził do biblioteki, gnębiła ją myśl, że niedługo popełni przestępstwo przeciwko Rheinbeck Corporation - w dodatku nie po raz pierwszy.

Rheinbeckowie byli jedną z naj starszych rodzin na Manhattanie, z przeszłością sięgającą czasów Dutch West India Company. Sylvester Rheinbeck senior wciąż był właścicielem posiadłości nad Hudsonem, którą jego przodkowie przed klęską Petera Stuyvesanta otrzymali w formie przydziału ziemi. Rodzina dorobiła się fortuny w bankowości, przemyśle naftowym i handlu nieruchomościami, nie wyzbywając się przy tym miłości do Nowego Jorku; sponsorowali programy badawcze i społeczne, których celem był ogólny pożytek i ułatwienie życia mieszkańcom.

Rheinbeck, <owie zawsze dobrze traktowali Catherine. Ukończyła anglistykę w College of New Rochelle, a potem zrobiła dyplom z bibliotekarstwa w Columbii. Większość kolegów z jej roku podjęła pracę w bibliotekach i uniwersyteckich i publicznych, Catherine natomiast zatrudniona została przez Rheinbecka do opieki nad cudowną prywatną biblioteką na pięćdziesiątym czwartym piętrze.

Godziny wolno mijały. Dni stały się krótsze i teraz słońce zachodziło już o wpół do piątej. Catherine patrzyła, jak chowa się za wieżowcami Central Park West i Jersey Palisades, zalewając przysypany śniegiem Central Park słabym pomarańczowym światłem, które dość szybko stłumił mrok. Wkrótce w budynku nikogo nie będzie, a ona "wpuści go".

Na jej biurku wznosiły się wysokie stosy książek, w których zaznaczała każde zdjęcie anioła w architekturze Manhattanu. Sylvester Rheinbeck zainicjował projekt "Popatrz w górę", którego celem było zlokalizowanie każdego kamiennego anioła, demona, lwa, węża i skrzydlatego gryfona na całym Manhattanie.

Chociaż najbardziej lubił różnorakie stwory, interesował się też medalionami, wieńcami, kluczami, berłami, krzyżami celtyckimi, a także innymi symbolami i dziwacznymi formami wyrzeźbionymi na kamiennych budynkach i mostach. Od dawna zamierzał napisać przewodnik zawierający detale architektoniczne, sylwetki ptaków przelatujących nad Nowym Jorkiem, formacje chmur i konstelacje gwiazd. Chciał go rozdawać w szkołach i na rogach ulic, tak by ludzie wreszcie oderwali wzrok od ziemi i spojrzeli w górę.

Tuż po piątej do biblioteki wkroczył Sylvester, podpierając się laską. Catherine o mało nie skoczyła na równe nogi, spodziewała się, że dawno już poszedł do domu. Twarz miał długą i pomarszczoną jak basset oraz małe okulary w złotych oprawkach na końcu nosa. Garnitur został uszyty na zamówienie przez krawca z Savile Row, ale dwadzieścia lat temu, teraz strzępił się na łokciach i mankietach. Sylvester uważał dbanie o stroje za stratę czasu. Miał osiemdziesiąt dwa lata i zdawał sobie sprawę, że jego kres jest bliski. Pragnął zajmować się tylko tym, co uważał za ważne.

- Co dzisiaj znalazłaś? - zapytał, pochylając się nad biurkiem Catherine.

- Tę głowę cherubina. - Wskazała czarno-białą fotografię w jednej z książek. - Jest umieszczona nad drzwiami sklepu papierniczego na Madison Avenue.

- Doskonale. Upewniłaś się, że wciąż tam jest? Ze nie została strącona przez chciwego, krótkowzrocznego budowlańca w rodzaju ... - Urwał, ale Catherine nie wątpiła, że na końcu języka miał słowa "mojego syna".

- Jeszcze nie. - Serce zabiło jej mocniej, kiedy spojrzała na zegar: dwadzieścia po piątej.

- Budowlańcy chcą zasłonić światło. Budują wieżowce, zakrywają każdy skrawek nieba. Mojego dziadka za grosz nie obchodziło, jaki cień ten budynek będzie rzucał na Central Park i jaki fragment nieba zasłoni.

- Próbuje pan to jakoś zrekompenzować, panie Rheinbeck - powiedziała Catherine.

- Gdyby tylko mój syn patrzył na to w taki sposób. Ojciec swoim zachowaniem jakby przeskoczył pokolenie. Ale jak miejskie dzieci mają marzyć, jeśli nie mogą wiosną oglądać chmur? Jeśli nie pójdą do parku w chłodną letnią noc i nie będą wpatrywać się w gwiazdy?

- Nie wiem. - Catherine spojrzała na wejście służbowe.

- Ludzie muszą patrzeć w górę - ciągnął Rheinbeck. - Także w betonowych kanionach Nowego Jorku. Nieważne, co ich do tego skłania: obserwowanie ptaków, aniołów czy nieba. Ważne, żeby to robili.

- Poczyniliśmy już spore postępy - powiedziała Catherine, wskazując stos książek i swoje notatki.

Pokręcił głową.

- Czas ucieka, umrę, zanim skończymy. Wiesz, Catherine, nazwisko Rheinbecków wiele znaczy w tym mieście, stoją za nim banki, domy maklerskie, działalność charytatywna, wieżowce, które mój syn zbudował i zamierza zbudować, ale ja najbardziej dumny jestem z tego, co ty robisz tutaj. Przyszedłem ci tylko powiedzieć, żebyś nie ustawała w tym zbożnym celu.

Oczy Catherine napełniły się łzami, gdy słuchała, jak Rheinbeck postukuje laską w drodze do windy. Miała wyrzuty sumienia, że wykorzystuje swojego szefa. Od ubiegłego roku ciągle to robi, w taki sposób mu się odpłaca. Odłożywszy najważniejsze kwestie na bok, w przeciwieństwie do Sylwestra Rheinbecka Catherine nie wierzyła w swoją pracę. Czy projekt skłoni ludzi do patrzenia w górę? A jeśli tak, czy to poprawi jakość ich życia?

Upewniwszy się, że winda ruszyła w dół, poszła do drzwi służbowych wychodzących na wewnętrzną klatkę schodową, z której korzystał głównie woźny zbierający w każdy piątek śmieci. Serce mocno jej biło. Niemal rok temu po raz pierwszy otworzyła te drzwi. Teraz robiła to regularnie.

Przekreśliła gałkę i pociągnęła.

Na korytarzu stał Danny Byrne, wysoki i ogorzały, ubrany w kurtkę, którą Lizzie zwędziła z pojemnika z używaną odzieżą u Świętej Łucji. Długie włosy spadały mu na kołnierz. Wciąż był zbyt młody na codzienne gołowanie, ale broda zaczynała mu rosnać puchatymi kępkami. W jego oczach malowało się cierpienie (podobne oczy miał dzisiaj rano jego ojciec), jakby przeszedł więcej, niż potrafił znieść.

- Cześć, C.

- Lizzie dała mi list. Już miałam otworzyć drzwi, kiedy przyszedł pan Rheinbeck.

- Wiem, słyszałem go - odparł z troską w głosie.



- Chodź tu, niech cię uścisknę. - Otworzyła ramiona, a on się nachylił w taki sposób, by nie dać ani nie wziąć zbyt wiele uczucia, nie mógł bowiem zniszczyć zbroi, którą przywdział w ubiegłe Boże Narodzenie, kiedy zaczął żyć na ulicy. Catherine i Lizzie obserwowały jego bójkę z ojcem, a następnego dnia rano widziały, jak grzebie w śmietniku.

"Zaadoptowały" go postanawiając, że dołożą wszelkich starań, żeby mu matkować, a przynajmniej pomóc na tyle, na ile im pozwoli. Nie lubił mówić o ojcu i siostrze ani o Nowej Szkocji. Przychodził i odchodził bez fanfar, wręcz rozplywając się w powietrzu, dlatego też Lucy nadała mu przydomek "Harry Houdini", od magika, o którym pisała w szkole referat.

Podczas pierwszych miesięcy nie chciał zamieszkać u Catherine, Lizzie, w schronisku ani w żadnym innym miejscu, w którym znajdowały mu nocleg. To było tak, jakby chciał się ukarać za porzucenie ojca i siostry. Miał plany, ale nie zamierzał cieszyć się wygodami w czasie ich realizacji.

A potem pewnego dnia zapytał Lizzie, czy mógłby podać jej adres przy wyrabianiu karty bibliotecznej. Zgodziła się, uprzedziła jednak, że będzie musiał okazać dowód tożsamości. Wzdragał się przed tą perspektywą, powiedziała mu więc o bibliotece Catherine. Catherine zaprosiła go, by przyszedł po zamknięciu, a on zasnął z głową na rzeźbionym mahoniowym biurku.

Przychodził potem wiele razy. Catherine dała mu koc, czasami zasypiał przy grzejniku na ławce pod oknem, z którego rozciągał się niewiarygodny widok na Central Park.

- Chcesz tu dzisiaj spać? - zapytała.

- Nie po to przyszedłem ...

Patrzyła, jak marszczy brwi, zastanawiając się, ile jej może zdradzić. Wyglądał bardzo młodo, a równocześnie bardzo staro. Blizna na jego policzku wciąż była wyraźna i czerwona; ubiegłej zimy zraniono go nożem, kiedy spał pod mostem w parku. Nie miał pieniędzy ani ubezpieczenia, nie poszedł więc do lekarza, dopóki nie zobaczyła go Catherine. Natychmiast zawiozła go na izbę przyjęć szpitala St. Luke-Roosevelt.

- Wiesz, mam teraz mieszkanie - powiedział, widząc jej uważne spojrzenie; chciał ją uspokoić.

- Gdzie? ~ zapytała, ponieważ mu nie wierzyła.

Faktem było, że kłamał, kiedy uważał, że tak będzie lepiej. Miał coś do zrobienia w Nowym Jorku, ale nikogo nie wtajemniczył w swoje plany i nie zamierzał pozwolić, by ktoś mu w tym przeszkodził. Catherine orientowała się, że okłamał ją i Lizzie, żeby przestały go wypytywać.

- Nie mogę ci powiedzieć. To tak, jakby Houdini zdradzał swoje magiczne sztuczki.

- Och, Hany - powiedziała, a on szerzej się uśmiechnął. Miał siedemnaście lat, wciąż był chłopcem, dlatego wielką przyjemność sprawiło mu przydomek, które nadała mu Lucy. - Jeśli nie chcesz spać, musisz przynajmniej skorzystać z książek. Tylko pilnuj, żeby żaluzje były spuszczone, jeśli będziesz korzystał z lampki. Nie chciałabym, żeby Sylvester junior w drodze z opery zobaczył coś i przyszedł sprawdzić.

- Boisz się, że cię przyłapią na pomaganiu mi? Catherine spuściła wzrok. Trudno jej było wyjaśnić, co czuje.

Chociaż Rheinbeck znany był z dobroczynności, w firmie obowiązywał surowy zakaz przebywania obcych w bibliotece, ponieważ wiele zgromadzonych tu książek było rzadkimi pierwszymi wydaniem, kolekcjonowanymi przez rodzinę od wielu pokoleń. Dlatego też miała wyrzuty sumienia, że wpuszcza tu Danny'ego.

- Może nie powinienem przychodzić - powiedział. - Nie chcę, żebyś miała przeze mnie kłopoty.

- Tym się nie przejmuj. Masz nowe zdjęcia?

- Nie, skończył mi się film.

Z szuflady biurka wyjęła nową rolkę.

- Wiesz ... twój ojciec i siostra wrócili.

Kiwnął głową.

- Wiem, wczoraj wieczorem byłem w Chelsea. Milczała, czekając na dalszy ciąg.

- Chciałem cię prosić o przysługę. Nie musisz tego robić, chyba uda mi się znaleźć inny sposób ...

- Mów - przerwała mu Catherine. Odnosiła wrażenie, że najtrudniejszą rzeczą dla Danny'ego jest zwrócenie się o pomoc.

Odchrząknął, wpatrując się w okno. Z tej wysokości Central Park był rozległy i mroczny, oznaczony tu i tam światłami lamp. W stawie, którego brzegi łączył most, odbijała się miejska luna. Na Wollman Rink szaleli łyżwiarze. Danny milczał przez długą chwilę i Catherine zaczęła się obawiać, że zabrakło mu odwagi.

- Chodzi o moją siostrę - odezwał się wreszcie.

Kiedy spojrzała mu w oczy, odczuła wstrząs na widok malujących się w nich emocji. Głos mu drżał i siłą powstrzymywał łyż. Nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie.

- Tęsknisz za nią, prawda? Pośpiesznie pokręcił głową. - Nie pytaj mnie o to.

- Danny, możesz pójść do ojca. Jeśli chcesz, pójdę z tobą. - Nie lubiła handlarza choinek, ale współczuła mu, że nie wie, gdzie jest jego syn.

- Jeśli jeszcze raz o nim wspomnisz, wyjdę. Wiesz, że to zrobię! - odparł gwałtownie.

Uśmiechnęła się czule. W jego głosie brzmiała potężna groźba, jak zawsze, gdy przez cały ten rok proponowała, żeby napisał czy zadzwonił do bliskich albo jej na to pozwolił. Nigdy o nich nie mówił, nie wiedziała więc, czy ojciec go bił i źle traktował, czy też Danny nienawidził życia w odległym północnym zakątku - to musiało być trudne dla chłopca w jego wieku. Wiedziała tylko, że miał plan i nie zamierzał pozwolić, żeby ktokolwiek przeszkodził mu w jego realizacji.

- Nie będę o nim mówiła.

- Dobra. - Danny wziął głęboki oddech. - Nie musisz mi pomagać, ale jeśli chcesz ... Zastanawiałem się, czy nie mogłabyś zrobić czegoś dla mnie w piątek wieczorem.

I powiedział jej, o co chodzi.

Stojąc przy stoisku z choinkami, Christy wszystko zaplanował. Na kolację kupi coś chińskiego dla Bridget (najlepiej jej ulubione krewetki w sosie słodko-kwaśnym) i zje razem z nią. Potem poczyta jej i będzie się modlił, żeby szybko zasnęła. Nie chciał, by córka czuła się zaniedbywana, zostawiona samej sobie, podczas gdy on musiał szukać Danny'ego.

Dzisiaj trochę zarobił, sprzedał parę choinek i sporo wieńców. Przytupywał na rozgrzewkę. Jeszcze kilka minut i będzie mógł skończyć pracę. Czuł, że uszy i policzki mu marzną. Odpędzał zimno, myśląc o miejscach, w których będzie szukał syna, i wtedy właśnie usłyszał chrzęst pośpiesznych kroków na śniegu. Uniósł wzrok i zobaczył nieśmiałą kobietę w czerni.

- Dobry wieczór pani - powiedział, posyłając jej swój dawny uśmiech.

- Witam - odpowiedziała i ku jego ogromnemu zdumieniu zatrzymała się. Miała około stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i była szczupłą, jak zwykle opatulona w czarny płaszcz i szal nasunięty na brodę. Mimo mroku jej szare oczy błyszczały za okularami w srebrnych oprawkach. Włosy barwy pszenicy sięgały ramion. Zauważył, że w uszach ma kolczyki: maleńkie kamienie księżycowe, dokładnie takie, jakie morze wyrzucało na plażę Pleasant Bay.

- Chce pani kupić choinkę? - zapytał.

- Nie.

- To może wieniec? - Z jakiegoś powodu przekonujący ton go opuścił. Może był zmęczony albo po prostu chciał już wyruszyć na poszukiwania Danny'ego. A może powodem były jej szare oczy, które spoglądały na mego szacująco.

- Chciałam zaprosić pańską córkę, żeby jutro spędziła wieczór ze mną i moimi przyjaciółkami - powiedziała wolno i wyraźnie.

- Bridget? Zaprasza pani Bridget? - zapytał uradowany.

- Tak. Na zapalenie lampek na choince w Rockefeller Center.

- Och, wspaniale. Bardzo się ucieszy. Zawsze marzyła, żeby na własne oczy obejrzeć zapalenie lampek. Ona i jej brat... - urwał. Wyobrażał to sobie czy rzeczywiście kobieta lekko się skrzywiła? Zaraz jednak mówił dalej, zbyt szczęśliwy, żeby teraz się nad tym zastanawiać. - Mówiła mi, że to wielki świerk, wysoki na dwadzieścia pięć metrów. Widziała go w telewizji.

- Więc myśli pan, że Bridget chętnie się do nas przyłączy?

- Jestem o tym przekonany. Włoży swoje świąteczne ubranie. Najładniejszą sukienkę. Kobieta się uśmiechnęła.

- Ale tam będzie zimno.

Christy wybuchnął śmiechem. Reagował z nadmiernym entuzjazmem, Mary zawsze go z tego powodu ganiła. Nie potrafił się powstrzymać, kiedy ogarniały go silne emocje. Sama myśl o wyrazie buzi Bridget, kiedy jej o tym powie ...

- Bardzo pani dziękuję - powiedział. - Bridget bardzo się ucieszy. A przy okazji, córka tak ma na imię .. ale pani to wie, przecież przed chwilą pani mówiła o niej - paplał jak idiota. - A zresztą czemu nie miałyby pani wiedzieć? Od wielu lat często się widzimy. Jestem Christopher Byrne. Christy.

- Catherine Tierney. - Uścisnęli sobie dłonie.

- Dobre irlandzkie nazwisko.

- Po mężu. Chociaż zanim wyszłam za Briana, nazywałam się O'Toole.

- Zakochał się w ślicznej irlandzkiej dziewczynie.

- Zakochaliśmy się w sobie wzajemnie. - W jej szarych oczach pojawił się ten wyraz, który kazał mu myśleć o niej jako o osobie smutnej, pogrążonej w żalobie.

- Brian umarł, tak? - zapytał Christy. Boże, nie miał pojęcia, co w niego wstąpiło, słowa opuściły usta, zanim zdążył się zastanowić. Zobaczył, że Catherine mruga, a potem spuszcza wzrok.

- Tak - odparła, do głębi wstrząśnięta.

Poczuł emanujące od niej wibracje i pragnął jej opowiedzieć o Mary, o tym, jak trudno poradzić sobie ze śmiercią współmałżonka, dać do zrozumienia, że on wie, bo sam przez to przeszedł. Tym razem jednak zabrakło mu słów.

- Bardzo mi przykro - tyle tylko wyjąkał.

Z oczami lśniącymi od łez kiwnęła głową. Kiedy znowu uniosła na niego wzrok, zniknęło wcześniejsze ciepło i światło, teraz znowu była opanowana, zmieniona przeżytych szokiem. Umówili się na piątek: o piątej po południu Bridget spotka się przy stoisku z Catherine, Liz i Lucy, a potem razem pójdą oglądać zapalanie lampek.

Christy odprowadzał ją wzrokiem. Przeklinał siebie, że ją zdenerwował. Przez chwilę wydawała się swobodniejsza, jakby część jej smutku zniknęła. Zaprzagnął ją pocieszyć; pragnienie było tak silne, że opuścił stoisko i ruszył jej śladem.

Chciał ją zapewnić, że będzie lepiej. Żal, choć niekiedy paralizujący, z czasem maleje, choć dzieje się to niepostrzeżenie. Jego ciężar przygniata cię do ziemi, ale nagle łapiasz się na tym, że uśmiechasz się do słońca. Albo cieszysz smakiem jabłka. Pewnie, mrok znowu powróci, Christy jednak chciał powiedzieć Catherine, że kiedy raz zaczną maleć, ciemności przestają być takie straszne. Tak właśnie było z nim po śmierci Mary.

Był już blisko, ale Catherine, skręciwszy na Dwudziestą, przystanęła. Coś kazało mu wstrzymać się i patrzeć. Odetchnęła i uniosła wzrok. Spojrzał w tym samym kierunku; przysiągłby, że wpatrywała się w małe okno w jednej z rzędu ładnych ceglanych kamienic.

Zrobiła krok, potem następny. Christy pomyślał, że wygląda na przerażoną, jakby obawiała się, że Ha ulicy straszy. Obserwował, jak zbliża się do domu, chwyta żeliwnej balustrady i z wysiłkiem wchodzi po schodach. Serce mu waliło, gdy zobaczył, że stoi na ostatnim stopniu, jakby nie chciała wchodzić do środka. Po chwili jednak otworzyła ozdobne drzwi i zniknęła we wnętrzu domu.

Christy nie miał okazji powiedzieć jej tego, co chciał: że kiedy jest najgorzej, trzeba mieć największą wiarę. Ze dzięki tej postawie przetrwał jakoś śmierć Mary ...

Gdyby tylko pomogło mu to przetrwać tęsknotę za Dannym, rozmyślał, zamykając stoisko i śpiesznie wracając do pensjonatu, by przekazać zaproszenie Bridget. To jednak było coś innego. Jego syn, zaledwie siedemnastoletni, błąkał się po ulicach Nowego Jorku. Strach i żal przygniatające Christy'ego po odejściu chłopca były większe niż to, co czuł po śmierci Mary.

Były gorsze od wszystkiego, co mogło go spotkać.

## 5

W piątek po południu Lizzie dla wszystkich miała nakrycia głowy. Kiedy Catherine przysłała do stoiska Christy'ego, zapadł już zmierzch i światła miasta zaczynały migotać. W powietrzu wyczuwało się śnieg - dodatkowa atrakcja przy zapalaniu lampek. Wokół Bridget krzątały się Lizzie i Lucy, przypinając zielony włóczkowy kapeluszek do jej gęstych rudych włosów.

- Dla ciebie mamy biały, Catherine - powiedziała Lucy.

- Chciałbym pani przedstawić moją córkę Bridget Byrne. A to pani Catherine Tiemey - powiedział Christy. Catherine uściśnęła dłoń dziewczynki, myśląc przy tym, jak bardzo jest podobna do swojego brata.

- Bardzo się cieszę z naszego spotkania - powiedziała z uśmiechem. - Mam wrażenie, jakbym cię znała. Przez te lata patrzyłam, jak rośniesz.

- Wszystkie mamy takie wrażenie - zgodziła się Lizzie.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedziała Bridget. Głos miała cichy i nieśmiały, ale jej zielone oczy błyszczały z ożywienia.

- To dobra dziewczynka - odezwał się Christy.

Wyglądał dzisiaj na zmęczonego i zdecydowanie mniej żarliwego niż wczoraj. Jego ogorzałą twarz żłobiły bruzdy, pod oczami miał cienie, jakby przez całą noc był na nogach. - Nie muszą się panie martwić, że będzie niegrzeczna.

Catherine zarumieniła się. Czyżby to była aluzja do Danny'ego? Nie ośmieliła się spojrzeć na Christy'ego. - Będę grzeczna, tatusiu - zapewniła Bridget. Podeszedł klient, pożegnały się więc i ruszyły do metra. Wszystkie wyglądały bardzo świątecznie we włóczkowych kapeluszach Lizzie, z których każdy miał inną ozdobę. U Bridget za opaskę wetknięty był kolorowy cukierek, u Lucy wieniec, u Lizzie świeca, a u Catherine zielona choinka.

- Dlaczego na choince Catherine nie ma lampek ani ozdób? - zapytała Lucy.

- Nie mam pojęcia - odparła jej matka. - Modystka tak zdecydowała.

- Niektórzy uważają, że drzewa bez ozdób są piękniejsze - odezwała się Bridget. - Wystarczą szyszki, kryształki soli, a czasami ptasie gniazda albo pióra na gałęziach.

- Naprawdę? Choinka z ptasim gniazdem? - Lucy, prawdziwe dziecko miasta, poruszył ten magiczny obraz.

- Tak - potwierdziła Bridget. - W Nowej Szkocji to normalne.

Lucy słuchała opowieści Bridget o tym, jak przed zeszłym Bożym Narodzeniem jej brat znalazł dwa plamiste jaja w gnieździe na środkowych gałęziach białego świerka. Catherine i Lizzie szły za dziewczynkami.

- Co się dzieje? Co Danny mówił? - szepnęła Lizzie.

- Chce, żebyśmy stanęły przy ogrodzeniu koło lodowiska od strony Pięćdziesiątej Ulicy.

- My i cała reszta Nowego Jorku! I zamierza nas tam znaleźć? A co mówił o spotkaniu z siostrą? Chyba nie zrobi nic głupiego w rodzaju porwania jej, co?

- Nie. Powiedział...

- Bo bez względu na powody, dla których on nie potrafi dogadać się z ojcem, Bridget jest za mała, żeby prowadzić takie życie. Ma dopiero dwanaście lat.

- On o tym wie. Myślę, że prosił nas o to nie dlatego, że chce się z nią spotkać, ale dla niej.

- Dla niej?

- Powiedział mi, że od lat marzyła, żeby na własne

oczy obejrzyć zapalanie lampek. Zawsze ogląda to w telewizji, bo ojciec jest zajęty pracą.

- Danny chce, żeby jego siostra przeżyła coś wyjątkowego?

- Tak.

- Myślę, że to możemy załatwić - oznajmiła Lizzie.

66

Pójście do Rockefeller Center było dla Lizzie prawdziwą wyprawą, i to pod niejednym względem. Tłum był tu nieprzebrany, witryny sklepowe udekorowano ze starannością godną broadwayowskiego musicalu, ludzie mieli na sobie futra, kobiety buty na wysokich obcasach, a wszyscy trzymali co najmniej pięć toreb. Kapitalistyczny bożonarodzeniowy duch miał się tutaj bardzo dobrze. Chociaż ściśle rzecz biorąc, był to środek Manhattanu, Lizzie uważała, że ta część miasta należy do zamożniejszych dzielnic, ponieważ położona była na północ od Dwudziestej Trzeciej Ulicy.

Nowojorczycy dzielili się na tych ze śródmieścia i bogatych przedmieść. Obecnie niektórzy twierdzili, że to pierwsze zaczyna się od Canal Street i ciągnie na południe, ale Lizzie, rodowita mieszkanka Nowego Jorku; wiedziała dobrze, że ten podział wymyśliły agencje handlu nieruchomości. Przynależność do bogatych albo biedniejszych dzielnic to była kwestia stylu życia. Jeśli człowiek zwracał uwagę na to, czy jego portfel jest od Prady albo Fendiego, do Lincoln Center jeździł limuzyną, miał fryzurę od znanego fryzjera, respektował zakaz trzymania zwierząt w mieszkaniach, odróżniał sklepy towarowe Barney's od Bergdorf Goodman, to należał do bogatej dzielnicy. Bogate dzielnice wydawały mnóstwo pieniędzy i wstawały wcześniej rano, żeby sprawdzić ceny akcji.

Gorsze dzielnice nigdy nie budziły się wcześniej, chyba że dziecko chodziło do pierwszej klasy. Tu królowało twórcze podejście do życia, za pewnik uważało się zwierzęta w domu, normą był wspólny szyb wentylacyjny z hotelem Chelsea i widok płonącego materaca wylatującego w środku nocy przez okno. Sąsiadami często bywali gitarzyści albo ludzie uczący się gry na gitarze. Tam były kapelusze i serwisy do herbaty od "Chez Liz".

Lizzie bez dwóch zdań należała do drugiej kategorii nowojorczyków. Twierdziła, że dostaje krwotoku z nosa, jeśli zapuszcza się za Dwudziestą Trzecią Ulicę. Żaden jej romans z mężczyzną z zamożnych dzielnic nie wyszedł poza etap spotkań przy drinku. Dzisiaj odważyła się na wyprawę do Rockefeller Center wyłącznie ze względu na Catherine.

Zaczęły w kafejce panny Rumble tuż koło wieżowca Rheinbecków. Lizzie patrzyła, jak Lucy i Bridget

studiują menu. Catherine pomogła im zdecydować, co będzie lepsze: miniaturowe kanapki z szynką i serem czy z masłem orzechowym i dżemem morelowym, herbata darjeeling czy napar z tymianku. Catherine robiła to, o co prosił Danny: dbała, by jego siostra świetnie się bawiła.

Kelnerka sprawiała wrażenie wyniosłej, ale Catherine dała sobie z nią radę, bez problemu potrafiła sterczać snobami. Przecież wyszła za mąż za człowieka z najlepszej dzielnicy. Na początku Lizzie nie posiadała się ze zdziwienia, kiedy najlepsza przyjaciółka przedstawiła jej Briana. Był typem z Carnegie Hall, miał mieszkanie na rogu Madison i Dziewięćdziesiątej Pierwszej, był członkiem klubów Harvard i Union, pracował w firmie prawniczej na Wall Street. Lizzie rozważała, czy nie poddać przyjaciółki egzorcyzmom - na litość boską, zakochała się w prawniku.

Ale Brian był zupełnie nadzwyczajnym prawnikiem i człowiekiem. Przejmował go los tych, którym się nie powiodło. Chociaż reprezentował wielkie korporacje, poświęcał czas i pieniądze na działalność w Amnesty International, New York City Audubon i Community Access. Kiedy się poznali, jako wolontariusz pracował w jadłodajni dla bezdomnych u Świętego Ignacego Loyoli i opiekował się dzieckiem ze wschodniego Harlemu.

Jego firma reprezentowała też korporację Rheinbecków. Brian zauważył Catherine w windzie. Kiedy dojechali na pięćdziesiąte czwarte piętro, powiedziała:

- Na tym piętrze jest biblioteka. Pewnie szuka pan jakiegoś biura?

- Nie - odpowiedział jej wtedy. - Chcę panią dzisiaj zaprosić na kolację.

Zgodziła się i poszli do "Aureole", nazajutrz do "Le Bernadin", potem do "Cafe des Artistes" - to były najlepsze restauracje w Nowym Jorku. Czwartego dnia Catherine zwierzyła się Lizzie:

- On jest cudowny. Ludzie naprawdę go obchodzą, chce zmieniać świat. Tylko że ja nigdy nie widziałam go inaczej jak w garniturze! A lokale, do których mnie zabiera, byłyby super, ale raz w roku. Codziennie natomiast...

- Powiedz mu, że musisz zjeść pizzę - nalegała Lizzie. - To będzie sprawdzian. Jak się skrzywi, będziesz wiedziała, że jest tylko manekinem na te swoje wyszukane koszule.

I Catherine posłuchała rady przyjaciółki. Zaproponowała, żeby poszli na pizzę, ubrani w dżinsy. Brian przyjął to rewelacyjnie, mówiąc ze śmiechem, że zabierał ją do eleganckich restauracji, bo jest taka cudowna i chciał zrobić na niej wrażenie. Catherine odpowiedziała, że jeśli naprawdę chce zrobić na niej wrażenie, zaprosi ją do Johna przy Bleecker Street. Poszli i przekonali się, że oboje lubią pizzę bez wymyślnych dodatków ... I właśnie wtedy, gdy swobodnie czuli się w swoim towarzystwie, gdy po raz pierwszy widziała Briana w dżinsach, zakochała się w nim.

Brian dowiedział się, że Catherine wychowała się w Chelsea. Nie była biedna, choć jako córka nowojorskiego gliniarza nie opływała też w dostatki. Idąc Dwudziestą Zachodnią w drodze do szkoły Świętej Łucji, marzyła, jak by to było mieszkać w jednej z tych pięknych kamienic przy Cushman Row. Pokazała mu je pewnego wieczora, gdy spacerowali przy świetle księżycy. A kiedy się pobrali, Brian tutaj kupił dla niej dom.

Brian adorował Catherine w każdej chwili wspólnego życia. Spędzili razem sześć lat. Czerniak zapewnia szybką śmierć - osiem tygodni po pierwszej wizycie u lekarza Brian już nie żył. Czasami Liz zgadzała się z najlepszą przyjaciółką: odwrócenie się od Boga, który odebrał jej męża, wydawało się rozsądne. Bywały dni, kiedy modlitwy Liz polegały wyłącznie na wrzeszczeniu na Najwyższego. Nie tylko z powodu Briana, ale i Catherine, bo Liz traciła przyjaciółkę.

Nie potrafiła patrzeć na jej cierpienie. Tamte tygodnie poprzedzające Boże Narodzenie, kiedy Brian odszedł, były najgorsze. Catherine szukała go wszędzie. Patrzyła na mgiełkę w powietrzu i wyobrażała sobie, że to jego duch. Lizzie była przekonana, że większość grudniowych nocy spędzała w mansardowym pokoju - Catherine i Brian zawsze planowali, że będzie to pokój dziecienny.

Catherine miała pokój dziecienny, ale nie miała dziecka. I nie miała Briana. Lizzie wiedziała, że właśnie dlatego tak emocjonalnie zaangażowała się w sprawę Danny'ego. Brian zawsze troszczył się o bezdomnych i głodnych, o dzieci, które wpadły w kłopoty, o rozbite rodziny. Chodził po mieście z kieszeniami pełnymi jednodolarowych banknotów, które dawał zebrakom.

- Nie możesz pytać, co zamierzają zrobić z twoim datkiem - powiedział kiedyś żonie. - Nie możesz ich osądzać. Jeśli dajesz im pieniądze, a oni natychmiast kupują butelkę, to trudno, taki jest ich wybór. Ludzie muszą zachować godność

Lizzie zdawała sobie sprawę, że tak samo Catherine próbowała postępować wobec Danny'ego. Starła

się go skłonić, żeby zadzwonił do domu, a kiedy odmówił, pomagała mu, jak mogła - powiadomiła o jego istnieniu pracowników Family Orchard, a także (bez jego wiedzy) wydział do spraw nieletnich.

- Ma szesnaście lat - powiedziała w rozmowie z Lizzie w zeszłym roku. - Nie mogą go zmusić do powrotu do domu, ale może przekonają, żeby nie mieszkał na ulicy.

Jednakże Danny "Harry" Byrne każdego potrafił przechytryć. Był wiejskim chłopcem z kanadyjskiego wybrzeża, obdarzonym umiejętnościami myśliwego i tropiciela. Kiedy pracownicy z wydziału nie letnich trafiali na jego ślad, znikał. Lizzie wiedziała, że kilka razy spał w bibliotece Catherine, a letnie noce czasami spędzał w Central Parku. Poza tym miejsce jego pobytu pozostawało tajemnicą.

Catherine zrezygnowała z prób zrozumienia powodów, którymi kierował się Danny. Nie usiłowała zmienić ani kontrolować sytuacji, przyjęła metodę Briana, by dawać i o nic nie pytać.

Lizzie wiedziała, że to było trudne. Serce jej jednak rosło, gdy patrzyła, jak przyjaciółka z uśmiechem pomaga Bridget nałożyć bitą śmietaną na rogalik. Catherine wydawała się dzisiaj wieczorem ożywiona, jej szare oczy błyszczały. To sprawiło, że wyprawa do dzielnic snobów stawała się łatwiejsza do zniesienia.

Bridget wstrzymała oddech, stojąc w tłumie zgromadzonym przed Rockefeller Center i wpatrując się w wysokie drzewo. Piękni łyżwiarze sunęli po błękitnobiałym lodowisku, zupełnie nie przypominającym wiejskich stawów, na których jeździli z Dannym. Orkiestra grała kolędy, nieustannie błyskały flesze. Wokół do samego nieba wznosiły się budynki, w każdym oknie połyskiwało światło.

- Widzisz ten złoty pomnik? - zapytała Lucy, pokazując prawie nagiego mężczyznę, który przydował nad lodowiskiem. - To Prometeusz, najmądrzejszy z Tytanów, dał ludziom ogień.

- Ojej, ale ty dużo wiesz. - Bridget spojrzała na dziewczynkę. Lucy była od niej młodsza o cztery lata. Taka sama różnica wieku dzieliła Bridget i Danny'ego. - W szkole uczymy się o mitach. A ty czemu nie chodzisz?

- Nie chodzę?

- Do szkoły.

- Och, chodzę, ale na grudzień przyjeżdżamy do Nowego Jorku, bo tata sprzedaje tu choinki. Z tego zyjemy.

- My? - zapytała Lucy, marszcząc brwi.

- Tata, ja i mój brat.

- Harry! - wykrzyknęła Lucy.

- Nie, na imię ma Danny - poprawiła ją Bridget. Lucy załapała się rumieńcem, szybko zerknęła na matkę i Catherine. - Nie masz się czym przejmować - powiedziała Bridget, bo jej nowa znajoma wyglądała na strasznie zakłopotaną.

- Tęsknisz za nim?

Bridget potaknęła. Zastanawiała się, ile wie Lucy, a skoro o tym mowa, ile wiedzą pozostali. Uniosła wzrok ku potężnemu świerkowi. Wyobrażała sobie, jak drzewo rośnie w Nowej Szkocji, na zboczu koło domu, opierając się morskim wiatrom wiejącym ze wschodu.

- Bardzo - odparła. - Tatuś też. Co wieczór chodzi go szukać.

- Twój tata? Co wieczór?

- Załuję, że tatuś z nami nie przyszedł, bo Danny jest tutaj - szepnęła.

- To znaczy teraz? - zapytała Lucy.

- Czuję go. On ... on opiekuje się drzewem. Dopóki nie zapalą się lampki.

- A co potem się stanie? - zapytała Lucy zafascynowana.

- Drzewo ożywa ... w inny sposób. Kiedy lampki się zapalają, wszyscy czują wzruszenie. Takie jak ... no, to chyba brzmi głupio - ale takie, jakie czujesz w Boże Narodzenie. Drzewo nie potrafię tego wyjaśnić. Ale nie ścięto go na próżno, tylko z ważnej przyczyny: żeby każdy, kto je widzi, uwierzył w święta.

- A w co dokładnie? - zapytała Catherine. Bridget z przestachem uniosła wzrok. Nie zdawała sobie sprawy, że Catherine słuchała. Odchrząknęła. Co innego wyjaśniać to Lucy, dzieci takie sprawy rozumieją intuicyjnie, nawet dziewczynki, które wychowują się w mieście.

- W dobro związane ze świętami - powiedziała.

Głos jej się łamał, po części dlatego, że denerwowało ją mówienie o tym, po części zaś dlatego, że jej wiara w Boże Narodzenie została w zeszłym roku wystawiona na próbę przez ucieczkę Danny'ego.

- To przypomina magię - oznajmiła Lucy, rzucając matce dziwnie groźne spojrzenie. - Przypomina Harry'ego Houdiniego.

- Cichutko, kochanie - odparła Lizzie.

W tej samej chwili z głośników zadudniły głosy prowadzących. Tłum napał, każdy chciał lepiej widzieć. Bridget czuła, jak serce jej wali, teraz lada chwila zapalą się światła. Żałowała, że nie wie, gdzie jest Danny, pragnęła, by tatuś razem z nią był świadkiem tej cudownej chwili. Tęskniła za matką, która nigdy nie pojechała do Nowego Jorku.

Ktoś ujął ją za rękę. To była Catherine, która jakimś cudem czytała jej w myślach. Bridget wierzyła, że Catherine rozumie magię. Catherine zaprosiła ją tu dzisiaj. Ubrana była na czarno i miała smutne oczy za okularami w cienkich srebrnych oprawkach. Trzymała mocno dłoń Bridget. W tłumie jakiś głos zaczął odliczane.

- Cztery, trzy, dwa, jeden!

I nagle dwie rzeczy zdarzyły się równocześnie: wspaniałe drzewo zapłonęło tysiącami lampek, a ktoś ściągnął Bridget czapkę z głowy.

- Mój kapelusz! - krzyknęła.

Okręciła się i zdążyła jeszcze zobaczyć chłopca przepychającego się przez tłum. Miał na sobie inną kurtkę, jego brązowe włosy urosły, ale Bridget wiedziała, że to brat ukraść jej kapelusz.

- Danny! - zawołała.

Lecz jego już nie było. Lucy schyliła się po kapelusz.

Bridget poczuła coś na kształt rozczarowania, wolałaby myśleć, że ma go brat. Kiedy jednak wzięła od Lucy zielony kapelusik, w środku zobaczyła złożoną kartkę papieru. A ponieważ dziewczynka jej nie dostrzegła, Bridget postanowiła, że poczeka, aż będzie sama. Przesuwając palcami po papierze, spojrzała na choinkę.

Wszyscy wzrok mieli uniesiony w górę. Lampki na świerku były jasne jak gwiazdy w Nowej Szkocji. Jej brat cały czas tu był, stał na straży. Bridget to czuła, wiedziała, że będzie pilnował drzewa. Pragnęła natychmiast pobiec i powiedzieć o tym ojcu. Miała tylko nadzieję, że nikt nie domyśla się, co przed chwilą się zdarzyło.

- Tatusiu - szepnęła, nie mogąc się powstrzymać. Kiedy znowu uniosła wzrok, spodziewała się, że wszyscy będą patrzyli na drzewo, tymczasem Catherine patrzyła na nią. Jej oczy błyszczały, jakby przed chwilą lampki zmieniły się w gwiazdy. I jakby nagle zobaczyła ducha świąt.

- Dobro - szepnęła Bridget, patrząc jej w oczy.

- Dobro - odszepnęła Catherine.

## 6

W sobotni poranek Catherine leżała w łóżku, przykryta po samą brodę. Za oknem szalał śnieg gnany wiatrami znad Hudsonu. Rozmyślała o wczorajszym wieczorze, o tym, jak w chwili gdy na drzewie zapłonęły lampki, Bridget szepnęła "tatusiu". Chciała, by ojciec dziewczynki był przy tym ...

Wstała i poczuła chłód, gdy gołe stopy zetknęły się z drewnianą podłogą. Pobiegnęła do mansardowego pokoju, do którego chodziła codziennie. Usiadła na bujanym fotelu, otuliła się grubym kocem i wzrok utkwiała w okienku. Śnieg był gęsty, miała tylko nadzieję, że Danny'emu jest ciepło.

Na myśl o nim poczuła się źle. Próbując mu pomóc, nie myślała wcale o jego rodzinie, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo za nim tęskni. Nigdy jej nie powie- ' dział, dlaczego uciekł. Na początku założyła, że ojciec był wobec niego okrutny. Kiedy jednak raz go o to zapytała, Danny pokręcił energicznie głową.

- To wcale nie o to chodzi.

Widziała go wczoraj wieczorem, jak zrecznie przepychał się przez tłum, co wiecej, dostrzegła też spłoszony wyraz twarzy Bridget, ściskającej w dłoni liścik od niego.

Co napisał do siostry? Catherine bardzo chciałaby to wiedzieć.

- Powiedz mi, co mam zrobić, Brianie.

Wyteżyła słuch, ale prócz skrobania gałęzi drzew o okno i szumu gorącej wody w rurach panowała cisza. Brian był taki dobry i mądry, zawsze wiedział, jak pomóc ludziom. Pragnęła, by nią teraz pokierował, doradził, co w tej sytuacji byłoby najlepsze. Czy powinna doprowadzić do połączenia rodziny czy raczej pomóc chłopcu pozostać w ukryciu? Nie potrafiła zapomnieć błysku w oczach Bridget trzymającej liścik od brata, łuny lampek na choince, gdy szepnęła: "Dobro".

Wróciła myślami do tej nocy trzy lata temu, kiedy Brian zmarł. Catherine opiekowała się nim przez jego krótką, okropną chorobę. Kochała męża i straszliwie się bała, że go utraci.

- Nie bój się - powiedział jej tamtego wieczoru. - Nie stracimy siebie wzajemnie.

- Jak możesz tak mówić? Skąd wiesz? - zapytała sparaliżowana przerażeniem.

- Wiem. - Brian taki był wychudzony i blade, ale z jego oczu emanowało wielkie ciepło, wydawał się odpychać możliwość śmierci. Chociaż skórę miał pożółkłą, naciągniętą na kości policzkowe, z promiennym

uśmiechem pociągnął Catherine, by usiadła koło niego.

- Powiedz, skąd wiesz - powtórzyła, trzymając go za rękę. Drżała na całym ciele. Chciała być silna, ale poniosła żalną klęskę. Miała się opiekować Brianem, tymczasem to on musiał ją pocieszać.

- Nie potrafisz ci tego wyjaśnić, kochanie - odparł słabnącym głosem. - Ale wiem, na pewno wiem, że nigdy cię nie opuszczę.

- Jak cię znajdę? Skąd będę wiedziała, że tu jesteś?

- Po prostu będziesz wiedziała.

- Ale skąd? - naciskała Catherine, z przeraże-

niem patrząc na drżące powieki męża. W pokoju zapadła cisza. Na dworze padał śnieg, płatki ocierały się o szyby. Oddech Briana zwolnił. W kąciu jego oka zobaczyła łzę: ich wspólny czas przedwcześnie dobiegał końca i to było takie niesprawiedliwe. Wpatrywali się w siebie, próbując nauczyć się na pamięć swoich rysów.

- Brianie, powiesz mi?

- Wypatruj mnie w Boże Narodzenie - szepnął. - Przywitam się z tobą, co roku tu będę.

- Ale jak?

- Wierzę w dobro, Cath. A to, co my mamy, jest takie dobre. Nie może umrzeć ... Nigdy w to nie uwierzę. Nie pozwól, by nasza miłość cię opuściła, utrzymuj ją przy życiu. Dawaj innym, Cath, dawaj tyle, ile możesz.

- I wrócisz do mnie? W jaki sposób? Jak dasz mi znać, że tu jesteś?

Mąż nie odpowiedział, ale usiadł, z oczami nagle przenikliwymi i czystymi. Catherine odniosła wrażenie, że Brian chce wstać. Puściła jego dłoń i zaczęła opuszczać łóżko. Kiedy znowu na niego spojrzała, Brian nie żył.

Nigdy nie wrócił.

To właśnie było najtrudniejsze do zniesienia. Nigdy więcej nie usłyszała jego głosu, nie zobaczyła twarzy ... We mgle dopatrywała się duchów, w poszumach wiatru szukała jego szeptu, nadaremno jednak.

Nawiedzał tylko jej serce. Przychodziła do tego pokoju, w którym miały się bawić ich dzieci. Modliła się, by go zobaczyć, usłyszeć. Błagała Boga, by raz jeszcze pozwolił jej z nim porozmawiać, ale na próżno.

Catherine mogła tylko pamiętać słowa Briana i dawać ... tyle, ile mogła. Dlatego pomaganie Danny'emu, a teraz i Bridget, tak wiele dla niej znaczyło.

Śnieg padał coraz obfitszy, wzywając ją na dwór. Zamykając oczy, przesłała całusa Brianowi, a potem zrzuciła koc i pobiegła na dół, by ubrać się stosownie do pogody.

- Tatusiu - powiedziała Bridget, ubrana w swoje nacieplejsze rzeczy i zielony kapelusz, który wczoraj dała jej Lizzie. - Nikt dzisiaj nie kupi choinki. Jest zamieć!

- Takie dni są najlepsze - zaprotestował Christy, kuląc się przed dokuczliwym wiatrem. - Kiedy zaniesiesz ją do domu, spędzisz przyjemnie czas, wieszając ozdoby.

- Tatusiu, na choinkach już jest dziesięć centymetrów śniegu, a będzie więcej! Wszyscy nowojorczyccy siedzą w domu. Na wzgórzu nikogo nie ma. Mielibyśmy je tylko dla siebie.

- Wiem, słoneczko - odparł Christy. Córka chciała, żeby zabrał ją na sanki.

To się zaczęło wczoraj późnym wieczorem, kiedy wrócił do domu z poszukiwań. Bridget nie spała, siedziała w łóżku w zielonym kapelusiku na głowie i kipiała podnieceniem. Opowiedziała mu, jak cudownie się bawiła z nowymi przyjaciółkami: herbata i rogaliki, świerk, Catherine trzymająca ją za rękę, gdy patrzyły, jak zapalają się lampki ...

- Drzewo ożyło, tatusiu - mówiła. - Naprawdę!

Światelka na gałęziach wyglądały jak gwiazdy, tysiące małych konstelacji. Byłam taka szczęśliwa, że znowu żyje. I kiedy na nie patrzyłam, poczułam chęć ... - Przygryzła wargi i odwróciła od niego wzrok. Christy wiedział, że to niemożliwe, ale córka sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała go okłamać. - Wiesz, poczułam chęć, żeby pójść na sanki. Tam gdzie nas zabrałeś, kiedy pierwszy raz przyjechaliśmy do Nowego Jorku, pamiętasz? Nie wiem, gdzie to jest, ale ty wiesz, prawda, tatusiu? Musimy pójść na to wzgórze, koniecznie! Jutro!

- Bridget, kładź się spać - powiedział Christy, gładząc ją po włosach, jak robiła to Mary, i zastanawiając się, czemu jest taka podekscytowana. - Porozmawiamy rano.

A teraz było rano, oboje stali przy choinkach, padał śnieg tak gęsty, że Christy nie widział Dziewiętej Alei. - Pomyśl, jak będzie cudownie! - zaczęła znowu Bridget, tańcząc wokół ojca. - Tyle śniegu napadało, że sanki pofruną w dół zbocza.



Christy się rozejrzył. W jednej sprawie Bridget miała rację: nowojorczycki siedzieli w domu. Na ulicy widział tylko plugi śnieżne, piaskarki, a czasem żółtą taksówkę.

- To wzgórze jest za daleko, ale moglibyśmy wybrać się gdzieś bliżej - zaproponował, próbując sobie przypomnieć, czy w Battery Park są jakieś wzniesienia. Spojrzył na córkę: płatki śniegu oblepiły jej jasne rzęsy. W tym roku bardzo ją zaniedbywał, całą uwagę skupiając na Dannym. - Poczekajmy jeszcze z godzinę, niech napada więcej śniegu.

- Nie, tatusiu - zaprotestowała gorąco. - Nie chcę iść gdzie indziej, tylko tam, dokąd wtedy zabrałeś Danny'ego i mnie. Musimy tam pójść.

- Ale to jest po drugiej stronie Central Parku.

Przez gęstą zasłonę śniegu przedarła się jakaś postać. Christy wyteżył wzrok. Od bieli wyraźnie odcinały się czarne buty i płaszcz. Kiedy podeszła bliżej, zobaczył, że jej oczy połyskują srebrem, a twarz rozjaśnia szeroki uśmiech, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widział. Kierowała się prosto ku niemu, co sprawiło, że serce zabiło mu szybciej.

- Cześć, Catherine! - powiedziała Bridget.

- Cześć, Bridget, witaj, Christy.

- Jesteś zjawiskiem - powiedział z uśmiechem. - Jedyną osobą, jaką przez całe rano widzieliśmy na ulicy.

Anioł w negatywie, cały na czarno. Dziękuję za wczoraj, Bridget miło spędziła czas.

- Catherine, masz solidne buty? - zapytała dziewczynka, pochylając się, by sprawdzić. - Świetnie! Chodź z nami na sanki, dobrze? Wybieramy się do Central Parku.

Catherine zawahała się. Christy obserwował toczącą się w niej walkę. Była nieśmiała i smutna, nosiła żalobę, mijała codziennie jego stoisko, ledwo odpowiadając na powitanie. A mimo to wczoraj wieczorem dała jego córce magiczne chwile, teraz natomiast oni zapraszali ją na rodzinną wycieczkę. Christy złapał się na tym, że ze wstrzymanym oddechem czeka, żeby się zgodziła.

Wiodła wzrokiem od niego do Bridget i z powrotem, potem spojrzała w niebo, jakby przez gęsty śnieg wirujący w porywach wiatru mogła gdzieś tam odczytać odpowiedź. Zamrugła, w jej szarych oczach pojawił się wyraz powagi.

I zgodziła się.

\*

Catherine czuła podniecenie, jakby ruszyła na przygodę. Na sankach nie jeździła od trzydziestu lat, od czasu dzieciństwa, kiedy ojciec zabierał ją do Central Parku. Dzisiaj miasto sprawiało wrażenie zamkniętego w sobie, na ulicach nie było prawie ruchu. Śnieg tłumiał wszelkie odgłosy, sprawiał, że budynki traciły kontury i mieszały się z niebem. Ale to nie był jedyny powód, serce szybciej jej biło na myśl o tym, co niedługo ma się zdarzyć.

Z piwnicy pensjonatu wzięli dwie pary starych sanek, które pochodziły z czasów, gdy synowie pani Quinn byli dziećmi. Catherine wychowała się z chłopcami Quinnów, z Johnem chodziła do jednej klasy. Poczuli ból na widok inicjałów Patricka wyrytych na drewnie, ale nic nie powiedziała.

Nadjechał pociąg linii E, który zawiózł ich na stację przy Pięćdziesiątej Pierwszej, gdzie przesiedli się do pociągu numer sześć. Wysiedli przy Siedemdziesiątej Siódmej i wyszli na niemal opustoszałą Piątą Aleję, po której jechał samotny autobus, a dwoje ludzi przemierzało chodnik na nartach biegowych. Zapaliło się zielone światło. Christy złapał Bridget za rękę i przebiegli na drugą stronę alei.

W bramie Central Parku Christy przystanął, próbując przypomnieć sobie, w którą stronę powinni iść.

- Byliśmy tam raz, cztery lata temu - powiedział. - Nie pamiętam, gdzie jest to wzgórze.

- Musimy iść na to samo! - wykrzyknęła Bridget z paniką w głosie.

Catherine poczuła, jak serce jej się ścisza, bo nagle pojęła. "To samo ...", to, które Danny też pamięta. Ogarnęło ją podniecenie: więc o tym pisał Danny do siostry. Chciał, żeby z ojcem przyszła do Central Parku.

- Wiem, że na szczycie jest posąg - powiedział Christy. - Facet w śmiesznym kapeluszu.

- Pielgrzym - mruknęła Catherine. - Pilgrim Hill. - Poprowadziła ich przez park, dokoła stawu z łódkami. Pokazała im elegancki budynek po drugiej stronie Piątej Alei, na którym Pale Male, jastrząb z rudym ogonem, mieszkał przez ponad dziesięć lat i dochował się siedemnastu pocięch. Christy odpowiedział śmiechem.

- Pomyśleć tylko, jastrząb woli żyć w Nowym Jorku, choć czeka na niego tyle otwartych przestrzeni ... mógł przecież polecieć do Nowej Szkocji i codziennie ucztować.

- On jest jak Danny - odezwała się Bridget. - Zmęczyły go odludzia.

Z twarzy Christy'ego zniknął uśmiech, głowę wtulił w ramiona. Wyglądał nie tyle na rozgniewanego, co skonsternowanego. Na człowieka, którego czegoś pozbawiono, pomyślała z bólem Catherine.

Kiedy doszli na Pilgrim Hill, przekonali się, gdzie są wszyscy nowojorczy: na zboczu roilo się od saneczkarzy. Christy wciągnął obie pary sanek na szczyt, Catherine i Bridget deptały mu po piętach.

- Patrz, na sankach są wyryte inicjały - powiedziała dziewczynka. - JQ i PQ.

- Bracia Quinnowie - wyjaśniła Catherine.

- Znałaś ich?

- Tak, ze szkoły. Potem ... poszli różnymi drogami. - Coś w tonie Catherine kazało Christy'emu obejrzeć się na nią. Ich oczy się spotkały i uznała, że lepiej nie mówić o braciach Quinnych w obecności Bridget. Christy usadowił się na sankach Patricka, chwytając mocno linę.

- Wskakuj - powiedział do córki.

- Tatusiu! - roześmiała się Bridget. - Jadę sama.

- Nie chcesz, żebym pierwszy raz pojechał z tobą?

- Jestem za duża!

- Jasne. Co ja sobie myślałem?

Pchnął sanki, potem razem z Catherine stanęli przy posagu pielgrzymia i patrzyli, jak Bridget pędzi w dół.

- Wydaje mi się, że zaledwie rok temu obserwowałem, jak bawi się tutaj z bratem - powiedział Christy. - A tu minęło tyle czasu, oboje tak wyrosli ...

Urwał, Catherine wiedziała, że powstrzymał się od dalszego mówienia, bo przecież syna nie widział od roku.

- Co to znaczy, że bracia Quinnowie poszli różnymi drogami? - zapytał, zmieniając temat.

- John wciąż mieszka w naszej dzielnicy, ma żonę i troje dzieci, przejął po ojcu sklep żelazny. - Christy potaknął, wiedział o tym. - Patrick natomiast przyłączył się do Harps, irlandzkiego gangu próbującego dorównać bandzie Westies, postrachowi Chelsea i Hell's Kitchen. Handlował narkotykami, zajmował się lichwą. Poszedł do więzienia na wyspie Rikers, potem wysłali go do Sing Sing.

- Pani Quinn nigdy o nim nie mówi. Nawet nie wiedziałem, że ma syna imieniem Patrick. Pewnie się go wstydzisz.

- Złamał jej serce - odparła Catherine. Kiedy zobaczyła, jak Christy się wzdryga, pojęła, że jego serce też zostało złamane. Pod oczami miał cienie, jakby ktoś go pobił. Przybiegła zadyszana Bridget i oznajmiła, że chce zjechać jeszcze raz. Rozejrzała się, jakby kogoś szukała, potem usiadła na sankach Patricka i ruszyła. - Bridget to wspinała dziewczynka - dodała Catherine ostrożnie.

- To prawda. Strasznie tęskni za bratem.

A on za nią, cisnęło się Catherine na usta. Zachowała to jednak dla siebie.

- Czy pobyt w Nowym Jorku jest dla ciebie trudny? - zapytała.

- W ogólności? - Christy patrzył na nią czystymi jasnymi oczami. - Czy po ucieczce Danny'ego? - I to, i to.

- Dawniej nienawidziłem tych wyjazdów. Kiedy żyła Mary, moja żona, bałem się grudnia. Musiałem zostawić rodzinę i Nową Szkocję, jechać taki kawał tutaj. Wiesz, wszystkie te wieżowce, taksówki, klaksony. Ludzie wiecznie się śpieszą, żeby zarobić pieniądze. Włączme ze mną.

- Teraz już tak nie myślisz? Wzruszył ramionami.

- Lubię Chelsea. Na miesiąc. Dłuższy pobyt pewnie by mnie znużył.

- Wyglądasz ... - zaczęła, patrząc na cienie pod jego oczami - na trochę zmęczonego.

- Chodzi o Danny'ego. Boże, mam wrażenie, że oszaleję, jeśli go nie znajdę. Szukam go co wieczór. Pod mostami, w parkach, w zaułkach. Policja go nie widziała, opieka społeczna też nie. - Głos mu zadrżał. Zamrugał kilka razy, strząsając z powiek śnieg. - Pani Quinn przynajmniej wie, że jej syn jest w więzieniu. Ja dostałem od Danny'ego tylko jedną widokówkę. Nawet nie wiem, czy jeszcze żyje.

- Och, on żyje! - wypaliła Catherine.

Christy spojrział na nią ostro, nachylił się ku niej i ujął pod ramię.

- Skąd wiesz?

Stała z otwartymi ustami. Pragnęła powiedzieć, że wczoraj wieczorem z nim rozmawiała, ale jak mogła zdradzić chłopca? Z drugiej strony nie potrafiła znieść wyrazu w oczach jego ojca. Stali twarzą w twarz, na skórze czuła jego oddech, więziło ją jego spojrzenie.

Wtedy właśnie Bridget weszła na górę. Tym razem gorączkowo się rozejrzała.

- Co się dzieje, Bridget? - zapytał Christy, puszcżając rękę Catherine.

- Ja ... nie wiem. Myślałam, że ...

- Zmarzłaś? Chcesz już wracać?

Pokręciła głową

- Nie, jeszcze raz zjadę - powiedziała i wsiadła na sanki.

Serce Catherine, choć trochę wolniej, wciąż waliło.

Oblizwała wargi. Wiedziała, że gdyby Christy ponownie ją zapytał, powiedziałaby mu wszystko. On jednak tego nie zrobił. Delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

- Wiem, że Danny żyje - sam odpowiedział na własne pytanie - inaczej być nie może. Mój syn musi żyć i wiem, że tak jest. Czuję to w kościach, we krwi. Gdyby Danny umarł, wiedziałbym.

- Człowiek po prostu czuje, kiedy ktoś ukochany umiera - powiedziała Catherine, zamykając oczy i chwiejąc się na wietrze jak drzewko.

- Twój mąż - usłyszała głos Christy'ego. Oczy miała zamknięte, czuła jednak na policzku jego palce. Kiwnęła głową.

- Wiem, co to znaczy stracić współmałżonka - powiedział. - Umiera wtedy kawałek ciebie. Nie wierzysz, że będziesz mogła dalej oddychać, że twoje serce będzie biło. A kiedy czujesz jego bicie, wydaje ci się to czymś nienaturalnym.

- Przykro mi, że tego doświadczyłeś. - Catherine uniosła powieki. Jego niebieskie oczy wpatrywały się w nią z taką intensywnością, że policzki zalał jej rumieniec. - I przykro mi z powodu Danny'ego. On ... - zaczęła.

Umilkła, bo podmuch wiatru wstrząsnął drzewami rosnącymi na wzgórzu, poruszając przy tym tysiące maleńkich sopli, które zadźwięczały niczym srebrne dzwonki.

- Zjedźmy na sankach, to nam dobrze zrobi - zaproponował Christy. - Słyszałaś dzwonki?

- To były sople. Muszę ci powiedzieć.

- Wy, nowojorczyści, jesteście tacy dosłowni - roześmiał się. - Warto poświęcić życie na hodowanie bożonarodzeniowych choinek dla was, jeśli dzięki temu na zaśnieżonym wzgórzu usłyszycie dzwonki magicznych sani. Chodź.

Christy postawił drugie sanki na śniegu, po czym objął Catherine i posadził. Czuła, jak sadowi się za nią, kolanami dotykając jej bioder, klatkę piersiową przyciskając do jej pleców. Po kręgosłupie przebiegł jej dreszcz. Christy poprawił jej stopy na płozach.

- Gotowa? - zapytał z ustami tuż przy jej uchu.

- Gotowa - odparła, zaskakując tym samą siebie.

- W takim razie ruszamy.

Jedną ręką się odepchnął, drugą objął ją w pasie. Sanie zapadły się w gęsty śnieg, zaraz jednak wyjechali na ubity szlak. Nabrali prędkości, po czym zaczęli sunąć w dół przy akompaniamencie płoz skrzypiących na śniegu. Catherine czuła, jak śnieg kłuje ją w policzki i pada na okulary, jak wiatr wypełnia jej płuca.

Krzyknęła głośno, ogarnięta niespodziewaną radością. Christy zamknął ją w uścisku i nie puszczał.

Kiedy Bridget po raz kolejny wspinała się na szczyt, pędem minęli ją ojciec i Catherine. Uśmiech na twarzy ojca, nieobecny tam od roku, na chwilę ją uszczęśliwił, zaraz jednak na powrót ogarnęła ją rozpacz. Postąpiła zgodnie ze wskazówkami Danny'ego, skłoniła ojca, by opuścił pracę i zabrał ją na miejsce spotkania, a brata nie było.

Oparła się o posąg pielgrzyma, oddychając ciężko z wysiłku. Gdyby tak bardzo nie pragnęła zobaczyć się z bratem, byłaby teraz na niego wściekła. Zawieja ją osłepiała, ale wyteżęła wzrok, patrząc na rodziny: ojcowie i dzieci, bracia i siostry. Oczy wypełniły się jej łzami.

- Rzęsy ci zamarzną - powiedział ktoś.

Bridget obiegła pomnik: Danny ukrYwał się za postumentem.

- Jesteś! Tak jak napisałeś! - Zarzuciła mu ręce na szyję. Po jej policzkach polały się łzy.

- Przestań, daj spokój - powiedział, ale jej nie odepchnął. Wręcz przeciwnie, mocno do siebie przytulił. Stali tak przez całą minutę. Bridget z zamkniętymi oczami przyciskała policzek do jego kurtki i przetykała gorące łzy, czując w nozdrzach znajomy zapach.

- Taka jestem szczęśliwa, że cię widzę.

- I wzajemnie, Bridey.

- Tatuś tu jest - powiedziała, kiedy wreszcie się odsunął. Poszukała ojca w tłumie saneczkarzy.

- Wiem, z Catherine. Dlatego muszę mówić szybko ...

- Musisz się z nim zobaczyć, Danny - przerwała Bridget, znowu ogarnięta paniką. Nawet się nie zastanowiła, skąd brat zna imię Catherine. - On cię szuka, co wieczór po pracy wychodzi na miasto. Postarzał się przez to, naprawdę. Przez ciebie ma siwe włosy i zmarszczki!

- Miał je i przedtem - odparł Danny, choć w jego głosie pojawiło się wahanie.

- Ale nie takie. On ... on cierpi. Przez ciebie płacze.

- Tata nigdy nie płacze.

Bridget zacisnęła usta. Gdyby zaczęła opowiadać o tym, jaki był ten ubiegły rok, pewnie zaczęłaby wrzeszczeć. Wiedziała, że Danny znowu by uciekł.

- Posłuchaj, Bridey. Mam tu misję do wypełnienia, tak o tym myślę. Mam coś do zrobienia. Jeśli tata mnie zobaczy, będzie próbował mnie powstrzymać, zmusić do powrotu do domu ... A co tam na farmie?

- Jest taka, jaka zawsze była! Ale ta twoja misja, co to jest? - Bridget podobało się szlachetne brzmienie tego słowa, przywodziło na myśl misjonarzy udających się do wiosek dręczonych ubóstwem i ignorancją z zapasem żywności i podręcznikami szkolnymi. A może Danny roznosi po występnych mieście dobrą nowinę, skłaniając jego mieszkańców do modlitwy? Zaraz jednak się roześmiała, nie bardzo widziała w tej roli swego grzesznego brata, ukradkiem palącego papierosy i pijącego piwo, urywającego się z mszy, twierdzącego, że w czasie długiej zimy jego ulubiona modlitwa brzmi: "Dobry Boże, jak najszybciej zabierz mnie z tej choleralnej wyspy". Wiedziała, że tylko żartował. Tak jak ona miała Nową Szkocję we krwi.

- Nie mogę ci powiedzieć - odparł. - Jeszcze nie. Najpierw to musi się stać.

- Ale tatuś ... czemu kazałeś mi go tu przyprowadzić na sanki, skoro nie chcesz z nim rozmawiać?

Danny patrzył w dół. Bridget podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła, że ojciec i Catherine dojechali do końca długiego toru, prawie nad sam staw. Z tej odległości poprzez padający śnieg wydawali się trochę niewyraźni, Bridget jednak rozpoznawała szerokie ramiona ojca i czarny płaszcz Catherine.

Spojrzała na brata. Twarz miał szczupłą, ostre rysy, jakby przez ten rok nie jadał do syta. Brązowe włosy zwijały mu się na kołnierzu, brodę porastały nierówne kępki. Bridget już chciała zażartować z jego zarostu, ale zobaczyła, że Danny ma łzy w oczach. Chciał, żeby przyprowadziła tu ojca, ponieważ tylko w ten sposób mógł się do niego zbliżyć. Danny też tęsknił za tatą.

- A teraz komu zamarzną powieki? - zapytała cicho.

Wzruszył ramionami. Pocałował ją w czubek głowy i naciągnął jej zielony kapelusik na oczy. Kiedy Bridget go odsunęła, brata nie było.

## 7

- Muszę mu powiedzieć - mówiła Catherine. - Nie mam innego wyjścia.

- Zwolnij. Zastanówmy się - odparła Lizzie.

Było późne niedzielne popołudnie, siedziały na dywanie przed kominkiem w domu Catherine, koło nich leżało świąteczne wydanie "Timesa". Wczoraj spadł obfity śnieg, pokrywając wszystko grubą białą warstwą. Lucy i Bridget były na piętrze w pokoju muzycznym i próbowały grać na fortepianie.

- Uwielbiam je tam słyszeć - powiedziała Catherine. - To za wielki dom dla jednej osoby. Potrzeba w nim dzieci.

- Chciałaś, żeby Danny z tobą zamieszkał.

- Tak. Teraz żałuję, że się nie zgodziłem. Łatwiej byłoby mi powiedzieć o tym jego ojcu. Gdybym mogła zapewnić Christy'ego, że Danny ma dach nad głową, że jest bezpieczny ...

- Poważnie masz taki zamiar?

- Muszę, Lucy. Wiesz, kiedy na początku pomagałam Danny'emu, właściwie nie znałam jego rodziny, wydawali mi się niemal abstrakcyjni.

Lizzie potaknęła.

- Problem w tym, że teraz spędziłam trochę czasu z Christym. On strasznie cierpi. Jak ty byś się czuła, gdybyś nie wiedziała, gdzie jest Lucy? - zapytała Catherine świadoma, że to pytanie poruszy przyjaciółkę.

- Dobrze, dobrze, słyszę, co mówisz. - Lizzie zadrżała na tę przerażającą myśl. - Ale co z Dannym? O niego się martwię. Jeśli go zdradzisz, zniknie bez śladu. Na razie przynajmniej możemy mieć go na oku. Przychodzi do jadłodajni, dajemy mu ubrania, przyjmuje od ciebie pieniądze ...

- I korzysta z biblioteki - dodała cicho Catherine; bardzo by chciała, żeby cała ta sprawa była mniej skomplikowana. Lizzie trafiła w sedno. Zastanawiała się, co o uciekinierze mówi jego stwierdzenie, że najbardziej zależy mu na możliwości korzystania z księgozbioru.

- Masz jakieś pojęcie, co on właściwie tu robi? - zapytała Lizzie. - Przygotowuje się do egzaminów? Pisze rozprawę o życiu na ulicy?

- Ja ... - zaczęła Catherine, zaraz jednak umilkła.

Miała pojęcie. W czasie ostatniej bytności w bibliotece, cztery dni temu, Danny nie odłożył na półki dwu książek.

Może był przemęczony albo podekscytowany powrotem rodziny, bo zwykle nie popełniał takich błędów. Catherine chciała opowiedzieć o tym Lizzie, ale ostatecznie zdecydowała, że tego sekretu Danny'ego nie zdradzi.

- Nie wiem - skończyła.

Lizzie spojrzała na przyjaciółkę z niedowierzeniem.

- Yhm - mruknęła, unosząc brew. - No dobrze. I co zrobisz? Wydasz go?

- Próbuję podjąć decyzję.

- A przy okazji, jak było na saneczkach z handlarzem choinek?

Catherine utkwiała wzrok w płomieniach. Pamiętała, co czuła, gdy w objęciach Christy'ego pędziła w dół zbocza. Jego ramiona były takie silne, ci równocześnie delikatne, jakby chciał ją ochraniać.

- Dobrze się bawiłam - przyznała cicho. W sercu miała zamęt. Spędziła wspaniale czas. Tak dobrze było czuć na sobie muskularne ramiona Christy'ego, bliskość innego człowieka. Śmiała się i cudownie bawiła. Jak to możliwe? Przecież o tej porze roku straciła Briana.

- Porozmawiasz z nim? - zapytała Lizzie.

- Z Brianem?

- Z Christym - odparła Lizzie nieco zniecierpliwiona.

Catherine westchnęła. Mogłaby przynajmniej powiedzieć Christy'emu, że Danny żyje. Nie musiałyby zdradzać żadnych szczegółów na temat chłopca.

- Ciągle zadaję sobie pytanie: co zrobiłby Brian?

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia, w tym czasie zawsze jest najbliżej mnie. Chcę, żeby mi powiedział...

- Catherine - przerwała jej Lizzie, łapiąc ją za rękę i lekko nimi potrząsając. Wzrok miała błagalny. - Brian ... Wszyscy kochaliśmy Briana. Ale on odszedł, słoneczko. Nie wróci, żeby ci powiedzieć, co masz robić ...

- Przestań! Nie mów tak, Lizzie. Nie wiesz, co mi obiecał...

- To już trzy lata. Bardzo cię kocham, a w grudniu ... patrzę, jak odchodzisz. W tym roku po raz pierwszy od śmierci Briana było odwrotnie, pozwoliłaś sobie na przyjemności. W twoje oczy wrócił błysk, choć tylko na chwilę. Chcę widzieć go częściej, Cath.

- Ale duch Briana ...

- Catherine, w tym domu nie Brian jest duchem, tylko ty!

Catherine przygryzła wargę, czując się tak, jakby najlepsza przyjaciółka wymierzyła jej policzek. Cała się trzęsła i nie potrafiła spojrzeć Lizzie w oczy. Na piętrze dziewczynki śmiały się, grając "Jingle Bells".

- Widzę, że naprawdę się tym gryziesz. - Lizzie podniosła się z chodnika. - U Świętej Łucji muszę być dopiero za kilka godzin. Może zabiorę dziewczynki na obiad, żebyś to sobie przemyślała?

- Doskonały pomysł - odparła Catherine; wstrząsnęło nią, jak bardzo chce, żeby Lizzie opuściła jej dom.

Lizzie podeszła ku schodom i zawołała dziewczynki.

Kiedy zbiegły, zapytała, czy chcą wyjść. Podekscytowane, zaraz poszły po płaszcze.

- Nie idziesz z nami? - zapytała Bridget, unosząc ku Catherine swoje wielkie oczy.

- Nie - odparła, siłąc się na uśmiech. - Mam coś do zrobienia.

- Czy to ma coś wspólnego z ... - Bridget nie skończyła zdania. Pomiędzy nimi zawisło niewypowiedziane na głos imię. Catherine spojrzała w oczy dziewczynki, wypełnione miłością, nadzieją i niepokojem. - Tak bardzo kocham tatusia i brata. Dlaczego nie mogą ze sobą rozmawiać? Nie rozumiem, dlaczego tak musi być.

- A dlaczego tak jest? - wtrąciła Lucy. - Ja mogę rozmawiać z moją mamą.

- Na wsi jest inaczej. Tatusz wcześniej wstaje, razem ze słońcem. A jak wraca do domu, musi przygotować am obiad. Rozmawiamy o różnych rzeczach ... o szkole, o drzewach. Danny wyciągał mapy i pokazywał nam, gdzie będzie następny sztorm, no wiecie, w Arktyce albo nad północnym Atlantykiem. Podobało mi się to, bo tatusz zawsze wiedział, czego się spodziewać.

- To brzmi poważnie.

- Bo takie było - odparła Bridget ze smutkiem.

- Ale ja dalej nie rozumiem - upierała się Lucy - dlaczego twój brat nie może powiedzieć ojcu, że chce zostać w Nowym Jorku.

- Danny zawsze powtarzał, że sami musimy roz... iazywać nasze problemy, nie zawracać tym tacie głowy. Załuję, że Danny nie mógł rozmawiać z nim na inne tematy poza pogodą. Bardzo bym chciała, żeby moja rodzina była razem.

- Po prostu nie przestawaj ich kochać - powiedziała Catherine.

Słowa wydawały się nieodpowiednie. Pragnęła przytulić dziewczynkę, obiecać, że wszystko dobrze się skończy, że jej rodzina znowu będzie razem. Wiedziała jednak, że kiedy raz ludzie od siebie się oddalą - niezależnie

od powodu - czasami nieodwołalnie tracą łączącą ich wcześniej bliskość.

Catherine nachyliła się, nadstawiając Lizzie policzek do pocałunku, obie zapomniały już o tamtych słowach. Kiedy cała trójka wyszła, Catherine usiadła na schodach. Zadrżała i splotła ramiona na piersi. W domu było zimno i pusto jak w grobie. Lizzie miała rację, nie było tu życia. Trzy lata bez najmniejszego znaku, a Catherine wciąż czekała. Christy sprzedawał choinki kilka przecznic dalej, musiała tylko włożyć płaszcz i pójść tam. Była mu winna prawdę.

Nie mogła jednak tak postąpić. Może popełniła błąd, angażując się aż tak bardzo. Serce ciążyło jej jak kamień, gdzieś na jego dnie budziło się pragnienie, by wstać i pójść do mansardowego pokoiku. Wiedziała, że będzie tam zimno i samotnie, ale nie była jeszcze gotowa, by go opuścić. Jeszcze nie.

Nigdy tego nie zrobi.

Przez kilka następnych dni handel choinkami rozkwitał. Zawsze tak było, im bardziej zbliżały się święta. Śnieg padał, co noc pługi jak dyszące ogniem smoki sunęły po ulicach, wyrzucając w powietrze snopy iskier. To one wprawiały ludzi w świąteczny nastrój, a przed stoiskiem Christy'ego ustawiały się kolejki.

Klienci pokazywali upatrzone drzewo, Christy przecinał sznurek i potrzasał nim, by zobaczyli je w całej krasie. Kiedy tak zrobił z białym świerkiem, włochatka pofrunęła w noc. Uwięziony pomiędzy konarami drapieżnik wielkości pięści przybył tutaj z Nowej Szkocji. Christy patrzył za odlatującym ptakiem i żałował, że Danny nie może tego widzieć.

Ludzie płacili i zabierali choinki do domu. Przy każdej transakcji Christy rozglądał się po ulicy; mówił sobie, że wypatruje Danny'ego.

W rzeczywistości jednak czekał na Catherine.

Nie widział jej od kilku dni, nie rozmawiali od tamtej wyprawy na sanki do Central Parku. Raz czy dwa przeszła obok, machając i uśmiechając się ciepło i promiennie, a on poczuł dreszcz. Co było powodem tego elektrycznego pulsowania na skórze? Pamiętał, jak jego ciało dopasowało się do jej ciała na sankach, jak objął ją mocno, jak przytuliła się do niego, a jej włosy laskotały go w twarz. Te doznania zadziwiały go - wystarczyło, by się do niego uśmiechnęła, a zaraz się pojawiały.

Nagle przestał ją widywać. Zachorowała? Zmieniła zwykłą trasę?

Nocami Christy ruszał na wędrowniki. Śmieszne, ale zawsze zaczynał od seminarium przy Zachodniej Dwudziestej, na którą skręciła Catherine, gdy za nią pobiegł. I zawsze było późno, bo najpierw musiał zamknąć stoisko, położyć Bridget spać, załatwić inne sprawy.

Ten start od ulicy, przy której mieszkała Catherine, pomagał mu się skoncentrować. Wdychał zimne powietrze, pozbywał się całodziennego napięcia. Czuł jej obecność tak wyraźnie, jakby koło niego stała. Świadomość, że ona jest w pobliżu, dodawała mu otuchy.

Domy wyglądały przytulnie, z kominów w niebo unosił się dym. Christy był człowiekiem wsi, ale na tej ulicy niemal rozumiał atrakcyjność miasta. Wyobrażał sobie rodziny mieszkające w tych kamienicach, spędzające wolny czas na placu zabaw przy seminarium.

Kiedy dzisiaj szedł ulicą Catherine, czuł się bardzo znużony. Czekala go ciężka noc, im dłużej bez skutku szukał Danny'ego, tym większe odczuwał zniechęcenie. Dni mijały, a Danny'ego nigdzie nie było.

W twarz uderzył go wicher wiejący od Hudsonu. Był tak silny, że Christy musiał stanąć i pochylić głowę, by zachować równowagę. Gałęzie trzęsły się i trzeszczały, z dachu spadła dachówka i rozbiła mu się u stóp.

Nagle wiatr ucichł, ale temperatura wyraźnie się obniżyła. Christy spojrział na kamienicę Catherine po drugiej stronie ulicy, w której światło płonęło tylko w jednym oknie na ostatnim piętrze.

Zobaczył ją w maleńkich szybkach. Widział tylko jej twarz, pewnie usłyszała ryk wichury i podeszła do okna. Christy już wyciągał rękę, żeby do niej pomachać, ale się powstrzymał. Patrzyła gdzieś w dal, poza ulicę. Wyczuł straszliwą tęsknotę, pragnienie czegoś, czego nie mogła mieć.

Sam też odczuł to pragnienie, choć nie potrafił go nazwać. Wpatrując się w Catherine, miał wrażenie, że napiera na niego siła większa od siły północnego wiatru. Przez kilka minut stał jak przykuty, nie zdolny się poruszyć. Jednakże noc była długa, a on musiał przeszukać całe miasto. Przed nim na wzniesieniu ciągnęły się tory wydobyte z mroku przez światło ulicznych lamp - stare żelazne kości, pomyślał, jak duch.

Zmusił się, by iść dalej.

Catherine nie potrafiła skoncentrować się na pracy.

Pragnęła jak najszybciej zobaczyć się z Dannym, przekonać go, że postąpi słusznie, jeśli zgodzi się porozmawiać z ojcem. Przez kilka dni unikała Christy'ego i nadkładała drogi, omijając jego stoisko. A teraz

przy jej biurku stał Rheinbeck i przeglądał najnowsze uzupełnienia do listy obiektów projektu "Popatrz w górę".

- Uroczę - postukał palcem w fotografię dwóch kamiennych dzwonów. - Gdzie je znalazłaś?

- Hmm ... - mruknęła Catherine, zalewając się rumieńcem.

- Lubię dzwony, są symboliczne. Wzywają ludzi na uroczystości, nabożeństwa ... Są potężne, to narzędzia ducha. Kiedy maruderzy atakują miejsca kultu, zawsze niszczą dzwony. Bo one głoszą dobrą nowinę, rozumiesz? To zdjęcie jest wspaniałe, idealne do naszych celów. Gdzie one są?

Catherine udawała, że przegląda notatki, rozmyślając przy tym gorączkowo. Danny znalazł te dzwony. Dawała mu pieniądze pod pozorem "wynajmowania" go do poszukiwań gargulców, aniołów, kamiennych rzeźbień. Dostał od niej aparat, a to zdjęcie przyniósł kilka tygodni temu.

- Nie pamiętam, panie Rheinbeck. Muszę poszukać w dokumentacji.

- Może to jakiś kościół? - zapytał, biorąc lupę, by lepiej przyjrzeć się fotografii. - Intrygujące. Niewykluczone, że są kościelne. Widzisz ten pas na krawędzi dzwonu po lewej? Są na nim słowa, wyglądają na łacinę.

Do biblioteki wszedł Sylvester junior, syn Rheinbecka. Miał oczy i ruchy rekina: eleganckie, oszczędne, w każdej chwili gotowe do śmiertelnego ataku. W korporacji wszyscy się orientowali, że Sylvester junior nie lubi projektów ojca. Ziemię postrzegał wyłącznie jako teren do zabudowy, niebo jako przestrzeń do wypełnienia. Zarobione pieniądze należało oszczędzać i inwestować, a nie wydawać na dziwaczne programy, które miały mieszkańcom miasta pomóc w snuciu marzeń.

- Dzień dobry, pani Tierney, witaj, ojciec - powiedział.

- Popatrz na te dzwony, synu. - Stary Rheinbeck podał mu lupę.

Sylvester junior odłożył ją na biurko i spojrzał na Catherine.

- W zeszłym tygodniu przejeżdżałem tędy, wracając do domu z "Dziadka do orzechów", i widziałem światło w bibliotece.

- Jak ci się podobało przedstawienie? - zapytał ojciec. - Pamiętam, jak po raz pierwszy zabrała cię matka. Była bardzo podniecona.

Catherine, chociaż zdenerwowana, zauważyła tik, który przebiegł po twarzy młodszego Rheinbecka, i zastanowiła się, czy powodem było to, że w tamtej wyprawie udział brała tylko matka. Ojcu nie pozwolił na to świat wielkiego biznesu.

- Petronia Boulanger tańczyła partię Wieszczyki Cukrowej - odparł Sylvester junior. - Ona i jej mąż zgłosili ofertę na poddasze w wieżowcu przy Sutton Place. Dała mi bilety. Co miałem zrobić, odmówić? To nie byłoby słuszne posunięcie z punktu widzenia wizerunku firmy. Ale miejsca były dobre, w łóżach. A teraz

...

- Sylwestrze, od czasu do czasu mógłbyś pomyśleć o zrobieniu sobie przyjemności. Nie wszystko musi się wiązać z wizerunkiem firmy. Ten balet ma nam otworzyć oczy, obudzić w nas radość! Czy nie mam racji, Catherine?

- Całkowitą. Ja też pamiętam, jak ojciec zabrał mnie po raz pierwszy na "Dziadka do orzechów" - odparła z ulgą, że temat uległ zmianie.

- Ojciec, sądzę, że nie ma potrzeby wciągania Catherine w dyskusję o balecie. Wróćmy do kwestii światła - powiedział ostro Sylvester junior. Utkwił w jej twarzy badawcze spojrzenie.

- Zapewne pracowałam do późna. - Serce mocno jej biło. Chciała, by zabrzmiało to przekonująco, a równocześnie z przykrością patrzyła, jak następny ojciec nie potrafi porozumieć się z synem. Tych dwóch obserwowała od lat.

Sylvester pokręcił głową.

- Kazałem kierowcy zatrzymać się i sprawdziłem księgę wyjść. Wypisałaś się.

- Przykro mi - powiedziała. Policzki jej płonęły.

W ostatnich latach zaostrzono regulacje dotyczące bezpieczeństwa. Catherine orientowała się, że stąpa po cienkim lodzie. - Musiałam zapomnieć zgasić światło.

- Nikogo tu nie było? - zapytał Sylvester junior surowo.

- A kto korzystałby z biblioteki późnym wieczorem? - odparła Catherine wymijająco.

- Cudowny obraz - przerwał starzec, wciskając w dłoń syna fotografię. - Stanowi uosobienie tego, co próbujemy zrobić dla miasta. Niesie wiadomość, że życie jest krótkie, a my zbyt wiele czasu marnujemy na pośpiech i krzątaninę. Przypomnij sobie, gdzie te dzwony są, Catherine. Chcę je obejrzeć na własne oczy.

Obaj Rheinbeckowie opuścili bibliotekę. Złana potem Catherine miała dziwne wrażenie, że Sylvester senior celowo ją uratował. Czyżby o czymś wiedział? Pomyślała o referacie, który zmięty znalazła obok

książek o meteorologii, zostawionych przez Danny'ego na stole w zeszłym tygodniu. Miała zamiar odłożyć je na półkę, ale z samego rana odwiedził ją Rheinbeck. Postukał w nie swoim długim palcem i powiedział:

- Tylko mądry chłopiec wie, że odpowiedzi znajdują się w niebie!

Zadrzała, nie potrafiąc znaleźć w tym sensu. Modliła się, by Danny szybko się pojawił, nie mogła znieść myśli o Christym przeżywającym następny dzień bez żadnych wiadomości o synu.

## 8

Danny stał na rogu Dwudziestej Trzeciej Ulicy i Dziewiątej Alei udając, że czeka na autobus. Na głowie miał melonik, który kiedyś dostał od Lizzie.

- Dla tajemniczego Danny'ego "Harry'ego Houdiniego" Byrne'a - powiedziała. Dodała, że przypomina jej obraz Magritte'a przedstawiający mężczyznę w meloniku stojącego nieruchomo przed chmurami z twarzą całkowicie zasłoniętą ogromnym zielonym jabłkiem. Danny się ukrywał, ukradkiem obserwując ojca. Pomyślał, że kapelusz bardzo mu w tym pomaga.

Ojciec pracował ciężko. Chociaż mróz przenikał do kości, padał śnieg (do północy pokrywa miała się zwiększyć o dziesięć centymetrów) i powietrze miało pięćdziesiąt osiem procent wilgotności, ojciec się pocił - Danny widział pot na jego twarzy. Pokazywał drzewa, odcinał dolne gałęzie, wiązał i wrzucał na wozy albo dachy samochodów. Danny powinien mu pomagać, tego oczekiwał ojciec. Danny chciał pomagać, tylko nie w sposób, jaki ojciec dlań zaplanował.

Przyszłość Danny'ego, który urodził się i wychował w Nowej Szkocji, od początku wydawała się jasna: przejęcie farmy, pozostanie na wyspie. Na Cape Breton życie toczyło się pod dyktando żywiołów. Hodowcy drzew nauczyli się spoglądać w niebo, wypatrywać zawieruch, wiatrów północno-wschodnich, huraganów, zamieci, susz. Jedno suche lato mogło zniweczyć dziesięcioletnią pracę.

Danny chodził do szkoły, ale na pierwszym miejscu zawsze była farma. Dwa lata temu w czerwcu piorun uderzył w wielką sosnę i cała szkółka stanęła w płomieniach. Danny zobaczył dym z przystanku szkolnego autobusu, zawrócił więc i pobiegł pomóc ojcu i strażakom. Stłumienie ognia zajęło im cały dzień, Danny opuścił dwa końcowe egzaminy. Miał na ich nadrobienie całe wakacje, ale lato było porą najbardziej intensywnych prac.

Ojciec uważał, że pożar został zgaszony - miał rację, ten jeden rzeczywiście został. Ale pewnego wieczoru Danny siedział do późna w nocy, przeglądając kalendarze i wydruki z Kanadyjskiego Centrum Długoterminowego Prognozowania Zasobów Naturalnych. Algorytmy występowania pożarów połączył z danymi z kalendarzy i doszedł do wniosku, że to będzie najsuchsze lato od piętnastu lat z niezwykle wysokim stopniem ryzyka pożarów lasu.

I tak było. W lipcu nie spadła ani kropla deszczu.

Ojciec potrzebował pomocy przy systemie irygacyjnym w szkółce i gaszeniu płonącego poszycia. Dzień i noc pełnili straż, tak więc Danny nie zdołał nadrobić egzaminów, nie zaliczył dwóch przedmiotów. Tę klęskę postrzegał jako gwóźdź do trumny swojego marzenia. Nie powiedziałby tego ojcu wprost, ale życie w rodzinnym domu zabijało jego ducha.

Ojciec jednak zdawał sobie z tego sprawę, a Danny o tym wiedział, chociaż nigdy sobie tego na głos nie powiedzieli. W zeszłym roku wychowawczyni Danny'ego, pani Harwood, wezwała ojca do szkoły. Danny bardzo się denerwował - to było po pożarze lasu, myślał, że wyrzucą go za złe oceny albo opuszczanie lekcji - i dlatego kręcił się pod klasą, próbując coś podsłuchać.

- Pański syn jest bardzo dobrym uczniem - powiedziała pani Harwood. - Z testów uzyskuje najwyższe wyniki i ciężko pracuje. Jest szczególnie uzdolniony z przedmiotów ścisłych. Jego referat o zimnych frontach był niezwykle pomysłowy, zamieściliśmy go w szkolnej gazecie.

- Wiem - odparł ojciec. - Jestem z niego dumny.

- Musimy zastanowić się nad jego przyszłością.

- Jego przyszłością jest prowadzenie farmy.

- Oczywiście, ale co z uniwersytetem? Już opuścił kilka ważnych sprawdzianów. Może je nadrobić, ale musi postępować ostrożnie, iść naprzód. Chcielibyśmy, żeby złożył papiery na uniwersytecie McGill.

Uważamy, że ma sporą szansę na uzyskanie stypendium i ...

Danny'emu serce podskoczyło w piersiach z radości, gdy to usłyszał. Ale sekundę później ojciec zgasił jego szczęście.

- Nie pójdzie na McGill ani nigdzie indziej. Wiem, że jest bystry, mógłby zrobić wszystko, na co się zdecyduje. Ale my mamy farmę. Nie mogę puścić go na cały dzień, nie mówiąc już o czterech latach.



Rozumie pani?

- Nie, panie Byrne, nie rozumiem. A ściślej rzecz biorąc, nie sędzę, by pan rozumiał. Jak pana zdaniem będzie się czuł Danny, może nie teraz, ale za kilka lat, kiedy sobie uświadomi, że odebrał mu pan szansę na rozwój? To wyjątkowy chłopiec, ma wspaniały umysł, zasługuje na to, by się kształcić.

Ojciec przypadkiem spojrzął wtedy na drzwi i za szybą zobaczył Danny'ego. Ich oczy się spotkały - we wzroku ojca płonął gniew i wstyd, że nauczycielka w taki sposób z nim rozmawia. Danny chciał wbiec do klasy, bronić ojca przed wychowawczynią. Powstrzymał się jednak, bo w uszach dźwięczały mu jej słowa. Pragnął, by dano mu tę szansę.

Patrzeli na siebie przez kilka sekund, a potem ojciec odwrócił wzrok. Danny czekał, aż powie mu o tej rozmowie z panią Harwood, ale nigdy tego nie zrobił. Było to dla niego niczym głęboka rana, która nigdy do końca się nie zabiłiła. Ojciec najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że Danny żył przez ten miesiąc w roku, kiedy rodzina przyjeżdżała do Nowego Jorku.

Nawet on sam nie liczył, że się zakocha.

Nie w dziewczynie - to się stało, nim poznał Penelope - ale w światłach miasta, w nadziejach i obietnicach, jakie dawało. Nowy Jork był idealnym miejscem do snucia marzeń.

Kiedy cztery lata temu przyjechał na Manhattan z ojcem i siostrą, nie wiedział, czego się spodziewać. Matka zawsze mówiła o Nowym Jorku jako o miejscu, gdzie ludzie tracą serca i dusze. "Chodzą ze spuszczoneymi głowami", powtarzała. "Tacy są zajęci zdobywaniem złotego pierścienia, że zapominają o przejażdżce na karuzeli. Zapominają szukać wokół siebie piękna."

Jednakże ku swemu zdumieniu Danny znalazł w Nowym Jorku piękno. Pokochał miasto od tamtego pierwszego roku: jazdę metrem do parku, do planetarium albo do końca linii, gdzie wychodził na promenadę nad Atlantykiem, spacer jedną przecznicą, w czasie którego mógł wybierać między pizzą, świeżym bajgłem, wieprzowiną z ryżem albo hot dogiem i napojem z papai, niezwykle chmury sunące nad wysokimi budynkami i rzucające cienie na ściany ze szkła, uśmiechające się do niego piękne dziewczyny, przez co czuł się królem świata.

Danny odnosił wrażenie, że w Nowym Jorku rzeczywiście mógłby zostać królem świata. Było tu inaczej niż w domu, gdzie musiał się zadowalać słońcem, zapachem sosen, dotykiem wiatru na ciele i szumem fal w uszach. Kochał to wszystko, ale wiedział, że tutaj też to może mieć, jeśli pójdzie do Central Parku, wsiądzie na prom na Staten Island albo pociągami linii A pojedzie do Far Rockaway.

W samym mieście mógł mieć inne jeszcze rzeczy; jeśli będzie ciężko pracował, uczył się i nie pozwalał, by jego uwagę rozpraszały piękne dziewczęta, w szczególności Penelope, zdoła zrealizować swoje marzenie. Tutaj, w Nowym Jorku, bez znaczenia mogło być, że nie zdał dwóch przedmiotów, że nie dostanie świadectwa ukończenia szkoły. Wiedział, że istnieją inne drogi realizacji jego planu.

Czasami dosłownie podążał za chmurami. Ścigał je przez park, próbując ocenić wysokość i prędkość wiatru. Czy są to unoszące się wysoko cirrusy, cienkie, rozwichrzone, zawinięte na końcach? A może chmury średnie, na przykład altocumulusy, rozrzucone i fragmentaryczne, przynoszące niewielkie opady? Najłatwiej było śledzić niskie chmury, wielkie i grube cumulusy, które toczyły się po niebie jak rozbrykane dzieci. Dawały deszcz, dzięki któremu rosły drzewa. Danny uczył się je rozpoznawać.

Jego kryjówka z widokiem na bibliotekę C. w wieżowcu Rheinbecka była wspaniałym miejscem do obserwowania pogody. Gdyby C. wiedziała, że on tam jest, mogliby dawać sobie znaki! Danny jednak nie chciał ryzykować, wplątując ją w swoje sztuczki. Nie, lepiej robi, jak w tajemnicy będzie ze swego bocianego gniazda patrzył na morze drzew i przechodzące nad miastem fronty atmosferyczne. Danny potrafił odciąć się od rozrywek Nowego Jorku, żeby uczyć się, zdać egzaminy i zająć się następnym etapem swojego planu.

Plan, misja, marzenie: różne słowa na określenie tego samego. Danny dodałby jeszcze "odyseję" i "poszukiwania" do tej listy. Dla niego była to wielka sprawa. Zazdrościł nastolatkom, których poznał w Nowym Jorku, na przykład Penelope. Prowadzili życie skoncentrowane niemal wyłącznie na nauce i przyszłości, podczas gdy jego życie w domu dotyczyło wyłącznie tego, co tu i teraz. Spulchniania ziemi i sadzenia drzewek, nawożenia i spryskiwania środkami przeciwko szkodnikom.

Trudno myśleć o przyszłości, kiedy kręgosłup ci pęka, a wiatr sypie ziemią w oczy. Kiedy słońce pali i tak bardzo chce ci się pić, że mógłbyś zemdleć, ale zapomniałeś termosu. Kiedy rozrucasz nawóz, dosłownie tony nawozu, i od odoru robi ci się niedobrze. Trudno marzyć o przyszłości, kiedy bez reszty jesteś pochłonięty terażniejszą szościami.

Nastolatki w Nowym Jorku żyły inaczej. Niekoniecznie lepiej: nie miały czystego świeżego powietrza, zorzy północnej, nieskończonego nieba. Ale inaczej. Dla rodziców rzeczą oczywistą było, że dzieci opuszczą dom i

pójdą do college'u. Kontynuowanie edukacji było takim samym elementem życia jak wschód słońca. Penelope mówiła, że do rzadkości należą dni, kiedy nie rozmawia z rodzicami o tym, do którego college'u chce pójść.

W wypadku Danny'ego zawsze było odwrotnie. Nie chciał obarczać ojca swoimi nadziejami. College oznacza wydatki. Co więcej, oznacza, że Danny opuści dom. Tata starzał się i oczekiwał, że syn przejmie prowadzenie farmy. Danny tylko kilka razy próbował poruszyć ten temat i za każdym razem widział, jak ojciec napina ramiona. Za pierwszym razem wieczorem, kiedy ojciec był zmęczony po całym dniu pracy. Za drugim razem przy śniadaniu, kiedy ojciec śpieszył się do pracy.

Trzecią próbę Dannypodjął na tydzień przed pożarem. A potem ogień zniweczył wszystko. Dopóki po przyjeździe do miasta chłopiec nie postanowił, że zostanie, że weźmie sprawy w swoje ręce. Zamierzał wrócić do domu, kiedy osiągnie swój cel i sprawi, że ojciec będzie z niego dumny. Tak więc przebywał w swojej kryjówce albo w bibliotece C. i pracował tak ciężko, jak potrafił.

Problem polegał na tym, że zbyt często wabiło go ku sobie miasto. Światła niemal wołały go po imieniu. Zabrał aparat i fotografował zdobienia budynków. Uwielbiał przepychać się przez tłum na Times Square, pomiędzy ludźmi idącymi do teatru w eleganckich strojach, które jego matka знаła tylko z telewizji i czasopism. Lubił spacerować przed Muzeum Historii Naturalnej i patrzeć, czy na chodniku nie leży porzucona przez kogoś odznaka, zezwalająca na wejście, dzięki której czasem wślizgiwał się do środka.

Bardzo rzadko znajdował dwie. Dzwonił wtedy po Penelope z budki telefonicznej na rogu. Jej rodzina była bogata, Penelope zawsze proponowała, że za niego zapłaci. Danny konsekwentnie odmawiał, podobnie jak nie chciał przyjąć pomocy od opieki społecznej ani od Catherine. Wolał szukać biletów wstępu i dopiero wtedy zapraszać Penelope do muzeum, gdzie razem stali pod płetwalem. Szeptał jej wtedy do ucha o wielorybach, z którymi od dzieciństwa bawił się w Cabot Strait.

A teraz, kiedy jego bliscy wrócili do miasta, nie potrafił opuścić Chelsea. Musiał widywać ich tak często, jak tylko to było możliwe. Problem polegał na tym, że nie chciał rozmawiać z ojcem, bo wiedział, że tata zamknąłby go i zawiózł do Kanady szybciej, niż zdążyłby powiedzieć "świerk". Danny miał straszne wyrzuty sumienia, że opuścił ojca, zwalając na jego barki całą pracę. Mógł tylko patrzeć z daleka i modlić się, żeby Bridey i Catherine go nie zdradziły.

Catherine pomagała mu przez cały ten rok. Zadawała niewiele pytań i to Danny'emu odpowiadało. Miał wrażenie, że Catherine mu ufa i wie, że musi na swój sposób załatwić sprawy. Pozwoliła mu korzystać ze zbiorów biblioteki Rheinbecków, dzięki czemu mógł się uczyć. Zaprowadziła Bridey do Rockefeller Center; Danny'ego uszczęśliwiło to niezmiernie, bo wiedział, że siostra wreszcie na własne oczy zobaczyła zapalenie lampek na ogromnym drzewie.

Tam skąd pochodzili, choinki na Boże Narodzenie znaczyły równie dużo - w gruncie rzeczy były najważniejsze. Dzięki nim rodzina zarabiała na utrzymanie. Ojciec zawsze powtarzał, że ich choinki łączą rodziny. "Nawet w zepsutym Nowym Jorku", powtarzał, "gdzie ludzie gonią za swoimi zwariowanymi marzeniami i gromadzą pieniądze, raz w roku przynoszą do domu nasze choinki i zapraszają do siebie krewnych."

Danny był z tego dumny. Nawet w mieszkaniu Penelope na błyszczącym Złotym Wybrzeżu Piątej Alei w oknie płonęła obwieszona lampkami choinka. Jej ojciec, który był prawnikiem, na ten jeden wieczór odkładał na bok ważne kontrakty i popijając adwokata, dekorował drzewko. Penelope kiedyś zwierzyła się Danny'emu, że choinka zawsze była dla niej cenna, ponieważ zapewniała jeden z nielicznych wieczorów, kiedy mogła liczyć na obecność ciągle zajętego ojca.

To Penelope była osobą, której zwierzył się ze swoich planów. Nie powiedział o nich ojcu, siostrze, Lizzie, Lucy ani nawet Catherine. Tylko jej. Wciąż pamiętał tę chwilę: był piękny wrześnieowy dzień, stali na tarasie zamku Belvedere. Objął Pen i pokazywał jej wysokie chmury zakrywające niebo warstwą cieniutką jak gaza.

- Jak one się nazywają, Danny?

- To cirrostratusy. Unoszą się na wysokości prawie pięciuset pięćdziesięciu metrów i zbudowane są głównie z kryształków lodu. Widzisz, jakie mają niewyraźne krawędzie? Są dobre dla drzew, bo pochłaniają część promieni słonecznych, dzięki czemu igły nie schną.

- Jest dopiero wrzesień, a ty już myślisz o choinkach na Boże Narodzenie.

- Zawsze o nich myślę, dlatego chcę zostać meteorologiem - odparł cicho.

- Dan, człowiek od pogody - zażartowała Penelope.

A on tylko się uśmiechnął, bo mimo tych kpîn wiedział, że to jego życie, po to się urodził.

Ojciec na moment przerwał pracę, przeciągnął się i rozejrzał. Światło zmieniło się na czerwone,

Dziewiątą Aleją nie jechały żadne samochody. Patrząc na drugą stronę ulicy, ojciec go zauważył. Pochylił się, wyteżając wzrok, by lepiej widzieć w padającym śniegu. Melonik musiał go zmylić, ale nagle spojrzeli sobie w oczy. Danny'emu waliło serce. Znieruchomiał jak jeleń złapany w światła reflektorów.

- Danny! - zawołał ojciec, biegnąc w jego stronę.

Przez minutę pragnął, by ojciec go złapał, chwycił mocno i zabrał z powrotem do domu. Pragnął zyskać okazję do wytłumaczenia swoich poczynań, do powiedzenia ojcu, jak bardzo go kocha, że wszystko, co robi, w pewnym sensie robi dla niego i dla drzew. Nie ufał jednak sobie, że znajdzie odpowiednie słowa.

Nadjechał autobus i Danny wskoczył do środka. Przy gwałtownym ruchu melonik spadł mu z głowy. Kiedy spojrzął przez tylną szybę, zobaczył, że ojciec podnosi melonik, przyciska go do piersi i biegnie Dziewiątą Aleją, krzycząc na kierowcę.

Z rozdartym sercem Danny wysiadł na następnym przystanku i zrobił to, co robił najlepiej: zniknął w mieście, biegnąc aleją, skręcając za budynek, przeskakując przez płot... jak chmura na niebie, jak kłębek mgły zaplątany w gałęziach jodły. Widzisz go, może ci się nawet wydawać, że go złapiesz, ale lepiej nie próbuj, bo zaraz rozplynie ci się w dłoniach.

Tak robią chmury.

Nie na darmo nazywali go Harrym Houdinim.

\*

Tego wieczoru Catherine siedziała do późna w pracy. Miała nadzieję, że Danny się pokaże, ale na próżno. Nie śpieszyła się, idąc w sypanym gęsto śniegu na stację metra. Wysiadłszy w Chelsea, wolno ruszyła Dwudziestą Trzecią Ulicą. Im bliżej było stoisko Christy'ego, tym wolniejsze były jej kroki, serce natomiast biło coraz szybciej. Wreszcie przed nim stanęła.

- Widziałem go - powiedział Christy.

W jego dłoniach dostrzegła melonik, który Lizzie podarowała Danny'emu, i żołądek jej się ścisnął.

- Skąd to masz?

- Spadł mu z głowy, kiedy ode mnie uciekał. Nie chce się ze mną widzieć. O mało nie złamał sobie karku, tak śpieszył się do autobusu.

- Do autobusu? - zapytała. Widziała, jak kurczowo Christy ścisnął kapelusz, palce wbijając w rondo, jakby od tego zależało jego życie.

- Tam - Christy machnął w kierunku przystanku przy Dziewiątej Alei.

- Możesz pójść ze mną? - zapytała. Christy nie odpowiedział, sprawiał wrażenie otepiałego jak lunatyk, ujęła go więc za rękę i delikatnie pociągnęła.

Poszedł za nią, zostawił stoisko z choinkami otwarte, ze sznurem lampek mrugających w zimnym wieczornym powietrzu. Z Dziewiątej Alei skręcili na Dwudziestą Ulicę. Catherine nie miała pojęcia, co powinna zrobić albo powiedzieć, wiedziała tylko, że musi z nim być, bo Christy bardzo cierpi.

Na chodniku śnieg zmieniał się w lód. Catherine pośliznęła się i Christy ją przytrzymał. Przez chwilę stali objęci, czekając na zmianę świateł. Kiedy znowu ruszyli, nie cofnął ręki. W drugiej trzymał kapelusz Danny'ego.

Weszli po schodach do jej domu. Catherine otworzyła drzwi i zapaliła lampy. W środku było ciepło, drewniane podłogi połyskiwały. Christy stał w holu i rozglądał się, wciąż ściskając kurczowo melonik.

- Możesz go tu położyć - powiedziała, ale się nie zgodził.

- Tylko tyle mi po nim zostało.

- To nieprawda - zaprzeczyła Catherine. - Wiem, że to nieprawda.

Christy spojrzął na melonik.

- Kiedy Danny był małym dzieckiem, dostał gorączki, bardzo wysokiej, w żaden sposób nie potrafiliśmy jej zbić. Mieszkamy daleko od szpitala, ale go tam zawiozłem. Lekarze nie byli pewni, co jest powodem tej gorączki, i zatrzymali go na noc. Mary z nim została. Kiedy wróciłem do domu, znalazłem pluszowego misia. I pomyślałem ... pomyślałem, że nigdy więcej nie zobaczę mojego syna, że ten miś to wszystko, co mi po nim zostało.

- I teraz to samo czujesz na widok tego kapelusza

- powiedziała Catherine.

Potaknął. Nie był w stanie oderwać wzroku od melonika.

- Tylko tyle mi po nim zostało - powtórzył załamującym się głosem.

Catherine delikatnie wyjęła kapelusz z jego dłoni i ostrożnie położyła na stoliku. Christy drżał na całym ciele, wyczuwała to poprzez grubą kurtkę ze skórzanym kołnierzem. Rozpięła zamek, zsunęła kurtkę z

potężnych ramion. Otrzeptała okrycie ze śniegu i powiesiła w szafie ze swoim płaszczem.

- Chcę ci coś powiedzieć.

Spojrzał na nią, w jego niebieskich oczach malowała się straszliwa beznadzieja. Znała to uczucie, znała je nazbyt dobrze. To było tak, jakby poczucie stryaty przejęło całkowitą władzę nad duszą, opróżniło ją ze wszystkich doznań. Catherine zbliżyła się ku niemu, a potem coś kazało jej wspiąć się na palce i zarzucić mu ręce na szyję: Mówiła sobie, że chce patrzeć mu prosto w oczy i wspierać go swoją siłą.

Stali serce przy sercu; czuła, jak jego bije mocno i rytmicznie. Wpatrywał się w nią płonącymi oczami i była to chwila do tego stopnia naładowana emocjami, że zabrakło jej tchu. Dotknęła jego twarzy. Była lodowata, przecież cały dzień spędził na mrozie. Pomyślała, że chce go ogrzać. Tylko o to jej chodziło, gdy przycisnęła usta do jego policzka.

Christy pocałował ją delikatnie, łagodnie. Palcami przesunął po jej policzkach, po szyi. Usta miał gorące, topniała w jego objęciach. Za oknem padał śnieg, pomarańczowe światło ulicznych lamp padało na szyby, ale Catherine widziała gwiazdy.

Ramiona i plecy Christy'ego były takie twarde. Nie potrafiła się powstrzymać od dotykania go, zresztą wcale nie chciała. Christy był silny, bo ciężko pracował na farmie, machając siekierą i przenosząc drewno - czuła to wszystko, obejmując go, podczas gdy on ją całował.

- Catherine - powiedział. Od tak dawna żaden mężczyzna nie wymówił jej imienia w tym domu ...

- Trzy Boże Narodzenia. - szepnęła.

- Co?

- Ja nie, ja nie .. - zaczęła, trzymając go mocno.

- Wszystko w porządku - zapewnił, gładząc ją po włosach. - Cokolwiek to jest.

Słuchała go. Od tak dawna nie wierzyła w takie zapewnienia. Christy pachniał śniegiem, sosnami i skórą. Przycisnęła twarz do jego szyi i wciągnęła powietrze głęboko w płuca, myśląc o północnych lasach. Zatraciła się w jego zapachu i dotyku, nie widziała nic prócz gałęzi i światła gwiazd. Był taki rzeczywisty, pragnęła wiecznie trwać w jego objęciach.

- Miałam nadzieję, że zobaczę ducha mojego męża - szepnęła.

- Ale nie zobaczyłaś?

Pokręciła głową.

- Może dlatego, że nie powinnaś być. Może po~ winnaś zostać tutaj, stojąc oboma nogami na ziemi. Jesteś żyjącą kobietą, Catherine. Gdybyś zobaczyła ducha męża, mogłabyś zapragnąć odejść razem z nim.

Zyjąca kobieta. W jej myślach wirowały obrazy, ciało pulsowało od emocji. Pamiętała, jak trzymała dłoń Bridget w Rockefeller Center, jak obejmowała Danny'ego w bibliotece Rheinbecka, jak mknęła na saneczkach z Pilgrim Hill, zamknięta w ramionach Christy'ego. Wcześniej czuła się martwa, gorzej niż duch - przykuta do ziemi, pogrzebana w smutku. Czuła się jak jedna z choinek Bridget: ścięta, wywleczona z lasu, ale przez nikogo nie zabrana do domu i nie przywrócona do życia lampkami.

Christy znowu ją pocałował, tym razem zupełnie inaczej, jakby sobie przypomniał, że sam jest żyjącym mężczyzną. Rozchylił rozpalone usta, gorącym językiem dotknął jej języka. Oboje odczuwali to samo pożądanie. Od dawna nie miała tak silnego uczucia, że żyje, po kręgosłupie i skórze przeszedł jej dreszcz, jak u mruczącego kota, który wydaje się iskrzyć elektrycznością.

Catherine otworzyła oczy, by sprawdzić, czy to naprawdę się dzieje. Christy odchylił się, nie wypuszczając jej z objęć. Uśmiechnęli się do siebie. Nie chciała, by cofnął ramiona, nastrój pryśnie, jeśli to zrobi. Czy jego serce wciąż bije tak mocno jak jej? Przycisnęła dłoń do jego piersi, on zrobił tak samo.

- Przez ciebie dostanę ataku serca - powiedział.

- Tego bym nie chciała - odparła i cofnęła się.

- A ja tak - szepnął, znowu delikatnie ją całując.

Pragnęła zawsze czuć na sobie jego ramiona. Kiedy jednak jej wzrok padł na kapelusz Danny'ego, zmusiła się, by zacząć mówić.

- Christy.

- Catherine.

- Mam ci coś do powiedzenia.

Potaknął, odgarniając jej włosy z oczu i poprawiając okulary na nosie. Zabrakło jej tchu, tak delikatne były jego ruchy.

- Racja, mówiłaś, że o czymś chcesz mi powiedzieć. Przełykając ślinę, podeszła do krzesła i podniosła melonik. Białą satynową podszewkę znaczyły smugi piasku i soli, po upadku na ziemię, oraz czerwony haft. Melonik był

stary, Lizzie czasami kupowała ciekawe kapelusze na pchlim targu przy Szóstej Alei, i wciąż widniało na nim nazwisko wytwórcy: "Motsch et Fils, Paris".

Catherine podała Christy'emu kapelusz i gestem pokazała, by zajął do środka. Patrzyła, jak studiuje metkę.

- Francuski - powiedział. - Zdziwiłem się, że Danny nosi takie stylowe nakrycie głowy. Na początku go nie poznałem.

- Haft - mruknęła Catherine. W ustach miała sucho, serce jej dudniło w zupełnie nowy sposób, nerwowo, i ledwo potrafiła mówić.

- CL - odczytał Christy litery wyszyte czerwoną nitką. Spodziewała się, że będzie zdezorientowany, tymczasem z jego wzroku odczytała bezgraniczną ufność, że wszystko, co Catherine mu powie, z całą pewnością będzie pomocne w poszukiwaniu syna.

- "Chez Liz" - powiedziała Catherine. Teraz wyglądał na zdezorientowanego. - Nie rozumiem.

- Lizzie kupuje stare kapelusze na aukcjach

i pchlich targach. Nie usuwa oryginalnych metek, ale zawsze dodaje własny znak "CL" wyszyty czerwoną nicią. Czerwień to kolor firmowy jej sklepu.

- Danny kupił go od twojej przyjaciółki Liz?

- zapytał Christy, niemal eksplodując radością.

- W takim razie może ona coś wie! Może go sobie

przypomni, Danny to wysoki chłopak, inteligentny i pełen życia. Zadzwońmy do niej!

- Christy - Catherine wzięła jego dłonie w swoje

- ona mu dała ten kapelusz.

- Ale gdyby wiedziała, że to Danny, na pewno by mi powiedziała. Albo powiedziałałaby tobie, a ty byś mi 'powtórzyła ... - Jego oczy przysłoniła chmura.

- Prosił nas, żebyśmy tego nie robiły - powiedziała cicho.

W domu zapadła cisza. Catherine widziała, jak z twarzy Christy'ego odpływa krew. Zbladł jak kreda i była pewna, że przestał oddychać. Nie tyle wyrwał z uścisku dłonie, co pozwolił im opaść, jakby nie potrafił dłużej opierać się grawitacji.

- Ty ...

- Widziałam go.

Czekał. Oczy mu pociemniały, jakby noc zapadła nad zamrażającym stawem.

- Pomogłyśmy mu w zeszłym roku, po tej bójce. Ciebie zabrała policja, a kiedy wróciłeś i zabrałeś Bridget do domu, Danny tutaj został.

- Tego pragnął.

- Właśnie. Był... - nie chciała mu mówić, że widziała jego syna grzebiącego w śmietniku za restauracją Moore'a na rogu - ... głodny. Dałyśmy mu jedzenie.

- Danny był głodny - powtórzył Christy.

Wzdrygnął się i pokręcił głową, jakby to było dla niego nie do zniesienia. - Nigdy bym na to nie pozwolił, nigdy. Czy on nienawidzi mnie tak bardzo, że woli chodzić głodny, niż mieszkać ze mną? - Christy włożył kurtkę, kapelusz wsadził za pazuchę. Oczy miał pełne rozpaczy i gniewu. Kiedy był już przy drzwiach, Catherine złapała go za rękę.

- To nie tak, on cię nie nienawidzi - powiedziała.

- Więc z tobą rozmawia? Wiesz to od niego?

- Nie, prawie nic mi nie mówi. Ale ja jestem o tym przekonana. Christy, wysłuchaj mnie, proszę. Chcę pomóc.

- Pomóc? - Wyrzucił to słowo z trudem. Catherine czuła, jak na powrót ogarnia go beznadzieja: wcześniej jej ufał. - Przez cały ten czas myślałem, że ty ...

W milczeniu czekała na dalszy ciąg.

- Myślałem, że jesteś aniołem - skończył wreszcie. Z jego oczu wyciekło całe ciepło, jakby stracił wiarę w anioły. Gwałtownie otworzył drzwi, wpuszczając do środka wiatr niosący płatki śniegu.

- To najbardziej śnieżny grudzień od ponad stu lat - powiedziała nagle.

Spojrzał na nią przez ramię, jakby myślał, że zwiariowała, jakby to stwierdzenie nie miało nic wspólnego z bólem, który go dręczył. Catherine nie dodała, że przeczytała to zdanie skreślone dłonią Danny'ego w jego pomiętym referacie.

- Na pewno jest naj zimniejszy - odparł Christy, długą chwilę patrząc jej w oczy. A potem, jakby nic na to nie mógł poradzić, dotknął jej policzka. - Tym zimniejszy, im większe ciepło czułem w twojej obecności.

Podniósł kołnierz i tak jak jego syn zniknął pośród śniegu.

Christy zerwał się do biegu. Przez zamieć pędził Dziewiątą Aleją, serce pękało mu jak lód na stawie. Wokół niego wznosiło się miasto, dzika kraina światła. Na każdym rogu jego terenowe buty przebijały się przez topniejący lód i zwały śniegu. Przechodnie radośnie nieśli torby z zakupami, Christy'ego oślepiały przed chwilą usłyszane słowa

Jak to możliwe, że czuje się zdradzony przez kobietę, którą ledwo zna? Biegł szybciej, płuca go piekły przy każdym wdechu, bolały ramiona, mięśnie płonęły od uścisku, w którym ją zamknął i z którego musiał ją wypuścić. Wyczuwał jej pragnienia i chciał dać jej jeszcze więcej. A ona ze spokojem mu oznajmiła, że widywała jego syna, że kiedy on się zamartwiał, pomagała Danny'emu.

Podczas gdy Christy myślał, że jego syn ... co? Zaginął, odszedł, umarł. Czy Catherine nie potrafiła tego zrozumieć? Kobieta w czerni, jego smutna przyjaciółka. Pograżona w żałobie, w każdej sekundzie gotowa oddać wszystko, byle tylko ujrzeć ducha męża. Ukrywała się przed życiem, zwrócona w przeszłość. Dzisiaj jednak ...

Christy myślał o tym, jak wziął ją w objęcia. Tulił ją, miał przy sobie jej cudowne ciało, pragnął z nią rozmawiać do rana, do końca pobytu w Nowym Jorku! Tak właśnie się czuł, gładząc ją po włosach, zapewniając, że jest żyjącą kobietą i musi wybrać życie. Może postradał zmysły, ale ogarnął go ten nieprzemierzalny impuls, by trzymać ją przy sobie, kochać ją. Dzisiaj, zawsze, co za różnica?

Przedtem sądził, że się wzajemnie rozumieją, że oboje wiedzą, iż życie jest krótkie, cenne. i bardzo, bardzo gwałtowne. Gdyby nie było, jak inaczej jej młody mąż mógł umrzeć w Boże Narodzenie? Jak nastolatek - żrenica oka dla ojca, światło dla siostry - mógł tak po prostu uciec w noc i nigdy więcej się nie pokazać?

Dlaczego więc nie korzystać z najbardziej nawet ulotnej okazji na miłość i światło, gdy tak trudno je znaleźć? On i Catherine do siebie nie pasowali, Christy zdawał sobie z tego sprawę. Ona była wielką damą otoczoną kosztownymi przedmiotami, mieszkającą w kamienicy wartej więcej, niż Christy zdoła w ciągu całego swojego życia zarobić. On był kanadyjskim hodowcą drzewo dłoniach twardych jak papier ścierny, z żywicą i korą pod paznokciami. W tamtej jednak chwili ...

Wydawało mu się, że widzi to w jej oczach. Ona też to czuła. Catherine O'Toole Tierney, piękna dziewczyna z Chelsea, całowała go, 'Christophera X. Byrne'a. Drżała w jego ramionach, patrzyła mu w oczy z tą samą burzliwą nadzieją, która szalała w jego sercu. A potem powiedziała mu prawdę.

Prawdę o Danny'm. Czy Catherine i jej przyjaciółka śmiały się z niego? Christy wiedział, że to bez znaczenia. Ważne było tylko to, że Danny żyje, a Catherine o tym cały czas wiedziała. To pierwsze powinno go uradować, to drugie nie powinno wcale się liczyć. Było nieistotne w porównaniu z wiadomością, że Danny ma się dobrze ....

Przed hotelem Maritime z oknami w kształcie bulajów z limuzyn wysiadali ludzie udający się na bożonarodzeniowe przyjęcie. Coś kazało mu zwolnić, przyglądać się grupkom wchodzącym po schodach na szeroki taras. Pomyślał, że Nowy Jork to rzeczywiście dziwne miejsce. Od tak dawna sprzedaje choinki w Chelsea, że na jego oczach ten budynek najpierw był domem starości dla marynarzy, potem schroniskiem dla dzieci, które uciekły z domu, a teraz jest eleganckim hotelem i restauracją.

Czy tego właśnie pragnął Danny? Czy podczas corocznego pobytu na Manhattanie marzył o przyjęciach i blichtrze wielkiego świata? Patrząc, jak ojciec sprzedaje choinki elegancko ubranym ludziom, postanowił, że sam chce prowadzić wykwintniejsze życie?

Christy kulił się w cieniu, patrząc na ludzi idących na przyjęcie. Ubrani byli na czarno: czarne garnitury, płaszcze, czarna aksamitna peleryna, błyszczące czarne buty. Nie mógł oderwać od nich wzroku: pomimo soli, piasku i błota zalegającego chodniki te buty wyglansowane były na wysoki połysk. Christy wyobrażał sobie, jak ich właściciel wychodzi z domu prosto do limuzyny, a z niej na schody hotelowe. Tym ludziom buty nigdy nie przemokły.

Czy tego właśnie pragnął Danny? Czy życie w Nowej Szkocji było dla niego aż tak straszne? Christy myślał o domu, o butact.J., które zawsze nosił Danny. Od czasu gdy chłopiec nauczył się chodzić, chciał buty marki Sorels, solidne buty do pracy, jakie miał ojciec. Christy sadzał Danny'ego na kolanach, żeby je zasnuować. W głowie Christy'ego wirowały obrazy butów: maleńkie butki Danny'ego, gdy był niemowlęciem, większe, gdy miał dziesięć lat, i jeszcze większe nastoletniego chłopca, wszystkie oblepione błotem, nawozem, sosnowymi igłami, żywicą, solą, sianem, sadzą.

Myślał o pożarach lasów. Piorun uderzał w jedno drzewo, a po chwili pół akra stawało w płomieniach. Danny musiał opuszczać szkołę, żeby pomagać w gaszeniu. Jeden dzień, następny, potem okres wyznaczony na

nadrobień egzaminów. Christy powtarzał w duchu, że Danny jest bystry i da sobie radę z zaległościami w nauce. Pewnego wieczoru tamtego lata, kiedy ogień wciąż tlił się w lasach, usłyszał rozmowę swoich dzieci, które sądziły, że są same.

Danny i Bridget siedzieli na ganku, patrząc na świetliki latające nad wysoką trawą.

- Złapiesz parę dla mnie? - zapytała Bridget.
- Jestem zmęczony, Bridey.
- Zamknę je w wielkim słoju, który wrzucę do morza.
- Po co?
- Żeby trzymać je z daleka od drzew. Nie lubię pożarów.

Christy siłą powstrzymał śmiech, żeby nie zdradzić swojej obecności. Danny nie potrafił tak nad sobą zaprowadzić i głośno zachichotał.

- A to dobre. Nie możesz być moją siostrą i naprawdę w to wierzyć.
- Przecież coś ciągle wywołuje pożary!
- Bridey, świetliki wytwarzają substancję o nazwie lucyferyna, która wchodzi w reakcję z tlenem i świeci. To zimne światło, nie trzeba się nim przejmować.
- Jesteś pewny?
- Tak - odparł wciąż ze śmiechem Danny. - Uczyłem się o tym w szkole.
- Więc co w takim razie wywołuje pożary?
- Piorun, upał, susza. Na wiosnę znalazłem w szkolnym komputerze wiadomości o tym nowym sensorze na satelicie NOAA. Widzisz, grupa badająca pożary lasu włączyła nowe algorytmy wykrywania dymu do przekaźnika A VHRR/3, i słowo daję, gdybym miał dostęp do ich strony, byłbym w stanie ostrzegać ojca o niebezpieczeństwach pożarów u nas. Jest taki kanał na podczerwień i myślę, że ...
- Ojej, Danny, o czym ty mówisz?

Christy słuchał, ogarnięty zdumieniem i podziwem. O czym Danny mówił? Przez cały czas Christy uczył go, że uprawa ziemi wymaga zdobycia rozległej wiedzy, ale w jednym tylko zakresie: jak hodować drzewa, żeby je można było sprzedać z wielkim zyskiem. Danny tymczasem mówił o nauce w inny sposób, z pasją, pragnieniem uczenia się i odkrywania nowych rzeczy.

Kiedy Christy był wobec siebie szczery, a zdarzało się to w bezsenne noce, martwił się, czy rzeczywiście nie pęta swojego syna. Jak może wymagać od chłopca obdarzonego wielką inteligencją, by zarabiał na życie piłą i grabiami? Teraz to pytanie sprawiło, że cały się zatrząsł, pojął bowiem, że swoją postawą zmusił syna do ucieczki.

Po drugiej stronie ulicy do hotelu płynęli strumieniem ludzie odziani w modną czerń. Myśli Christy'ego od Danny'ego powędrowały do Catherine, smutnej nieśmiałej dziewczyny. Ona też ubierała się modnie, choć ani przez chwilę nie myślał, że nosi czerń z innego powodu niż żałoba. Dzisiaj wieczorem opowiedziała mu o Brianie.

Była taka delikatna i szczerą. Christy odnosił wrażenie, że słowa o mężu wiele ją kosztują, że nie jest jej łatwo zwierzać się z pragnienia spotkania z duchem Briana. A on odczuwał, że postępuje słusznie, mogąc trzymać ją w ramionach i przekonywać, że życie będzie toczyło się dalej, bo zawsze tak jest, że smutek wcale nie musi jej niszczyć.

Teraz Christy czuł, że smutek niszczy jego. Nie rozumiał ludzi. Po utracie Mary w wychowanie dzieci włożył wszystkie swoje siły. Przyjeżdżał do Nowego Jorku, żeby sprzedawać choinki bogaczom. Myślał, że zaszczepił swoim dzieciom cnoty. I myślał, że lepiej potrafi oceniać przyjaciół.

Catherine.

Aleją wolno nadjechał wóz patrolowy, policjanci patrzeli w jego stronę. Jednym z nich był Rip Collins.

- Co jest, Christy? - zapytał, otwierając okno.
- Wyszedłem na spacer.
- Miły wieczór na przechadzkę, o ile jesteś z Kanady - odparł Rip z uśmiechem.

Christy wiedział, że policjant nie chciał go urazić, zdobył się więc na uśmiech.

- Wciąż szukasz syna?

Christy wzruszył ramionami, by ukryć prawdziwe uczucia. Widok Danny'ego biegnącego za autobusem sprawiał, że serce mu lodowaciało.

- Ta pora roku musi być dla ciebie trudna.

Jak każda inna, tak Christy chciał odpowiedzieć. Pomyślał o Catherine czekającej na ducha męża. Jak kobieta, która w ten sposób się zachowuje, nie potrafi zrozumieć uczuć Christy'ego do syna?

- Tak - powiedział głośno.

- Dzisiaj już daj sobie spokój - zaproponował Rip. - Zostawiłeś oświetlone stoisko bez dozoru.

Christy drgnął: jak to możliwe? Przeżył szok, patrząc na Danny'ego wskakującego do autobusu, a potem pojawiła się Catherine i poszedł z nią. Musiał stracić rozum, naprawdę. Przecież jest tam jego kasetka z pieniędzmi!

- Dzięki - rzucił policjantowi, po czym odwrócił się i pobiegł aleją. Kiedy znalazł się przy stoisku, gęsty śnieg niemal przysłaniał drzewa. Łącuch białych lampek był tylko niewyraźną smugą. Christy skoczył do miejsca, gdzie przechowywał kasetkę.

Nie było jej.

Pozostało tylko wgłębienie w śniegu pod małym białym świerkiem. Christy wsunął dłonie głębiej, pomyślał bowiem, że mógł niechcący ją przesunąć. Igły drapały go po głowie i karku, kiedy gorączkowo szukał kasetki, w końcu musiał jednak przyjąć do wiadomości, że jej tu nie ma. Kiedy ostatnio ją opróżnił? Zaprzątnięty troskami o Danny'ego, sprzecznymi uczuciami i gwiazdami, które widział nad Catherine, zostawił w niej niemal tygodniowy utarg.

Srebrzyste świerki po siedemdziesiąt dolarów, jodły Frasera i sosny po osiemdziesiąt, daglezie po dziewięćdziesiąt, jodły balsamiczne po pięćdziesiąt, sosny wejmutki po czterdzieści, drzewka do postawienia na stole po trzydzieści - stracił tysiące.

Kto wiedział, że kasetka tu jest? Nie, to na pewno nie Danny, to niemożliwe. Ale Christy zawsze był taki ostrożny. Odbierał gotówkę od klienta i chował do kieszeni, a do kasetki przekładał, kiedy był pewien, że nikt nie patrzy.

W myślach miał zamęt; nagle złapał się na tym, że myśli o braciach Quinnach. Mieli sanki z wrytymi inicjałami, JQ i PQ. Jeden brat poszedł słuszną drogą, drugi złą.

Christy pomyślał o swoich dzieciach. Bridget była teraz w domu, na piętrze pensjonatu za jego plecami, a gdzie był Danny, Bóg tylko wiedział. Jeszcze niedawno Christy przysięgłby na grób swojej matki, że jego dzieci są dobre. Założyłby się o wszystko, że wyrosną na szczęśliwych prawych ludzi, że pomimo swojej błyskotliwej inteligencji Danny będzie uprawiał drzewa przy boku ojca, dopóki ten nie odejdzie z tego świata.

Teraz wszakże Christy Byrne niczego nie był pewien.

Wcześniej nie potrafiłby sobie wyobrazić roku bez syna.

Wciąż nie potrafił.

W porównaniu z tym utrata pieniędzy była niczym. Ale jak jego wspaniałe mądre dziecko mógł wybrać zły zakręt? A jeśli to ojciec, nie potrafiąc zrozumieć jego pragnień, pchnął go w niewłaściwym kierunku? Młodzież kradnie pieniądze na narkotyki, Christy słyszał o takich przypadkach, także w domu. Boże, co Danny robi? Życie na ulicach musi być straszliwie trudne. W jaki sposób Danny zapewnia sobie jedzenie i dach nad głową? Co robi, żeby przeżyć?

Kiedy Christy uniósł głowę, zobaczył nadjeżdżający wóz Ripa (pewnie okrążył przecznicę). Skulił się ze wstydu. Policjanci wysiedli. Z wyrazu oczu Christy'ego domyślili się, że go okradziono. Rip wyjął notatnik, a Christy'emu nie pozostało nic innego, jak powiedzieć prawdę.

Jacyś dziennikarze usłyszeli o sprawie przez krótkofalówkę i mniej więcej godzinę później zjawili się, żeby zrobić zdjęcia. Oszołomiony flesztami, bezczelnością i arogancją Christy miał ochotę potrzaskać im aparaty. Kiedy policjanci wreszcie odjechali, Christy z trudem powlókł się do pensjonatu pani Quinn.

- Co się stało, tatusiu? - zapytała Bridget, widząc wyraz jego twarzy. Siedziała zwinięta na sofie z Murphy na kolanach. W jej wielkich zielonych oczach pojawił się strach, jakby była świadkiem klęski ojca.

- Nie patrzyłaś przez okno? - Christy zdawał sobie sprawę, że musiała widzieć, jak rozmawia z policją. Tego wieczoru przestępstwa należały do rzadkości, bo oprócz Ripa i jego partnera przybyły też trzy inne wozy patrolowe, nie wspominając o ekipach z różnych telewizji oraz sporym tłumku okolicznych mieszkańców.

- Nie - odparła z przerażeniem. - Dlaczego? Co się stało?

Christy próbował się uśmiechnąć, ale nie potrafił. Salon znajdował się na tyłach budynku, okno wychodziło na podwórze - dobrze, że Bridget nic nie widziała. Kradzież pieniędzy była najmniej ważna; sąsiedzi składali mu wyrazy współczucia, proponowali, że kupią posiłek. Na pytanie policjantów, czy ktoś znał miejsce przechowywania pieniędzy, Christy odpowiedział przecząco. Nie miał zamiaru



wspominać o Dannym. Dlaczego syn cały dzień spędził w Chelsea, jeśli nawet nie chciał się przywitać? Od początku planował kradzież? Wszystko to wydawało się Christy'emu nierzeczywiste. Wciąż odczuwał dreszcze na wspomnienie Catherine w swoich ramionach. Jego umysł był czarną dziurą po tym, co powiedziała mu o Dannym.

- Nic się nie stało. Strasznie pada.
- Co tam masz? - Bridget wskazała czarny melonik.
- To ... to kapelusz twojego brata.
- Danny! Widziałeś go?

Christy potaknął. Znużony zdjął kurtkę i zawiesił na wieszaku przy drzwiach. Kapelusz położył na regale z książkami.

- Widziałem.
- Gdzie? Co się stało? Co ci powiedział?
- Uciekł ode mnie - odparł Christy. Musiał przerwać, żeby zapanować nad emocjami.

Bridget nic nie mówiła, tylko patrzyła na niego.

Christy dziwił się, dlaczego nie jest bardziej zaskoczona. Policzki zalał jej krwisty rumieniec, zakłopotana schowała twarz w futrze Murphy.

- Ty też się z nim spotkałaś? - zapytał z niedowierzaniem.
- Uhm - mruknęła, nie podnosząc głowy.
- Ty, Catherine i Liz?
- I Lucy - uzupełniła Bridget, wreszcie pokazując ojcu twarz.
- Ale dlaczego? - Usiadł ciężko na starym fotelu. - Dlaczego mi o tym nie powiedziałyście?
- Bo Danny nam nie pozwolił.
- Czy ja jestem ogrem? - zapytał Christy odrętwiały. Ściskając poręcz fotela, wpatrywał się w oczy córki.

- Nie myśl tak, tatusiu - powiedziała błagalnie.
- Muszę tak myśleć. Wszyscy boją się ze mną rozmawiać. Mój rodzony syn ...
- Nie chcieliśmy zwracać ci głowy, tatusiu, tak ciężko pracujesz.
- Pracuję tak ciężko dla was obojga! Nie wiesz o tym?
- I dlatego Danny nie chciał obciążać cię dodatkowymi sprawami.
- Chryste, Bridget. Ciężar, tym według ciebie to jest? - Oczyma wyobraźni zobaczył Danny'ego wska-

kującego do autobusu. Zrozumiał, że to prawda, tak rzeczywiście było. Usłyszał tamtą rozmowę swoich mądrych dzieci na ganku i bał się, że tego Danny chce od życia, bał się, że Danny pragnie wyjechać z domu. A Danny musiał wyczuć jego strach.

- On ma plan - mówiła Bridget.
- A jeśli ... - Christy nie skończył. A jeśli plan Dan-

ny'ego oznacza też kradzież utargu? Może nie na narkotyki, ale na szkołę. Może o to chodziło ...

- Musimy być cierpliwi, tatusiu. Powie nam, kiedy będzie gotowy.

Christy słuchał uważnie. Jego córka wydawała się taka mądra i dojrzała, rozsądna. Jednakże rozsądek nie przemawiał do Christy'ego Byrne'a, bo dzisiaj wieczorem jego świat rozpadł się.

- Kiedy będzie gotowy? - powtórzył, czując smak łez w kącikach ust. - Twój brat ma dopiero siedemnaście lat. Zresztą nie potrafię być cierpliwy, kiedy chodzi o ciebie albo Danny'ego.

## 10

Wszystkie brukowce na pierwszych stronach pisały o tej samej sprawie. Nagłówek w "Post" krzyczał: "Grinch uderzył w Chelsea!", a w "Daily News" obwieszczał:

"Ograbiony na Dziewiątej Alei". Zdjęcia przedstawiały Christy'ego przy stoisku z choinkami, nieświadomie umykającego wzrokiem od obiektywu. Profil miał wyrazisty, w niebieskich oczach malowała się utracona nadzieja i ojcowska miłość. W rogu widniała fotografia Danny'ego ze szkolnej kroniki.

Catherine i Lizzie czytały artykuły w Moonstruck.

W obu gazetach opisano kradzież oraz przypomniano zeszłoroczny incydent: aresztowanie Christy'ego za napaść, ucieczkę Danny'ego, odstąpienie od oskarżeń. W "Post" zamieszczono raport o nastoletnich uciekinierach z domu, "Daily News" natomiast włączył historię Danny'ego do serii artykułów o bezdomnych.

- W tych artykułach Christy wygląda na potwora

- powiedziała Catherine. - Jakby bił syna, jakby zależało mu tylko na pieniądzech. Posłuchaj tego: "Daniel Byrne, obecnie siedemnastoletni, uciekł dwudziestego siódmego grudnia ubiegłego roku. Zwykle na miesiąc opuszczał zajęcia w szkole, żeby pomagać ojcu na stoisku z choinkami przy Dziewiątej Alei w Chelsea. Sprzedawcy choinek w Nowym Jorku pracują do późna, próbując w ten jeden miesiąc zarobić na całoroczne utrzymanie. Okoliczni mieszkańcy widywali, jak czasami nastolatek pracował do północy".

Pokręciła głową. Lizzie wzięła od niej gazetę i czytała dalej:

- "Kierownictwo liceum North Breton odmówiło komentarzy. Jednakże kolega Daniela ze szkoły, Jay LeClair, powiedział: Jasne, że rodzice zabierają dzieci ze szkoły. Nauczyciele pozwalają później nadrobić zaległości. *Ale* po pożarze lasu Danny bardzo się opuścił. W tym roku wszystkim nam się to przytrafiło. Tylko że Danny jest bystry. Czy raczej był. Nie mamy pojęcia, co się stało w Nowym Jorku. Wszyscy myśleliśmy, że zostanie meteorologiem. Planował wykrywać pożary i burze, co pomogłoby hodowcom drzew. Teraz chyba nic z tego, skoro zniknął."

- Na tym polega jego plan? - zapytała Catherine.

- To bez znaczenia. - Lizzie uniosła brew i odsunęła gazety na bok. - Powiedz mi, co się stało z Christym.

Catherine serce się ścisnęło. Utkwiła wzrok w gazetowych fotografiach. Strasznie było patrzeć na napiętą twarz Christy'ego.

- Powiedziałam mu.

- Ile? - zapytała Lizzie.

- Ze pomagaliśmy Danny'emu w miarę naszych możliwości. Zobaczył twoje inicjały na podszewce kapelusza.

- Rozgniewał się?

- Był zły, smutny, zdenerwowany, co tylko chcesz. Ja ... - Catherine urwała, przysuwając gazety. Wyglądała je, by widzieć zdjęcie Christy'ego. - Załuję, że go zraniłam.

- Nie masz żadnego wpływu na to, co robi albo czego chce Danny. To jego rodzina, jego sprawa.

Catherine spojrzała na przyjaciółkę.

- Powinnaś była widzieć wyraz w oczach Christy'ego, kiedy mu powiedziałam. Ufał mi.

- Danny też - zauważyła Lizzie.

- Jak to możliwe, że dwoje ludzi, którzy są sobie tacy bliscy, nie potrafią się ze sobą porozumieć?

- Masz na myśli Danny'ego i Christy'ego? Catherine potaknęła zarumieniona. Kogo innego mogła mieć na myśli?

- W rodzinach to rzecz normalna - powiedziała Lizzie. - Mnie i Lucy przydarza się to dwanaście razy na dzień. Robię płatki owsiane, ona chce cheerios. Ona chce włożyć niebieskie skarpety, ale ja zapomniałam je wyprać. Ona upiera się, żeby iść do parku, ja marzę o kinie i popcornie. To jeden wielki koszmar miłości.

- Tu nie chodzi o wybór pomiędzy owsianką i cheenos.

- Wiem, o przyszłość rodzinnej farmy. O chłopca uciekającego od ojca. Niewykluczone, że silny i milczący farmer powinien powiedzieć do syna więcej niż dziesięć słów. *Ale* powtarzam, w rodzinach to się zdarza. We wszystkich, choć na różne sposoby.

- Dlaczego w okresie Bożego Narodzenia to się tak nasila? - zapytała Catherine, patrząc na kolorowe lampki mrugające dokoła lustra, na malowane Mikołaje i choinki w oknach restauracji.

- Ponieważ stawki są wtedy o wiele wyższe.

- Stawki. W twoich ustach brzmi to jak zakłady, w których wszyscy próbujemy coś wygrać.

- Bo właśnie to robimy - odparła Lizzie. - Stawiamy na miłość i szczęście. I na ludzi, którzy są dla nas najważniejsi. Myślimy, że wszystko mamy poukładane, ale kiedy ktoś, na kim nam zależy, kogo z całego serca kochamy, zawodzi nas, tracimy nasze stawki. Weź mnie i ojca Lucy.

Catherine pokiwała głową, ściskając dłoń przyjaciółki. Lizzie zakochała się w mężczyźnie, który mieszkał niedaleko. Nazywał się Robert Thorndike i był bankierem na Wall Street. Biorąc za przykład Briana, otworzyła serce przed człowiekiem biznesu. Richard odremontował strych na Czternastej Ulicy, a obdarzona wieloma talentami Lizzie zajęła się wystrojem. Powiedział, żeby urządziła strych według własnych marzeń, ponieważ będzie tam mieszkała z nim. Namiętnie zakochana Lizzie oddała mu wszystko, co miała. Kiedy zaszła w ciążę, nie posiadała się z radości.

W przeciwieństwie do Richarda Thorndike'a, który poprosił w firmie o przeniesienie do Londynu. Nigdy nie wrócił do Stanów.

- Ja na pewno straciłam tę stawkę - powiedziała Lizzie. - Naprawdę powinnam była wsiąść do autobusu do Atlantic City i postawić wszystko, co miałam, na szczęśliwe siódemki. Zamiast tego postawiłam na drania i dostała mi się Lucy.

- Trafiła ci się wielka wygrana.

- Tak, ale wciąż czuję się strasznie oszukana przez miłość. Jakby wszechświat zabawił się moim kosztem.

Catherine patrzyła przez okno. Śnieg przestał padać, między szybko przesuwającymi się chmurami przezierało błękitne niebo, nadal trzymał kilkunastostopniowy mróz. Wyciągając szyję, próbowała dojrzeć Christy'ego. Ze stoicyzmem załatwiał transakcje; przypuszczała, że usiłuje nadrobić to, co stracił przez kradzież.

- Tak się czułaś, kiedy umarł Brian, prawda? I tak się czujesz, kiedy kolejne Boże Narodzenie mija, a ty go nie widzisz - naciskała Lizzie.

Catherine przypomniała sobie słowa Christy'ego. - Może nie powinnam go widzieć - powiedziała cicho. - Gdybym zobaczyła ducha mojego męża, mogłabym zapragnąć odejść z nim.

- Myślałam, że właśnie na tym ci zależy - odparła zdumiona Lizzie.

- Ja też tak myślałam - powiedziała Catherine, wciąż patrząc przez okno.

Danny wspiął się do swojej kryjówki, z której rozciągał się widok na park.

Niebo było teraz czyste, wiedział jednak, że zbliża się następna zamieć. Pogoda to w gruncie rzeczy zderzające się molekuly, pomyślał, zupełnie podobne do rodzin. Czyste niebo nie zawsze oznacza, że można swobodnie żeglować, a białe chmury nie zawsze zwiastują opady.

Penelope pociągnęła za sznur, który Danny przywiązał do dzwona. Zbiegł, żeby ją wpuścić, i razem wrócili po wąskich i krętych kamiennych schodach.

- Widziałeś dzisiejsze gazety?

- Jak mogłem ich nie widzieć?

- Mój ojciec się wkurzył. Mam szlaban na wszystko.

- Tak?

- Powinnam siedzieć zamknięta na klucz, ale musiałam ci powiedzieć, Danny. Zawiadomił gliny, będą tu za kilka minut. Idź stąd, jeśli nie chcesz, żeby cię złapali.

Danny głęboko odetchnął, ale nie ruszył się z miejsca. Objął Penelope i powiedział:

- Nie złapią mnie, jeśli nie będę tego chciał.

- Tata cię zwolni. Twierdzi, że oszukałeś jego i ludzi z ochrony parku, bo zatrudniłeś się, podając fałszywe dane.

- Podąłem prawdziwe nazwisko!

- Tak, ale oni myślą, że na imię masz Harry.

Danny uśmiechnął się; wiedział, że Catherine ten żart by się spodobał.

- W dodatku twierdziłeś, że mieszkasz w Chelsea. Ojciec jest w zarządzie Central Park Conservancy. W żadnym razie nie rekomendowałby cię do tej pracy, gdyby wiedział, że uciekłeś z domu.

- Ale ty wiedziałeś. - Danny mocniej ją do siebie przytulił.

- To prawda - uśmiechnęła się Penelope. - Wychowałam się pod kloszem i jestem łasa na tragedie. Twoje życie to historia wielkiego pecha.

Uśmiech znikł z twarzy Danny'ego.

- To nie pech. Miałem wspaniałe dzieciństwo i moja rodzina jest cudowna. My tylko ... jesteśmy zderzającymi się molekułami.

- Danny, ludzie to nie chmury. Uczę się geografii i fizyki. Nie jesteś oparem, twój ojciec też nim nie jest.

- Ale ton, jakim powiedziałaś "wielki pech". Jakby ... sam nie wiem, jakby źle mnie traktował albo coś w tym rodzaju. Tak nie było. Jeśli już, to odwrotnie. - Danny oczyma wyobraźni zobaczył ściągniętą strasznym bólem twarzy ojca poprzedniego dnia.

- Nie chodziło mi o pecha w znaczeniu złego traktowania. Miałam na myśli ... wiesz, straciłeś matkę. Pochodzisz z północy, gdzie jak przypuszczam, jest bardzo zimno. Wychowałeś się na wsi, co oznacza ogromne ilości błota i nawozu oraz całkowity brak Żółtych taksówek. To jest moim zdaniem pech.

- Taa, żółtych taksówek tam nie ma - zgodził się, gładząc jej jasne włosy, i oboje zaśmiali się z tego żartu. Danny wciągnął w nozdrza zapach jej perfum. Nie znał ich nazwy, ale i tak czuł, jak miękną mu kolana.

Kiedy w oddali zawyły syreny, Danny drgnął. Penelope podbiegła do okna, Danny stanął za nią. Wokół wieży rozciągał się park, lasy i łąki otoczone drapaczami chmur.

Danny nie potrafiłby wyrazić, jak wdzięczny jest Penelope i jej ojcu. Przez większość roku pracował na wymarzonej posadzie dla chłopca takiego jak on: sprzątał w zamku Belvedere. Zwykle zatrudniano ucznia jednej z nowojorskich szkół, ponieważ jednak Danny spełniał wymagania i zamierzał zdawać końcowe egzaminy korespondencyjnie, zrobili dla niego wyjątek.

Dostawał sto dolarów na dwa tygodnie. Do jego obowiązków należało pilnowanie, by pojemniki z ulotkami były pełne, a także zamiatanie podłóg, odkurzanie półek i opróżnianie koszy na śmieci.

Zamek Belvedere został zaprojektowany przez Fredericka Law Olmsteda i Calverta Vaux w dziewiętnastym wieku; wyglądał jak miniatura gotyckiego kamiennego zamku z łukami i wieżyczkami, uroczym pawilonem i wysoką wieżą, na której powiewała flaga. Danny przekonał się, że widać ją z każdego budynku stojącego na granicy z parkiem, w tym z mieszkania Penelope i biblioteki Catherine.

Zamek wznosił się na Vista Rock, ciemnej skale spadającej do Turtle Pond. Taras przyciągał wielu spacerowiczów, w tym także wielbicieli ptaków. Danny kręcił się wokół nich przez całe lato i jesień, szczególną sympatią darząc tych, którzy obserwowali jastrzębie i codziennie rano w październiku przychodzili, by być świadkiem ich migracji. Pożyczył lornetkę i patrzył w górę na sokoły, orły, pustułki i myszołowy rdzawosterne. Ze ściśniętym gardłem zastanawiał się, które z nich wyruszyły z Cape Breton.

Myszołowy zwiastowały zimę. Ich widok oznaczał, że ojciec i siostra Danny'ego niedługo tu przybędą.

Odpędzał od siebie te myśli, zajmując się pracą.

Z kryjówki na szczycie wieży widział wszystkie drzewa w parku. Mógł spoglądać na Ramble, Stane Arch, Tupelo Meadow. Mógł obserwować ciemne białe chmury toczące się od Hudsonu, podziwiać złote słońce wschodzące nad East Side. Mógł śledzić zmiany pogody równie dobrze jak każdy inny meteorolog. Zamek Belvedere był dla Danny'ego prawdziwym skarbem.

Każdy, kto mieszkał w Nowym Jorku, często słyszał słowa: "Temperatura w Central Parku wynosi ...". Powodem było to, że w zamku Belvedere mieściła się stacja meteorologiczna. Kiedy w roku 1869 rozpoczęto regularne gromadzenie danych, odczyty przesyłano drogą telegraficzną do Smithsonian Institution. Danny żałował, że już tak nie robią. Oddałby wszystko, żeby spisywać temperaturę, szybkość i kierunek wiatru, widzialność, ciśnienie powietrza, opady, wilgotność.

Obecnie dane gromadziły maszyny. Na spadzistym dachu wieży zamkowej oraz w przyległym do niej ogrodzonym budynku znajdowały się komputery przekazujące informacje do Amerykańskiego Instytutu Meteorologicznego w Brookhaven.

Danny we wrześniu pojechał tam metrem. Zaproponował, żeby zatrudnili go do monitorowania urządzeń w Central Parku, gdzie mógłby uzupełniać odczyty własnymi spostrzeżeniami. Recepcjonista uśmiechnął się i wręczył mu formularz do wypełnienia.

Później spotkał się w dziale kadr z Grantem Jonesem, który wyjaśnił, że automatyczne stacje meteorologiczne są obecnie normą i do rzadkości należą meteorolodzy obserwujący pogodę osobiście. Danny wysunął więc następną propozycję: będzie wypatrywał pożarów w Central Parku, tak jak zatrudnieni do tego celu ludzie w kanadyjskich parkach narodowych. Jones podziękował, stwierdził jednak, że strażnicy parkowi i nowojorscy strażacy kontrolują sytuację przy użyciu czujników i kamer. Wracając na Penn Station, Danny uznał, że najlepiej zrobi, jeśli pogłębi swoją wiedzę o komputerach.

Nagle syreny zawyły bliżej. Wyglądając przez okno wieży, Danny zobaczył policyjne wozy pędzące przez park. Wciąż były dość daleko i cieszył się, że jest na wieży, w końcu "belvedere" oznacza "piękny widok".

- O Boże - powiedziała Penelope - ojciec naprawdę to zrobił.

- Nie znajdą mnie. Wiedzą tylko, że tutaj pracuję. Nie wejdą po drabinie.

- Mylisz się - odparła Penelope żałośnie. - Ojciec zapytał, gdzie śpisz. Nie chciałam mu powiedzieć, ale ...

- Musiałś, rozumiem. - Danny'emu żołądek boleśnie się ścisnął, ale nie chciał, by Penelope miała wyrzuty sumienia.

- I tak by się domyślił, Danny. Tak czy inaczej ...

- Muszę lecieć. - Złapał plecak, aparat Catherine i stosik zdjęć, które dla niej zrobił. Przy tym ruchu fotografie wypadły z plastikowej koszulki. Przedstawiały rzeźbione kamienne dzwony, które tak zaintrygowały jej szefa. Danny wrócił, by zrobić więcej ujęć. Chciał je dać Catherine, stracił więc trochę czasu na zbieranie.

- Idź już, bo cię złapią - nagliła Penelope.

- Nigdy. - Danny przytulił ją do siebie i pocałował, jakby nigdy więcej nie miał jej zobaczyć.

Byli w sekretnej komnacie na szczycie wieży. Danny spał w niej od wielu miesięcy. Miał wrażenie, że gdyby

pozostał tu w kompletnym bezruchu, policja by go nie znalazła. Celem projektu Catherine było skłonienie ludzi do "patrzenia w górę". Dla Danny'ego i jego rodziny, ludzi mieszkających na wsi, patrzenie w górę było drugą naturą. Nie wiedział, czy tak samo jest z mieszkańcami miasta, ale na wszelki wypadek wdrapał się po starej drabinie na sam szczyt dachu.

Tak samo robił człowiek od pogody w 1869 roku, pomyślał, kiedy po drabinie wchodził na dach.

Pokryte śniegiem dachówki były bardzo śliskie. Danny musiał skupić całą uwagę na swoich ruchach, gdy szukał podparcia dla dłoni i stóp, tak jak podczas wspinaczki po skałach w Nowej Szkocji. Tutaj już raz to zrobił, jesienią podczas pełni księżyca, gdy dwaj strażnicy parkowi go zaskoczyli, wszedłszy na dzwonnice w ślad za sową. Tylko że wtedy nie było śniegu ...

Nagle usłyszał głosy i trzaski policyjnych krótkofalówek, co zmusiło go do pośpiechu. Trzymając się chwiejnej drabiny, Danny wyobrażał sobie, że wspina się na drzewo. W Nowej Szkocji przeskakiwałby z konaru na konar. Czuł się na drzewach jak u siebie, tak samo jak ptaki. Miłość do drzew miał we krwi, odziedziczył ją po ojcu, i dlatego tak bardzo pragnął zgłębić tajniki pogody.

Na myśl o ojcu na ułamek sekundy się zawahał. Znowu zobaczył jego ściągniętą bólem twarz i uświadomił sobie, że jego marzenie zabija ojca.

Ktoś nagle zawołał. Kiedy Danny spojrział w dół, park zakotłosał mu się przed oczami. Czy kiedykolwiek wspiął się tak wysoko? Danny, zwykle nieustraszony, poczuł, jak serce mu się ściska. W parku mało było przechodniów, ale widział, że zebrał się niewielki tłum i wszyscy pokazują na niego.

- Nie skacz! - krzyknął ktoś.

Oni myślą, że chce się zabić? Pragnął im odpowiedzieć, że jest odwrotnie, że kocha życie.

I wtedy stracił równowagę. Szukał w śniegu czegoś, czego mógłby się złapać, raniąc sobie dłonie na ostrych krawędziach dachówek. Jego stopy trafiły na pustkę, ale czubkami palców zdołał się chwycić zardzewiałego wspornika na dachu. To osłabiło jego upadek.

Danny zawisł. Wszystko w porządku, będzie dobrze ...

Upuści plecak. Zrobił to i kilka sekund później usłyszał, jak z głuchym tąpnięciem uderzył w ziemię. Ramiona przeszył mu ból, kiedy trzymając się wspornika, o kilka centymetrów podciągnął się do góry. Gdyby tylko zdołał znowu postawić nogi na dachu, wdrapałby się na szczyt. Uda mu się, musi mu się udać. W końcu jest Harrym Houdinim.

W tej samej chwili zardzewiały wspornik z trzaskiem się urwał. Danny krzyknął, próbując złapać się krawędzi dachu, ale pokrywający go lód był zbyt śliski, a cała rzecz odbyła się błyskawicznie. Usłyszał krzyk Penelope, kiedy spadając z wieży Belvedere, odbił się od okna.

## 11

Na pogotowiu ratunkowym przyjęto dwanaście zgłoszeń z telefonów komórkowych od spacerowiczów w parku, którzy widzieli chłopca przygotowującego się do skoku z wieży zamku Belvedere. Nie przyszła im do głowy żadna inna możliwość - żadne inne wytłumaczenie, dlaczego młodzieniec balansuje na ośnieżonym dachu w tygodniu poprzedzającym Boże Narodzenie, nie wydawało się wiarygodne.

Policjanci, którzy przyjechali pod zamek, by ująć uciekiniera, rzucili się po schodach na wieżę, gdzie w komnacie zastali szlochającą dziewczynę. W dłoni ściskała fotografię kamiennych dzwonów.

Popatrzyli na mroczny Vista Rock, na skutą mrozem tafłę Turtle Pond. Nie powiedzieli tego głośno, ale szukali ciała chłopca.

- Nie żyje - szepnęła jeden do drugiego, tak by Penelope nie usłyszała. - Daleko stąd do ziemi.

- To przez te święta. Drugie samobójstwo, z którym mam do czynienia w tym tygodniu.

- Najtrudniejsza pora roku.

- Byle tylko nie posłali mnie do jego rodziców.

Niedługo potem przyjechała karetka. Sanitariusze biegiem przemierzali kamienny taras do miejsca, gdzie chłopiec przypuszczalnie wylądował. Wznosiły się tu wysokie zasy, był to bowiem koniec parkowej alei, gdzie pługi zwały zebrany z poboczy śnieg, szary od żwiru i piasku.

- Hej - krzyknął z wieży policjant. - Tu jest dziura w zaspie!

Sanitariusze pobiegli we wskazanym kierunku. Policjant miał rację: na śniegu pozostało wgłębienie w kształcie ciała. Jeden z sanitariuszy przez radio poprosił o łopaty, pozostali na razie kopali rękoma. Była wśród nich sanitariuszka, która przedtem pracowała w Utah, gdzie przeszła szkolenie w zakresie ratowania ludzi porwanych

przez lawiny.

Chociaż nikt nie powiedział tego głośno, to nie była akcja ratownicza, tylko próba wydobycia zwłok. Inna ewentualność nie wchodziła w grę. Każdy patrzył na wieżę i dokonywał obliczeń. Chłopiec spadł z wysokości około dwunastu metrów, i to wzięwszy poprawkę na zaspę:

Mimo to ratownicy pracowali bez wytchnienia, jakby od ich wysiłków zależało życie chłopca.

Wkrótce na miejscu zdarzenia pojawiła się ekipa telewizyjna. Dziewczyna była w szoku i nie potrafiła wykrztusić słowa, ciała chłopca nie wydobyto jeszcze ze śniegu, dotąd nie dokonano identyfikacji. Gapie chętnie pokazywali wieżę i opowiadali o postaci, którą widzieli na szczycie.

- Skoczył - mówiła jakaś kobieta, przełykając łzy

- ale chyba w ostatniej chwili zmienił zdanie. Próbował się czegoś złapać, wyciągał ręce. Wisiał na samej krawędzi dachu. To było straszne.

Kamera pokazała miejsce zdarzenia, świadków, a potem skupiła się na jedynym tropie mogącym pozwolić na zidentyfikowanie chłopca: fotografii dzwonów. Policjanci powiedzieli, że musieli siłą wyrwać ją dziewczynie, która wydusiła:

- Myślał, że jest chmurą.

Sylvester Rheinbeck junior w swoim gabinecie oglądał kanał NY1, jak zwykle popołudniami. Lubił relacje o nieruchomościach, w których codziennie pokazywano inny budynek. Często były to budynki zbudowane przez niego, dzięki czemu czuł się bogaty i dumny. Dzisiaj jednak jego uwagę przyciągnęła relacja o śmierci chłopca w Central Parku, uzupełniona długim ujęciem zamku Belvedere i czarno-białą fotografią kamiennych zdobień.

Fotografia przedstawiała dzwony i wydawała się znajoma. Sylvester utkwiał wzrok w ekranie. Tak, widział ją kilka dni temu, kiedy ojciec poetycko rozprawiał o projekcie, który realizował przy pomocy Catherine. Sylvester podkreślił głośność i przybliżył się do odbiornika.

- Policja posiada skąpe informacje o nastolatku, już nazywanym "Chłopcem Chmurą". Nie ulega wątpliwości, że regularnie bywał w zamku Belvedere i szczególnie interesował się tutejszą stacją meteorologiczną. Niektórzy mówią, że studiował meteorologię w college'u. Inni utrzymują ...

- Meteorologia! - mruknął Sylvester, podczas gdy na ekranie znowu pojawiły się dzwony. Wszystko zaczynało mu się układać w całość. Ruszył korytarzem do gabinetu ojca, ale go tam nie zastał, przestronny pokój był pusty. Sylvester obrzucił wzrokiem mahoniowe biurko i fotele, srebrne talerze i puchary, które ojciec otrzymał w nagrodę za działalność dobroczynną, a potem spojrzał przez okno na park. Z tego gabinetu rozciągał się najpiękniejszy widok w całym wieżowcu. Sylvester nawet widział flagę powiewającą w środku Central Parku na szczycie zamku Belvedere.

Prywatną windą pojechał do biblioteki. Serce biło mu mocno. Tak jak podejrzewał, ojciec siedział przy stole z Catherine Tierney, studiowali zdjęcia i materiały. Sylvester zacisnął usta. To, co zamierza zrobić, nie powinno sprawiać mu aż takiej przyjemności, z drugiej strony jednak nie pochwałał rozrzutności ojca, braku przezorności w obchodzeniu się z funduszami firmy. No i zranił go sposób, w jaki Catherine po śmierci męża odrzuciła kiedyś jego zaproszenie na kolację.

W bibliotece podszedł od razu do małego telewizora ukrytego w szafie. Catherine używała go głównie do oglądania filmów wideo związanych z projektami Rheinbecka, ale Sylvester włączył kanał NY1. Kiedy się odwrócił, zobaczył na twarzy ojca irytację. Catherine, jak zwykle piękna, sprawiała wrażenie roztargnionej, jakby myślami była gdzie indziej.

- Co robisz? - zapytał go ojciec.

- Pamiętasz te książki, które ktoś zostawił? - Sylvester junior patrzył na Catherine. - Te, o które mnie pytałeś, ojcze? .

- O meteorologii. Tak, pamiętam. Ucieszyłem się na ich widok, bo pomyślałem, że jednak interesuje cię coś więcej poza stopami procentowymi.

Sylvester nie odpowiedział, podkreślił głośność pozwalając, by reporter mówił za niego. W wiadomościach powrócono do wypadku w Central Parku, pokazywano zamek i ekipy ratunkowe zgromadzone przy zaspach, powtarzano wiadomość o chłopcu, który spadł z wieży, oraz plotki, że często go widywano w stacji meteorologicznej.

- Danny! - krzyknęła Catherine, zrywając się na równe nogi.

Zasłoniła usta rękami. Sylvester zdziwił się, kiedy jego ojciec także wstał i objął ją pocieszająco. Tymczasem na ekranie ukazała się fotografia, którą znaleziono w komnacie wieży: czarno-białe zdjęcie dwóch rzeźbionych kamiennych dzwonów, związanych u góry granitową wstążką.

- Nie, nie ... Danny! - powtarzała Catherine. Sylvester wzdrygnął się, słysząc w jej głosie cierpienie. Nie chciał sprawić jej aż takiego bólu. Próbował złapać wzrok ojca, ale starzec ze stołu wziął zdjęcie, którego lustrzane odbicie widzieli w telewizorze.

Rheinbeck kiwnął głową do Catherine, wzrokiem dał jej znać, żeby wyszła, zrobiła, co musi zrobić. Pobiegła do drzwi, zostawiając ojca i syna samych.

- Nie mam pojęcia, co się dzieje - powiedział Sylvester.

- Chciałeś ją przede mną zawstydzić, pokazując związek między tymi książkami a fotografią dzwonów - odparł ojciec. - Wiem, Sylwestrze. Pozwalała pewnemu młodzieńcowi korzystać z biblioteki.

- Wiedziałeś o tym?

- Oczywiście. Teddy z ochrony przeglądał taśmy i od razu mnie powiadomił.

- I co Catherine powiedziała?

- Nie wspominałem jej o tym.

- Ale dlaczego?

Ojciec zmrużył powieki, zdjął okulary i wyjętą z kieszeni chusteczką barwy dyni wyczyścił szkła. Sylvester poczuł, jak napinają mu się mięśnie. Miał pięćdziesiąt cztery lata, przez całe życie widział, jak ojciec unika odpowiedzi na trudne pytania. Zawsze zachowywał się tak samo.

Kiedy Sylvester miał siedem lat, chciał pojechać na wycieczkę ojców i synów do Adirondack. Zamiast powiedzieć, że jest zajęty, ojciec tylko przetaił okulary. Firma dostawała bilety na mecze Jankesów; Sylvester zapytał, czy choć jeden raz ojciec nie mógłby zabrać go zamiast jakiegoś udziałowca, a ojciec znów zaczął czyścić okulary.

I teraz znowu: Sylvester zadaje pytanie, ojciec ignoruje je małym kwadratem zamszu.

- To niezgodne z zasadami bezpieczeństwa - powiedział Sylvester spokojnie. - A Catherine jest naszą pracownicą. Jeśli bez oporów wpuszcza do biblioteki obcych po godzinach, dlaczego mielibyśmy jej ufać? Może kradnie też książki, pieniądze albo tajemnice firmy? Niektóre z tych tomów są bezcenne.

- Wiem. Gromadził je głównie mój dziadek, a twój pradziadek. Pamiętasz o tym?

- Więc o wszystkim wiesz.

- To, co wiem, synu ... - zaczął Rheinbeck i odchrząknął. Sprawiał wrażenie, że nie potrafi wydobyć z siebie słowa. Znowu sięgnął po zamsz, ale zmienił zdanie. Jego wodnistoniebieskie oczy wypełniły się łzami.

- Ojciec ... - powiedział Sylvester wstrząśnięty. Starzec oparł sękatą dłoń na ramieniu syna. Pożnopoludniowe słońce wpadało przez okna wychodzące na północny zachód i rzucało długie cienie na park.

- Wiem tylko, że bardzo młody człowiek stracił życie. Był z jakiegoś powodu ważny dla Catherine Tierney. Tylko tyle wiem, Sylwestrze.

- Tak, ale ...

- I myślę, Sylwestrze. Myślę o tobie.

- O mnie?

- Sylwestrze, gdyby coś takiego przydarzyło się tobie, serce by mi pękło, brak mi na to słów. Pomyślmy teraz o tym chłopcu i jego rodzinie, dobrze? Jeśli jest przyjacielem Catherine, to jest także naszym.

Sylvester junior spojrział na fotografię dzwonów i zawstydzony spuścił głowę.

W holu wieżowca Catherine minęła chór śpiewający "Adeste Fideles". Na chodniku zatłoczonym ludźmi robiącymi świąteczne zakupy przystanąła. Chciała biec prosto do zamku Belvedere, chciała tam być, kiedy znajdą Danny'ego, pomyślała jednak, że będzie tylko przeszkadzać. Ruszyła na stację metra, ale to też zajęłoby za wiele czasu. Wyciągnęła rękę.

- Taksi! - zawołała, natychmiast też z piskiem zahamowała koło niej żółta taksówka. - Róg Dziewiątej Alei i Dwudziesiątej Drugiej Ulicy - podała adres stoiska z choinkami.

Taksówka powoli posuwała się zatłoczoną ulicą. Serce Catherine waliło, bała się, że za chwilę zemdleje. Kierowca nie zaszczycił jej drugim spojrzeniem, bo i dlaczego? Była kolejną pasażerką, która dokądś się śpieszy. Nie mógł wiedzieć, że to kwestia życia albo śmierci.

Co ma powiedzieć? Nie spotkała się z Christym od tamtego wieczoru, kiedy był u niej w domu. Nawet teraz nie była pewna, czy chce z nim rozmawiać. Ktoś jednak musi mu powiedzieć i czuła, że to jej obowiązek. Może się myli, może chłopiec w parku to nie Danny, choć w głębi serca wiedziała, że to był on. Christy tego nie przeżyje.

Kiedy taksówka zatrzymała się na rogu, Catherine zobaczyła, że wprawdzie stoisko jest otwarte, ale lampki się nie świecą i nie ma Christy'ego. Ktoś go powiadomił. Taksówkarz sięgnął, by wyłączyć taksometr.

- Nie, proszę jechać dalej - powiedziała Catherine.

- Dokąd?

Zamierzała podać domowy adres i przeżyła szok, gdy usłyszała własny głos:

- Do kościoła Świętej Łucji. To za rogiem.

- Wiem - odparł taksówkarz. - Na Dziesiątej Alei.

Kiedy dojechali do celu, Catherine chwilę się wahała. Z walącym sercem patrzyła na kościół z różowego piaskowca z kwadratową dzwonnica, w którym kiedyś prosiła o zbyt wiele.

- Dobrze się pani czuje?

Catherine bez słowa wręczyła taksówkarzowi pieniądze za przejazd.

Lizzie i Lucy klęczały w małym kościele. Mrok rozpraszało tylko niebieskie grudniowe światło wpadające przez witraże; były same, tylko na chórze ktoś ćwiczył na organach. W powietrzu unosił się zapach kadzidła, pozostałość po popołudniowym nabożeństwie. Lucy uznała, że to bardzo na miejscu, przecież kadzidło i mirrę przynieśli w darze Trzej Królowie. Na ołtarzu znajdował się żłobek; spoglądając na córkę, Lizzie miała wrażenie, że Lucy modli się do Dzieciątka Jezus - dziecko przemawia do dziecka. Kiedy usłyszała wiadomość o chłopcu w parku, natychmiast pojechała po córkę. Nie chciała, by dowiedziała się o Danny'm od kogoś innego.

Lucy zakaszłała; kadzidło podrażniło jej gardło i wywołało łzy.

- Dobrze się czujesz? - szepnęła Lizzie.

- Czy Harry wyzdrowieje, mamusiu? - zapytała Lucy, patrząc na matkę.

Och, to było trudne pytanie. Lizzie klęczała z pochyloną głową, zyskując na czasie. Kiedy Lucy miała zaledwie trzy lata, musiała poradzić sobie z chorobą i śmiercią wujka Briana. Lizzie opowiadała jej o niebie, wiecznej szczęśliwości i anielskich chórach. Lucy jednak była niezwykle dociekliwym dzieckiem, wiele bezsennych nocy poświęciła na zarzucanie matki pytaniami. Gdzie to niebo właściwie jest, czy można pokazać je na mapie? Czym jest wieczna szczęśliwość i dlaczego jest lepsza od spaceru po parku albo rejsu promem? Chóry anielskie przypadły jej do gustu, ale co z aniołem stróżem wujka Briana? Gdzie się podziewał, kiedy wujek zachorował? Jaki pożytek z anioła stróża, który wcale nic pilnuje swojego podopiecznego?

- Mamusiu? - szepnęła Lucy.

Jednakże tym razem Lizzie nie miała na podporządku żadnych wyjaśnień. Zapach kadzidła zgęstniał. Przycisnęła głowę do splecionych dłoni, czując strumień łez na policzkach. Danny był taki młody. Błyskiem w oczach, żarliwością pragnień obudził marzycielkę w niej i w Catherine. Mogła go sobie wyobrazić na tamtym dachu nad parkiem, próbującego dotknąć nieba.

Lizzie myślała o Catherine, o tym, jak jakimś dziwnym nowojorskim cudem Danny na powrót obudził ją do życia. Catherine straciła wiarę. Utrata Briana załamała ją. Catherine zamknęła się w sobie, przestała wierzyć w cokolwiek, także w dobro. A potem pojawił się Danny ... i Christy z Bridget w tym roku. Lizzie obserwowała, jak przyjaciółka się otwiera przed Byrne'ami, i wiedziała, że próbuje tę rodzinę na powrót połączyć.

- Och, Danny - zaszłochła.

Lucy ujęła ją za rękę. Siedziały tak długo, modląc się za chłopca, który zawsze potrafił uciec.

- Wujek Brian zaopiekuje się nim, prawda? - zapytała Lucy.

Lizzie potaknęła. Spojrzała na swoją zadziwiającą córeczkę - Lucy oglądała się przez ramię na kościelne drzwi.

- Mamusiu - szepnęła, szarpiąc ją za rękaw. To była Catherine.

Obie patrzyły, jak idzie przez obłok kadzidła, jak przystaje i rozgląda się, jakby nigdy wcześniej tu nie była. Zdawało się, że zaraz zerwie się do ucieczki, ona jednak zrobiła parę kroków do przodu. Coś jakby przyciągało ją ku rzędowi płonących czerwonych świec po prawej stronie kościoła. Zapaliła kolejną i uklękła przed małym ołtarzem.

Lizzie czuła, jak serce jej wali. Miłość nie przychodziła jej łatwo, bez wątplenia z winy ojca, który w dzieciństwie ją zawiódł. Zawsze jednak miała przy sobie Catherine. Wiele wydarzeń z ich życia odbyło się w murach tego niewielkiego kościoła. Tutaj razem zostały ochrzczone, tu ramię w ramię przystąpiły do pierwszej komunii. Catherine zawsze żartowała, że tutaj Lizzie pokochała kapelusze, bo tak bardzo jej się nie podobał woal do sukienki komunijnej, że zaprojektowała własny z białego tiulu i obszytej srebrnymi cekinami taśmy, które kupiła z kieszonkowego.

I to była prawda.

Tutaj dziewczynki przystąpiły do bierzmowania, a Catherine wzięła ślub. Lizzie była druhną. Przekazała



przyjaciółkę Brianowi; Catherine przysięgała, że to jedyny mężczyzna, którego w życiu pokocha. A potem, na pogrzebie Briana, Catherine przysięgła Lizzie, że cała miłość umarła razem z nim i że nigdy, przenigdy nie postawi stopy w tym miejscu.

Lizzie odmówiła wówczas w duchu modlitwę, by Catherine pewnego dnia przekonała się, że to nie jest prawda. Że miłość nie umarła, że nigdy nie umrze.

Patrząc teraz na przyjaciółkę, Lizzie poczuła dreszcz. Wiedziała, że jej modlitwa została wysłuchana. Catherine klęczała przed posągami świętej Łucji z pochyloną głową, cała jej postawa wyrażała wielkie skupienie. Lizzie zamknęła oczy. Zobaczyła handlarza choinek, jego syna i córkę. Przybyli do Nowego Jorku i odnaleźli Catherine w chwili, gdy najbardziej ich potrzebowała. "Nie pozwól Danny'emu umrzeć", modliła się Lucy. "Uratuj go i niech ta rodzina na powrót się połączy." Na chórze organy grały "Gloria in excelsis Deo".

Lizzie w myślach zwróciła się do Briana. - Pomóż jej. Pomóż jej teraz.

Obie z córką jak zaczarowane wpatrywały się w Catherine klęczącą przy czerwonych świecach. A potem trzymając się za ręce, cichutko wyszły z kościoła.

## 12

Usłyszawszy od Ripa o wypadku, Christy wskoczył do policyjnego wozu i ruszyli do centrum. Z włączoną syreną i kogutem pędzili zygżakiem przez świąteczne korki.

Christy miał wrażenie, jakby zdarto z niego skórę, wszystkie nerwy miał odsłonięte i obolałe. Rip próbował go uspokoić. Christy słyszał jego słowa, ale nie potrafił znaleźć w nich sensu. Chłopiec ukrywał się w jakimś zamku, wdrapał się na dach i skoczył.

- Danny na pewno by nie skoczył - zaprzeczył Christy.

- Znalazł się pod ścianą - powiedział partner Ripa. - Odkryliśmy jego kryjówkę, przyjechaliśmy po niego i musiał spanikować. Zwłaszcza jeśli to on ukradł pieniądze.

- Hej - wtrącił ostrzegawczo Rip.

Christy nie dbał o to, co mówią policjanci. Nawet jeśli Danny wziął pieniądze, musiał wiedzieć, że ojciec i tak by mu je dał. Christy przecież po to pracował. Dla dzieci. Bridget, pomyślał, zostawił ją w domu, nie dał jej znać. Ale Bridget sobie poradzi, on teraz musi się zająć Dannyem.

- Jesteśmy w parku - powiedział partner Ripa, kiedy wjechali na Columbus Circle. Rip przyśpieszył. Zobaczyli inne radiowozy, wozy strażackie i ambulansy. Christy'emu zakręciło się w głowie. Na całym Cape Breton nie było tylu pojazdów służb ratunkowych. Wszystkie zjawyły się tu z powodu Danny'ego. Na pewno ci ludzie ze swym nowoczesnym kosztownym sprzętem będą mogli uratować życie jednego chłopca.

W gardle zaczęło go drapać. Tak wiele osób próbuje pomóc. Zobaczył ich twarze, poważne oczy, zaciśnięte szczęki. Próbują pomóc. Jednemu chłopcu. Uciekinierowi z domu, ulicznikowi oskarżonemu o kradzież kasetki z pieniędzmi. Chłopcu, który dla nikogo nie jest ważny - z wyjątkiem Christy'ego i Bridget.

I może jeszcze Catherine. Ta myśl niczym meteor przemknęła mu przez głowę, tak że mało brakowało, a by jej nie zauważył. Przez cały rok opiekowała się jego synem. Równie szybko jak się pojawiła, myśl zniknęła.

Drogę zablokowali ratownicy. Rip dał krótki znak syreną, machając na ludzi, żeby się usunęli, ale Christy nie czekał i wyskoczył z samochodu.

- Christy, nie idź tam! - krzyknął za nim Rip. Christy nawet go nie słyszał. Biegł ile sił w nogach, przepychając się przez tłum. Odnosił wrażenie, że najbardziej intensywne akcja odbywa się po prawej stronie, skręcił więc ze ścieżki w głęboki śnieg. Gołe konary drzew uderzały go w twarz, kurtka zaczęła o kolcolist. Niebieskie i czerwone światła padały barwnymi plamami na zaspy. Choć było tu tak wielu ludzi, panowała dziwna cisza. Nikt nic nie mówił. Nie mogli, zajmowali się martwym chłopcem.

Serce Christy'emu obijało się o żebra. Chciał jak najszybciej dostać się do Danny'ego, jeszcze raz go przytulić. Czuł zapach żywicy i mokrej kory. Tu było jak w domu. W głębokim śniegu zapadały się buty. Kto by pomyślał, że to środek Nowego Jorku? Na Danny'ego można liczyć, jeśli chodzi o znalezienie skrawka natury nawet w metropolii.

Na Danny'ego można liczyć, że wszędzie znajdzie najlepsze rzeczy. Znalazł ten park: szerokie otwarte przestrzenie, las w mieście z sowami pohukującymi w koronach drzew. Danny znalazł sposób na przetrwanie roku z dala od rodziny. Znalazł Catherine. Dzięki niej radził sobie - aż do tej chwili.

Christy poczuł, jak serce ściska mu żelazna pięść.

Dobrnął przez śnieg pod zamek i skręcił w stronę, gdzie byli ratownicy. Zamek zbudowano na masywnej skale nad stawem, na którego brzegu nurkowieczki czekali na rozkaz, by wymienić pracujących pod wodą kolegów. Policja

ogrodziła miejsce zajścia; Christy zobaczył żółtą taśmę i policjantów. Nie zatrzymał się, nawet nie przystanął, tylko parł dalej.

Złapał go jeden z policjantów. Christy strząsnął jego ręce z siebie jak komara. Przed sobą widział wysoką zaspę, którą rozkopywali ratownicy. Zbiegł ku niej po skale. Pobiegli za nim dwaj mundurowi, chwycili za ręce, ale się uwolnił.

Rip coś zawołał; Christy zarejestrował znajomy głos, ale nic nie zrozumiał. Wspiął się na szczyt zasy, spojrzął w dół. Było w niej przepastne wgłębienie, ale jego boczne ściany zapadły się, przykrywając tego, kto był w środku. Śnieg znaczyły smugi krwi.

Krwi Danny'ego.

Ratownicy krzyčili na Christy'ego, żeby odszedł, ale im głośniejszy oni krzyčili, tym większy spokój on odczuwał.

Kiedy Christy Byrne zaczął odkopywać ciało syna, był cichy jak sam las. Cichy jak zbocze góry nad zimną północną zatoką nawiedzaną przez wspaniałe zorze polarne, nad którą hodował drzewa i wychowywał dzieci. Był cichy.

I kopał.

W kościele było zimno.

Święta Łucja nie należała do bogatych parafii i proboszcz oszczędzał, włączając ogrzewanie tylko na nabożeństwa. W powietrzu gęsto było od kadzidła; Catherine zakaszła. Klęczała przed świecami, które ogrzewały jej twarz i złożone dłonie, mimo to drżała.

Dziwna jej się wydała ta potrzeba powrotu do miejsca, które niegdyś tak wiele dla niej znaczyło. Dawniej powietrze iskrzyło się od nadziei i wiary, że cuda zdarzają się codziennie. Catherine prowadziła wspaniałe życie. Miała rodziców, którzy ją kochali, najlepszą przyjaciółkę, która była dla niej jak siostra, i jedną prawdziwą miłość. Briana.

Kiedy się pobrali, skłonił ją do pracy u Świętej Łucji, do oddania sporej części swego czasu głodnym i biednym. Klęczała obok Briana w tym kościele i wiedziała, że potęgą swojej miłości mogą zmienić życie innych ludzi, pomóc im. Przez różowe okno wpadało kolorowe światło, zapach kadzidła kręcił w nozdrzach, wywoływał zawroty głowy. Catherine czuła wtedy, jak krew szybciej krąży jej w żyłach.

Teraz kościół był tylko budynkiem.

W dodatku zimnym. Catherine rozejrzała się: cztery ściany, wielobarwne witraże, biała gołębnica wysoko nad marmurowym ołtarzem. Świece i posąg świętej Łucji. Zapach kadzidła zmieszany z dymem świec. Po co marnowała czas, przychodząc tutaj? Umarła następna osoba, którą kochała. Danny.

- Dlaczego? - szepnęła.

Odpowiedziała jej cisza. Czego właściwie oczekiwała?

- Próbowałam mu pomóc. Próbowałam postępować tak, jak mówiłeś. Zawsze powtarzałeś, że tak wiele mamy ... Że musimy dawać innym.

Organista przestał grać i wyszedł z kościoła. Poczowała zimny powiew na plecach, kiedy otworzył ciężkie kościelne drzwi. Zapach kadzidła przybrał na sile. Dary Trzech Króli, pomyślała. W dzieciństwie obie z Lizzie uwielbiały fragment z Ewangelii św. Mateusza: "Weszli do domu i zobaczyli Dziecię z Matką Jego, Maryją; upadli na twarz i oddali Mu pokłon. I otworzywszy swe skarby, ofiarowali Mu dary: złoto, kadzidło i mirrę".

Kadzidło dla dziecka, dla rodziny.

Plomienie zamigotały. Catherine zamrugnęła, wpatrując się w czerwone świece wotywny. Rozmyślała o darach ... o czymś, co mogłaby dać z okazji Bożego Narodzenia, dać Danny'emu, pomóc komuś. Dar dla rodziny ... Wyjęła z torebki portfel. Oto jest zdjęcie Briana. Oparła je o posąg świętej Łucji, utkwiała w nim wzrok. Od dymu zaczęły łzawić jej oczy.

- Był taki samotny - szepnęła. - Taki młody i samotny w Nowym Jorku. Nigdy nie prosił o pomoc, trzeba było go zmuszać, by ją przyjął. Siedemnaście lat skończył niecałe dwa miesiące temu. Jego rodzina bardzo za nim tęskniła. Nie mogli się nawet pożegnać. Ja przynajmniej mogłam pożegnać się z tobą.

I znowu powiał wiatr, tym razem podmuch był silniejszy, rzucił Catherine włosy na mokrą od łez twarz.

- Przyrzekłeś, że nigdy nie odejdziesz. Wypatrywałam cię w każde Boże Narodzenie, czekałam na ciebie w domu, w mansardowym pokoju ... Brianie ...

*Czekałaś w niewłaściwym miejscu.*

Catherine okrzyknęła się gwałtownie. Słyszała słowa tak wyraźnie, jakby wypowiedział je Brian. To

przecież był jego głos. Skoczyła na równe nogi, pobiegła pod ołtarz. Tutaj powietrze było gęste, ledwo coś widziała przez aromatyczny dym kadzidła. Wróciły do niej słowa psalmu: "Do Ciebie wołam, Jahwe, prędko mi dopomóż, usłysz mój głos, gdy wołam do Ciebie. Niech moja modlitwa będzie stale przed Tobą jak kadzidło; wzniesienie rąk moich - jak ofiara wieczorna".

- Błagam, błagam - modliła się.

Kadzidło paliło się w trybularzu z brązu, zawieszonym na łańcuchach nad głównym ołtarzem i żłobkiem. Catherine wstrzymała oddech. Za obłokiem dymu stał jej mąż z wyciągniętą ręką. Wstrząśnięta, nie potrafiła się poruszyć. Uśmiechnął się do niej z wieczną miłością; w jego serdecznych oczach malowała się taka głębia uczuć, że zawstydzila się swoich wątpliwości.

- Brianie - szepnęła. - Och mój Boże, to ty!

- Chciała dotknąć jego policzka, ale zaraz znieruchomiała. On naprawdę tu jest? Czy to sen? Zamrugwała, wyężając wzrok, by lepiej widzieć przez woal dymu. - Pomóż mi dzisiaj - błagała. - Danny'emu grozi straszne niebezpieczeństwo. Zawsze mówiłeś, że na Boże Narodzenie tu będziesz. Wróć do nas dzisiaj, Brianie. Potrzebujemy cię!

Widziała niezwykłą jasność koło żłobka. Jego oczy, uśmiech ... dym sprawił, że nie wierzyła własnym zmysłom. Bo chociaż Brian tu był, wydawał się cały falować, jakby zrobiony był z mgły.

- To ty, to musisz być ty, ponieważ potrzebna mi twoja pomoc. Właśnie dzisiaj, Brianie. Nauczyłeś mnie dostrzegać potrzeby innych. Ten chłopiec i jego rodzina tak strasznie cierpią ... Brianie, co mogę zrobić?

*Nie mogę ci powiedzieć. Mogę ci tylko pokazać.*

Jego postać zakołysała się i znikła, tak jak tyle razy w ciągu ostatnich lat, kiedy widywała go we mgle, w śniegu, we własnych snach.

- Och, nie odchodź! Błagam! - krzyknęła.

Ktoś dotknął jej dłoni. Poczowała, jak jej ciało przebiega prąd, ale chociaż był silny, nie bolało. Kiedy doznanie minęło, spojrzała na swoje ręce. Była cieniem jak Brian. Była oparem. A potem równie nagle znowu stała się rzeczywista. Kadzidło mąciło jej wzrok. Wiedziała jednak bez cienia wątpliwości, że Brian jest przy niej.

Była roztrzęsiona, ale się nie bała. Wielkimi falami zalewała ją miłość. Przez kościół powiał zimny wiatr, rozpędzając dym. Catherine podążyła za nim do tylnych drzwi. Podmuchał się przez Dziesiątą Aleję, pobiegła więc jego śladem.

- Nie mamy czasu! - zawołała. - Danny teraz nas potrzebuje.

Ale wiatr ją ignorował, wiejąc mocniej, szybciej, podnosząc kłęby śniegu z chodnika tuż przy jej stopach.

Na Dwudziestej Ulicy Catherine poczuła silny zawrót głowy i musiała przytrzymać się żelaznego płotu przed domem sąsiada, żeby nie upaść. Serce jej waliło. Wiedziała, że prowadzi ją Brian. Jego duch był tu dzisiaj, pokazywał jej drogę.

Jak zawsze w okresie Bożego Narodzenia ulicę zdawał się spowijać całun mgły. Catherine wpatrywała się w nią, widziała duchy w powietrzu. Czyjeś ramię objęło ją w pasie, poprowadziło po schodach do drzwi jej domu. Wstrzymała oddech, a kiedy znowu ośmieliła się odetchnąć i obejrzeć za siebie, zobaczyła skrzydła. Piękne białe skrzydła, takie jakie mają archaniołowie.

Trzęsącymi się dłońmi otworzyła drzwi. Wiatr wpadł do środka, rozrzucił leżącą na ziemi korespondencję i powiał na schody. Poszła za nim na strych. W głowie wirowały jej myśli o tym wszystkim, co go ominęło, co chciała mu powiedzieć.

- Przez trzy lata czekałam tutaj na ciebie - powiedziała, wbiegając do pokoju. Panował w nim wielki ziąb, bo wcześniej wyłączyła ogrzewanie, i teraz jej oddech zamieniał się w kłęby pary. Briana tu nie było. Wyobrażała to sobie ... kiedy się jednak odwróciła, dostrzegła jego postać w lustrze. Błyszczał. Catherine podeszła bliżej.

Zobaczyła drżące odbicie męża.

- Brianie, proszę, mów do mnie. Nie mogłeś tutaj do mnie przyjść ... powiedziałeś, że to niewłaściwe miejsce.

*Przyprowadziłem cię tu dzisiaj, ponieważ w tym miejscu okazywali mi sobie miłość.*

- To prawda - szepnęła, próbując dotknąć jego twarzy w lustrze. - Bardzo chcieliśmy tu mieszkać, więc kupiłeś ten dom dla mnie. Wypełniliśmy go naszą miłością. - Wskazała oprawione fotografie ze ślubu, miesząca miodowego w Paryżu, chrztu Lucy, z gal w muzeach, z pracy w jadalni, gdzie oboje mieli na sobie

fartuchy, podczas dekorowania choinki w ostatnie wspólne Boże Narodzenie.

*I przez ostatnie trzy lata, aż do teraz, ty wypełniałaś go swoim smutkiem.*

Serce Catherine zabiło szybciej, położyła palce na lustrze, ale wtedy odbicie zadrżało. Przepelniona emocjami, cofnęła dłoń, by lepiej widzieć jego twarz.

- Tak strasznie za tobą tęskniłam.

Po jej policzkach połały się łzy. Mgła zgęstniała, kiedy znowu spojrzała na lustro. Czuła niezwykle spokoj. Pragnęła pomóc Danny'emy, nagle jednak zrozumiała, że najpierw ona i Brian muszą się pożegnać.

Znowu wyciągnęła dłoń ku taflি lustra i spod jej palców posypały się gwiazdy. Zamknęła oczy, przyciskając policzek do zimnej powierzchni.

- Mieliliśmy trzy lata, żeby się na to przygotować - szepnęła. - O to chodzi, prawda? Dzisiaj wieczorem pożegnamy się, naprawdę się pożegnamy, żebyś mogła zająć się swoim życiem. A ty ... żebyś ty mógł zająć się swoją śmiercią. Kocham cię, Brianie.

*Zawsze będę cię kochał, Catherine. Miłość nigdy nie umiera.*

Głos był rzeczywisty. Catherine czuła ciepło jego skóry, siłę ramion. Zachwiała się. Czas się zatrzymał czy przestał istnieć? Czy ostatnia godzina naprawdę się zdarzyła? Krzyknęła. Jeśli nie pozwoli mu odejść, jeśli tym razem będzie chciała go zatrzymać na zawsze ... Czuła, jak ich serca biją równym rytmem; coś, co dotąd uwięzione było w jej wnętrzu, uwolniło się. Miała wrażenie, jakby gołębie wyfrunęły z jej ciała, napęlniając powietrze uderzeniem skrzydeł.

- Brianie - zawołała - jak mam pomóc Danny'emu?

*Wiesz, co robić.*

Zamknęła oczy. W wyobraźni wszystko zobaczyła.

Brian wyciągnął rękę, a ona ją ujęła. Kiedy rozpostarł skrzydła, nie czuła strachu. Miała wizję: wyfrunęli przez okno pokoju nad pociemniałe tereny szkoły dla dziewcząt, gdzie dawniej rozciągało się gospodarstwo rolne, a Clement CJarke Moore napisał swój poemat o Bożym Narodzeniu. Zrobili koło nad opustoszałym stoiskiem Christy'ego i pofrunęli do Central Parku przez Chelsea, przez czerwono-zieloną łunę otaczającą Empire State Building.

Kiedy uniosła powieki, wciąż była w mansardowym pokoju.

- Brianie? ..

Nie było go. Catherine popędziła na dół, złapała płaszcz i zamknęła za sobą drzwi. Biegła przez śnieg, raz się potknęła i upadła na kolana. Rozglądała się gorączkowo na boki, bo to był wieczór duchów i aniołów.

Zatrzymała taksówkę i kazała kierowcy jechać do parku. Serce jej podskoczyło, kiedy zbliżali się do zamku. Wokół stały wozy ratunkowe, ambulans z kostnicy. Restauracja na Green połyskiwała świątecznymi lampkami, na konnych saniach dźwięczały dzwonki.

- Brianie - powiedziała głośno.

- Nigdy więcej nie pozwól, żeby Boże Narodzenie było smutne - odparł kierowca, spoglądając na nią we wstecznym lusterku.

- Kim jesteś? - zapytała bez tchu, widząc oczy Briana.

Kierowca roześmiał się cicho. Jechali przez nikogo nie zatrzymywani pomiędzy wozami policyjnymi i karetkami służb ratunkowych, prosto do lasu graniczącego z Turtle Pond.

- Nie umiesz rozpoznać cudu, kiedy masz go przed oczami?

- To znaczy? - zapytała Catherine, dotykając ramienia kierowcy.

- Poszukaj ich - odparł Brian. Dotknął jej dłoni, a ona poczuła, jak krew napływa jej do głowy, dreszcz przechodzi po skórze. - Nie zapominaj ...

- Czego mam nie zapominać?

- Patrzeć w górę. - I z trzepotem oślepiająco białych piór zniknął.

Catherine uniosła wzrok ku niebu. Widziała jedynie szybko przesuujące się chmury po rozgwieżdżonym niebie. Noc była ciemna i mroźna. Z drzew zwisały sople, znowu zaczął padać śnieg. Catherine zwróciła się w stronę zamku.

Zaspy, którą widziała w telewizji, niemal całkowicie zrównano z ziemią, została z niej ledwo jedna czwarta. Catherine ruszyła biegiem w tamtym kierunku. Spoceni z wysiłku ratownicy, oparci o łopaty, patrzyli na jednego człowieka, który wciąż kopał.

- Christy!

- Niech pani go zostawi - powiedział policjant. - To ojciec chłopca, oszalał z rozpacz.

Catherine ruszyła w kierunku zasy, zaczęła się na nią wspinać. Christy kopał gołymi rękami, jego niebieskie

oczy były znużone, a równocześnie dzikie. Na widok Catherine wypełniły się łzami, które zaraz pozaczyły jego umorusaną z wysiłku twarz.

- Przestań, Christy.

- Nie mogę - odparł łamiącym się głosem. - Dopóki nie znajdę Danny'ego.

- Nie znajdziesz go tam. - Wyciągnęła do niego rękę. Jego dłoń była tuż obok, nie musiał nic robić, tylko ją ująć. Wpatrywał się w jej palce pokonany, zrozpaczony, jakby zapomniał, co znaczy nadzieja. Kiedy wszakże spojrział w oczy Catherine, musiał zobaczyć w nich coś, co znowu go poderwało.

Czuła, że jej oczy błyszczą.

Trzymała wyciągniętą dłoń tak długo, aż Christy był gotowy ją ująć. Wreszcie to zrobił. Użyła całej swojej siły, żeby wyciągnąć go z dziury. Jej brzegi znaczył żwir, ślady krwi i tysiące małych białych piór. Kiedy Christy stanął, drżąc na całym ciele, Catherine wzięła go w ramiona.

- Musimy iść - powiedziała.

- Ale dokąd? Jak mogę odejść stąd bez Danny'ego?

- Nigdy nie mógłbyś odejść bez Danny'ego - odparła. - Chodźmy poszukać twojego syna.

### 13

Bridget siedziała na sofie z Murphy na kolanach, ze wszystkich sił starając się nie słyszeć telewizora w sąsiednim pokoju. Pani Quinn nastawiła go bardzo cicho, bo przypuszczalnie nie chciała jej denerwować. Ale Bridget była zdenerwowana. Koncentrowała się na Murphy i śniegu, który znów zaczął padać - byle nie oszaleć z powodu tego, co stało się z jej bratem.

Odwiedziły ją Lizzie i Lucy. Bridget to się podobało, bo nie mówiły o Danny'm ani o wypadku. Lizzie przyniosła włóczkę i pokazała dziewczynkom, jak się robi na drutach. Obie z Lucy dotrzymywały Bridget towarzystwa do wieczora, potem Lucy musiała wracać do domu. Bridget polubiła kojące, powtarzające się ruchy, oczko lewe, oczko prawe, oczko lewe, oczko prawe, ale po wyjściu Lizzie i Lucy wirujące jak oszalałe myśli nie pozwoliły jej skupić się na robótce.

O wpół do dziesiątej drzwi się otworzyły i do pokoju weszła pani Quinn z tacą, na której stał malowany w niebieskie kwiatki dzbanek z gorącym mlekiem, pasujący do niego kubek, herbatniki z pełnego ziarna i pokrojone jabłko.

- Widzę, że Murphy dotrzymuje ci towarzystwa - powiedziała. - A robótki przybywa.

Bridget spojrzała na druty i kilka centymetrów wąskiego zielonego szala. Była zbyt roztrzęsiona, żeby wydusić z siebie słowo. Murphy jakby o tym wiedziała i wyciągnęła szyję, żeby polizać dziewczynkę po brodzie. Bridget zadrżała. Jej brat zawsze się śmiał, kiedy suczka tak robiła.

- Pomyślałam, że coś przegryziesz.

- Nie jestem głodna - wykrztusiła Bridget.

Pani Quinn była wysoka i chuda. Miała wyraziste niebieskie oczy, siwe włosy upięte w kok i uśmiech, który szybko przechodził w śmiech. Teraz się nie śmiała. Ubrana w czarną suknię i oliwkowy sweter należący do jej zmarłego męża, wpatrywała się w dziewczynkę z babciną troską.

- Musisz jeść, żeby zachować siły. Weź chociaż kawałek jabłka.

- Nie, dopóki się nie dowiem - odparła Bridget.

Murphy znowu polizała ją po brodzie.

Pani Quinn chwilę na nią patrzyła, a Bridget żałowała, że nie poszła do swojego pokoju. Nie dlatego, że nie lubiła pani Quinn. Gospodyni zostawiła drzwi do swojego pokoju otwarte i słychać było, jak w telewizji mówią o Danny'm.

Wreszcie pani Quinn delikatnie poklepała ją po głowie i wróciła do siebie, zamrknąjąc drzwi. Bridget znowu zabrała się za robótkę. Druty wydawały się takie solidne. Podobał jej się pomysł robienia czegoś, co rośnie z każdym oczkiem. W pewnym sensie przypominało to hodowlę drzew. Zaczynasz od nasienia albo oczka i patrzysz, jak staje się coraz większe.

Bridget utkwiała wzrok w robótce. Jeśli Danny żyje, dostanie ten szal. Dałaby mu wszystko. Gdyby tylko tatuś tak bardzo się z nim w zeszłym roku nie pokłócił. Gdyby potrafił porozmawiać z Danny'm, przedstawić swoje argumenty. Może nic by się nie stało!

Zdawała sobie sprawę, że grudzień dobiega końca.

W przyszłym tygodniu jest Boże Narodzenie i oboje z ojcem wrócą do Nowej Szkocji, do szkółki drzew na północy Cape Breton. Tak daleko od Nowego Jorku ... tak daleko od Danny'ego.

Śnieg padał coraz obfitszy. Przysłał światła ulicznych lamp i wyglądał jak pomarańczowe smugi, niemal jak zamieć, która szalała tamtego wieczoru, kiedy ojciec pobiegł za Danny'm. Myślał, że Bridget o niczym nie

wie, ale usłyszała, jak woła imię jej brata "Danny!"

Z okna widziała brata wskakującego do odjeżdżającego autobusu, ojca podnoszącego kapelusz, a potem biegnącego środkiem ulicy. Pokręciła głową i zabrała się za dzierganie. Dopóki jej nie powiedzą, że Danny nie żyje, nie uwierzy w to. A nawet wtedy może w to nie uwierzy. Teraz mogła tylko siedzieć i robić dla brata szal.

Druty szczękały, śnieg obijał się o szyby. Odgłos przybierał na sile, przypominał sople uderzające jeden o drugi. Albo ...

Coś naprawdę głośno uderzyło o okno. Murphy skoczyła na fotel, żeby wyrzeć, Bridget zerwała się z sofy, zrzucając druty i włóczkę.

- Co to było? - zawołała pani Quinn.

- Danny - szepnęła Bridget z sercem przepelnionym radością, spoglądając w ciemny zaułek.

Danny stał pomiędzy budynkami i patrzył na oświetlone okna na górze. Zobaczył twarz siostry, naj miłszy widok na świecie. Gestem dała mu znać, że zaraz do niego zejdzie. Był słaby i blady, jakby obcy we własnej skórze. Unosił się nad ziemią. Czuł się jak lunatyk. Kiedy mrugał, pod powiekami widział gwiazdy.

Oparł się o mur. Zimno od cegieł przedarło się przez grubą kurtkę. Danny skleił rozdarcie, które zrobił w zeszłym roku ojciec, szarpiąc go za rękaw. A teraz znowu będzie musiał to zrobić. Podczas upadku zaczepił o coś bokiem i połowa puchu wyleciała w powietrze. Zaspas osłabiła impet, z jakim uderzył w ziemię, ale przeciął sobie nadgarstek i skaleczył głowę.

Trzasnęły drzwi. Danny usłyszał tupot drobnych stóp i zaraz zobaczył Bridget, która biegła aleją z siłą małego odrzutowca. Rzuciła mu się na szyję, przyciskając go do muru.

- Danny, och, Danny! - krzyknęła.

- Hej, Bridey, spokojnie.

- Myślałam, wszyscy myśleliśmy ... - Rozpłakała się.

Danny trzymał ją, starając się odzyskać równowagę.

Musiał pomyśleć. Gliniarze w zamku naprawdę chcieli go złapać. Wiedział, że ma poważne kłopoty z powodu poważnych wykroczeń, z których większość faktycznie popełnił. Nielegalnie zamieszkiwał w zamku Belvedere, łamiąc przez to mnóstwo prz.episów obowiązujących w Central Parku oraz regulacji miejskich: Zawiódł zaufanie, jakim obdarzył go ojciec Penelope. Danny miał tylko nadzieję, że nie będzie obwiniał córki. No i jeszcze są te pieniądze, które zdaniem policji ukradł.

- Gdzie jest tata?

- W parku!

Danny potrząsnął głową, starając się zebrać myśli. O czym ona mówi?

- A co tam robi?

Bridey odsunęła się, patrząc na niego z niedowierzaniem.

- Szuka cię. Czeka, aż znajdą twoje ciało.

- Moje .co? - Wstrząśnięty Danny znowu musiał oprzeć się o ścianę.

- Myśla, że nie żyjesz. Ludzie widzieli, jak skoczyłeś z wieży tego zamku.

- Nie skoczyłem.

- Wiem. I tata też wie. Myśleliśmy, że spadłeś.

- Spadłem i wylądowałem w ogromnej miękkiej zaspie. Sam nie mogłem w to uwierzyć. Czułem uderzenie i myślałem, że już po mnie. Ale się wygramoliłem ...

- Twoja głowa ... - przerwała mu Bridey, dotykając rozcięcia. Danny skrzywił się bólu.

- Mam poważne kłopoty - powiedział szybko.

W głowie mu się kręciło od wiadomości, które usłyszał od siostry. - Myśla, że ukradłem tacie pieniądze. Widziałaś gazety? Musiałaś widzieć.

- Przykro mi z tego powodu - szepnęła Bridget.

- Dlaczego? Wiesz, że tego nie zrobiłem, prawda? I tata też wie? Powiedz, że tak.

- Myślę, że tata ... - Bridget urwała.

- No nie ... Bridey, on chyba nie myśli, że go okradłem? Nigdy bym tego nie zrobił!

- Tata myśli, że prowadzisz straszne życie na ulicy i potrzebowałeś pieniędzy na jedzenie - odparła drżącym głosem. - I tak by ci je dał, oboje byśmy ci dali. Tak bardzo cię kochamy.

Z rany na głowie znowu zaczęła sączyć się krew, krople kapały mu na oczy. Przycisnął do rany rękaw kurtki i poczuł na dłoni lepkie ciepło. Wiedział nie od dziś, że skóra na głowie jest bardzo ukrwiona.

Pamiętał, jak ojca przy szczepieniu drzew uderzył złamany konar podczas nagłej burzy. Nic jej nie zapo-

wiadało, w jednej chwili świeciło słońce i było spokojnie, w następnej zrobiło się ciemno i zaczął wiać porywisty wiatr. Gdyby to przewidzieli, może ojciec nie wdrapałby się na drzewo, ale Danny miał wtedy dopiero sześć lat i strasznie płakał na widok krwi płynącej z ojcowskiej głowy. Myślał, że tatuś umrze.

To wspomnienie było niczym kubeł zimnej wody. - Tata myśli, że nie żyję?

- Wszyscy tak myśleliśmy.

- Muszę go znaleźć - powiedział Danny, wspominając przerażenie, które ogarnęło go wiele lat temu, kiedy był przekonany, że ojciec umrze na jego oczach. - Zeby wiedział, że to nieprawda.

Chciał złapać siostrę za rękę, ale trafił na wypchaną poszewkę.

- Co to jest?

- Przyniosłam ci ciastka, jabłko, skarpety taty i inne potrzebne rzeczy. - Oczy Bridget połyskiwały w świetle ulicznych lamp.

Danny objął siostrę. Nie potrafił zebrać myśli. Bolała go głowa, przegub i posiniaczony lewy bok, przed oczami mu wirowało. Bridget płakała, a on wiedział, że płacze przez niego.

- Chodźmy - powiedział.

- Dokąd?

- Poszukać taty.

Na śnieg padł cień, w zaułku rozległy się kroki.

Danny przysłonił oczy, by zobaczyć, kto nadchodzi. Wzdrygnął się na myśl, że to może być policja. Mylił się. Nikt nic nie mówił. Danny zobaczył twarz i poczuł ramiona ojca, zamykające go w silnym uścisku.

Ojciec stał i kołysał syna w padającym śniegu.

Kiedy do Christy'ego dotarło, że jego syn żyje, wypuścił go z objęć i zrobił krok do tyłu, by się upewnić, że Danny naprawdę stoi obok niego. Czy Catherine widzi to samo? Widziała, promieniała wręcz radością. Skąd wiedziała? Jakim cudem Danny przeżył upadek?

- Zraniłeś się - powiedział do syna, dotykając jego głowy.

- Bardzo krwawi, tatusiu - wtrąciła Bridget.

- Przeciąłem sobie przegub na dachu - wyjaśnił Danny - i chyba zdarłem skórę z głowy na tej lodowej zaspie. Podarłem też kurtkę.

- Widziałem puch i krew - odparł Christy.

- I myślałeś, że leżę martwy w śniegu?

- Miałeś szczęście, Danny, ta zaspą była bardzo głęboka.

Uświadamiając sobie rozmiary tego cudu, Christy znowu przytulił syna. Nie obejmował go od roku, po raz ostatni w czasie tej strasznej bójki, kiedy Danny mu się wyrwał. A teraz stali tuż koło siebie. Christy nie potrafił w to uwierzyć: jego syn wrócił. Jeszcze wczoraj uciekł od niego, wskoczył do autobusu. Przed oczyma mignęła mu kasetka z pieniędzmi, ale nie był w stanie mówić o tym teraz. Spojrzał ponad głowę Danny'ego na Catherine, która oczy miała zamknięte, jakby dziękowała ze tę chwilę.

- Musimy zawieźć cię do lekarza - powiedział Christy.

- Nic mi nie jest.

- Twój ojciec ma rację - odezwała się Catherine.

Podeszła i serdecznym gestem dotknęła policzka chłopca; Christy nie miał wątpliwości, że oboje się znają i że Danny jej ufa. Serce mu topniało na ten widok. Oczy Catherine jaśniały, wypełnione tajemnicą i namysłem, przywodząc mu na myśl północne zatoki. - Jesteś ranny, Danny.

- To nic takiego, C. Tata kiedyś sto razy bardziej się zranił. Nigdy nie zwraca na to uwagi. Pamiętasz, tato, ten wypadek z konarem? Po tym, jak niź tak szybko się przesunął?

- Jedziemy do szpitala - powiedział Christy.

- Tato, pogoda zmieniła się błyskawicznie, nie było żadnych znaków ostrzegawczych. Zraniłeś się.

Myślałem, że umrzesz. Pamiętasz?

- Pogoda, jakie to teraz ma znaczenie? Ona po prostu jest. Chodźmy już, Danny ... - Christy wstrząsnął wyraz twarzy syna, który nie puszczał jego rękawa i uparcie stał w miejscu. Nagle żołądek mu się ścisnął. Czy o to chodziło? O pragnienie Danny'ego, by zgłębić tajniki pogody?

To była magiczna noc, Christy 'umysł miał wyostrzony. Chciał wiedzieć, co rozbiło jego rodzinę i co przyciąga jej członków na powrót do siebie. Chciał poznać Danny'ego.

- Codziennie ryzykujesz, tato. - Danny'emu głos drżał. - Tak to wygląda na tej górze z wiatrami, oblodzeniami, upałami i pożarami. Ktoś musi ci pomóc. I nie chodzi mi tylko o sadzenie i ścinanie.

- Musimy sobie wzajemnie pomagać! - krzyknęła nagle Bridget.

- Bridey - mitygował ją Danny.

- Nie możemy znowu się rozstawać! - Rzucając się ku bratu, wypuściła poszewkę, której do tej chwili Christy nawet nie zauważył. Kiedy poszewka spadła na ziemię, cała jej zawartość się rozsypała.

Serwetka pełna ciastek pani Quinn, czerniejące pokrojone jabłko, kilka par zwiniętych skarpetek i kasetka z pieniędzmi.

- To dla Danny'ego - łkała Bridget. - Nie mogłam znieść myśli, że jest tu sam, całkiem sam w tym wielkim mieście. Chodzi do jadłodajni, śpi byle gdzie. Chciałam, żeby był najedzony i bezpieczny.

- Słoneczko. - Poruszony do głębi Christy wyciągnął do niej rękę.

Cofnęła się. Miała dopiero dwanaście lat, ale moc emanująca z jej oczu przeszła go jak prąd.

- Przepraszam, tatusiu, nie powinnam była tego brać. Ale kocham mojego brata i zrobiłabym dla niego wszystko. Nie może z nami wrócić do domu. Musi tu zostać, bo chce być meteorologiem.

- Omówimy to ... - zaczął Christy.

- Danny - odezwała się Catherine, obejmując chłopca.

Christy także go podtrzymał, bo Danny zachwiał się niebezpiecznie. Wziął syna na rękę, tak jak to robił, gdy ten był małym dzieckiem. W głowie mu się kręciło, ziemia pod stopami kołysała, ale w tej chwili wiedział tylko, że musi zawieźć Danny'ego do szpitala.

## 14

- Założyliśmy mu szwy na głowie. Miał wstrząs mózgu - powiedział lekarz na izbie przyjęć szpitala Świętego Wincentego. - Niepokoi nas możliwość obrażeń wewnętrznych. Miał wielkie szczęście, że przeżył upadek z takiej wysokości.

- Jaki rodzaj obrażeń wewnętrznych? - zapytał Christy.

- Przeprowadzamy badania. Chcemy zatrzymać go na obserwację.

Christy uparcie nie ruszał się z miejsca. Teraz, kiedy jego syn wrócił, nie zamierzał opuścić go ani na chwilę. Policjanci zadali już swoje pytania, przed szpitalem kręcili się dziennikarze. Wydział do spraw nieletnich i opieka społeczna przysłały swoich ludzi. Mówili o zabranii dzieci, oskarżeniu Danny'ego o przestępstwa, może też o aresztowaniu Christy'ego za nie dopełnienie opieki rodzicielskiej.

Christy miał ochotę wejść do sali, w której leżał Danny, wziąć go na rękę i zanieść do domu. Musi zabrać go z Nowego Jorku, musi wyjechać z tego miasta, które jemu i całej rodzinie przysporzyło tyle kłopotów. Czuł się jak ranny jeleń: postrzelony, zapędzony w kąt, gotowy walczyć o wolność na śmierć i życie.

- Musisz go tu zostawić - powiedziała Catherine.

- Mówią o aresztowaniu go.

- Nie zaaresztują, Christy.

- Skąd wiesz? Chcą nas dopaść. Nie widzisz, jak ci gliniarze na mnie patrzą? Jakbym był najgorszym draniem na świecie. Syn ode mnie uciekł, córka musi kraść, żeby pomóc bratu ... - Urwał. Dlaczego Rip go nie przesłuchuje? Bo to nie jego rejon, nie jego jurysdykcja. Wszystko w Nowym Jorku podlegało zasadom, regulacjom, ograniczeniom tak bardzo obcym Christy'emu. Usta miał wysuszone, skórę drażliwą, wszystkie zmysły wyostrzone, czujne, w każdej chwili bowiem spodziewał się ataku.

- Wiem - odparła Catherine spokojnie. - On tylko spał w zamku. Niczego nie ukradł, nikomu nie zrobił krzywdy.

- Oni mówią ... - Christy urwał. Wiedział, że obecne wydarzenia nakładają się na zeszłoroczne, kiedy po bójce wysunięto przeciw niemu oskarżenie, a potem je cofnięto. Bardzo się bał, że prawo tak samo oceni jego syna i dojdzie do wniosku, że ma do czynienia z dwoma rozrabiakami z Kanady, którzy wywołują awantury na ulicach.

- Christy, teraz najważniejsze jest, żeby Danny miał jak najlepszą opiekę. Zostaw go w szpitalu.

- W takim razie zostanę z nim.

- Powinien pan iść do domu i przespać się - powiedział lekarz, który stał w pobliżu. - W nocy czeka go wiele badań.

- Zostaję - burknął Christy.

- Jak pan chce - odparł lekarz. - Nie mamy jeszcze wolnej sali na oddziale, więc zatrzymamy go tutaj. Pana zapraszam do poczekalni.

Dochodziła druga w nocy. Catherine była z Christym przez cały czas, tylko o północy poszła zadzwonić do Lizzie i poprosić ją, żeby przyjechała i zabrała Bridget. Christy widział łatwość, z jaką Catherine prosiła przyja-



ciólkę o pomoc, oraz gotowość, z jaką Lizzie i Lucy wstały w środku nocy. Pomyślał o córce krzyczącej: "Musimy sobie wzajemnie pomagać" i to wspomnienie rozdarło mu serce - poczuł się jak drzewo wyrwane z korzeniami. Bridget: jak to się stało, że nie zauważył jej udreki? Nigdy wcześniej nie widział jej w takim stanie, oszalałej z paniki, pragnącej za wszelką cenę połączyć rodzinę.

Christy spojrział na Catherine. Jej czyste szare oczy utkwione były w jego twarzy. Zamrugał i odwrócił wzrok. Był zdezorientowany wydarzeniami nocy, zachowaniem swoich dzieci i własnymi odczuciami. Straszliwa obawa, że miasto się wtrąci, odbierze mu dzieci, doprowadzała go na skraj szaleństwa.

Catherine, jakby domyślając się jego przerażenia, położyła mu dłoń na ramieniu. Poczuł, jak dreszcz wstrząsa jego ciałem. Pragnął tutaj, w jaskrawo oświetlonej szpitalnej poczekalni, przytulić ją mocno do siebie, tak jak zrobił parę dni temu. Dzisiejsza noc jednak była koszmarem, przez który musi przejść sam.

- Dziękuję ci za wszystko, ale teraz wracaj już do domu. - Głos mu się trząsał. Czy Catherine widzi, jak drżą mu dłonie? Pomimo pozorów opanowania i siły rozpadał się na drobne kawałki.

- Wszystko w porządku - odparła, widząc na wylot jego myśli. - Zostanę z tobą.

Usiłował złapać oddech.

- Ale dlaczego? Nic nie rozumiem. Czym dla ciebie jesteśmy? Zwykłymi hodowcami drzew z Kanady. Moje dzieci ... popatrz na moje dzieci. Z pytań, jakie zadają mi policjanci, od razu wiadomo, co o nas myślą. Danny uciekł, Bridget ukradła pieniądze. Muszę być bardzo złym człowiekiem.

Ale Catherine patrzyła na niego, jakby wcale tak o nim nie myślała. Jej przezroczyście oczy były poważne i spokojne jak tafla wody.

- Nie słuchałeś? - zapytała. - Danny chce zostać meteorologiem dla ciebie. Bo wie, jak niebezpieczna bywa pogoda. A Bridget wzięła pieniądze, żeby dać je Danny'emu. Wszystkim wam zależy wyłącznie na tym, żeby wzajemnie sobie pomóc. Musicie tylko znaleźć odpowiedni sposób.

- A jeśli odbiorą mi dzieci? - szepnął. - A jeśli rano tak zrobią?

- Nie zrobią. Nie pozwolimy im na to. My.

Christy wpatrywał się w nią. Pamiętał tamten wieczór w holu jej kamienicy. Kiedy trzymał ją w objęciach, wszystko inne zniknęło: fakty, realia, dzielące ich różnice. Czuł tylko, jak ziemia przechyliła się na swojej osi, jak oboje mkną przez wszechświat, czuł przy sobie jej ciało, serca bijące jednym rytmem. To wtedy czuł.

- Powiedz mi, dlaczego cię obchodzimy? Dlaczego teraz tu jesteś?

- Dlaczego zaprosiłeś mnie na sanki? Dlaczego zaufałeś mi i pozwoliłeś, żebym zabrała Bridget na zapalenie lampek? - odpowiedziała pytaniami. - Kto potrafi wyjaśnić związki między ludźmi? Czy w ogóle powinniśmy próbować?

Christy uważnie się jej przyjrzał. Coś się zmieniło od tamtego wieczoru w jej domu. Wtedy wydawała się krucha i bezbronna, odseparowana od siebie samej i świątecznej radości, nawiedzana przez ducha męża. Teraz z jej oczu zniknął smutek. Promieniowała, zdawała się żarliwa jak wojownik.

- Co się dzisiaj właściwie stało? - zapytał.

- Ty i Danny znowu się odnaleźliście.

- Nie, coś jeszcze. Widzę to w twoich oczach.

Rozejrzała się, ale w poczekalni było zbyt tłoczno, zdecydowała więc, że powstrzyma się od mówienia. Christy'emu żołądek się ścisnął, jakby spadł z drzewa.

- Jeśli to dotyczy Danny'ego, musisz mi powiedzieć.

- Powiem, ale nie tutaj.

Christy nie wiedział, co się z nim dzieje. Dzisiaj powinna być najszczęśliwsza noc w jego życiu. Danny wyszedł cało z katastrofy. Jego rodzina, przynajmniej na chwilę, znowu była razem. Obok miał Catherine. Jej bliskość i ciepło budziło w nim gorące dreszcze, sprawiało, że znowu pragnął wziąć ją w objęcia.

Ale serce mu waliło jak młotem, przy każdym uderzeniu napelniając go strachem. Christy był prostym farmerem. Kierowały nim dawny głód, owo "za mało" z dzieciństwa i pragnienie, by nakarmić rodzinę, poprowadzić dobrze farmę, wyhodować dość choinek, by nigdy nie zabrakło chleba na stole. Catherine natomiast składała się z wielu warstw. Była wyrafinowaną mieszkanką Manhattanu, jej zwyczaje i nawyki były dla niego równie tajemnicze jak zwyczaje panujące w Bizancjum. Przeraziło go, że mogła ukrywać jakieś informacje o jego synu.

- Lepiej już idź.

- Christy.

- Dość już dla nas zrobiłaś. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni. Nie myśl, że nie. *Ale* teraz dam sobie radę. Muszę. To moje dzieci i muszę o nie walczyć.
- Będę przy tobie.
- Ale to nie jest twoja walka - powiedział szorstko.

Otworzyła usta, jakby chciała zaprotestować, ale coś zauważyła, może bezgraniczną panikę i przerażenie w jego oczach. I zmieniła zdanie, pogodziła się z sytuacją. Chyba wiedziała, że bardziej by go zdenerwowała, gdyby została, takie Christy odniósł wrażenie. Z ociąganiem kiwnęła głową i pocałowała go w policzek. Skóra paliła go od dotyku jej ust i dłoni. Patrzył, jak odchodzi, i w myślach miał zamęt, jakiego dotąd nie doświadczył.

Przełknął ciężko. Znalazł jedno wolne krzesło w zatłoczonej sali. Ze wszystkich stron otaczali go ludzie z ranami, brzydkim kaszlem, urazami oka, chorymi niemowlętami, złamanymi kończynami. Niektórzy byli bezdomni, świadczyły o tym dziurawe buty i brudne okrycia. Jak zapłacą za opiekę medyczną? Jak zapłaciłby Danny, gdyby był sam?

Sam. W brzmieniu tego słowa było coś przerażającego. Sam, sam. Brzmiało jak dzwon pogrzebowy, jak pła-wa dzwonowa znacząca zdradzieckie wody. Christy powiódł wzrokiem po sali, spoglądając na wszystkich tych ludzi, którym nikt nie towarzyszył. W kącie stała sztuczna choinka, migając kolorowymi światełkami. Na ścianach wisiały wycięte z kartonu bałwany i świąteczne dropsy.

Christy utkwiał wzrok w choince. Wszystko w niej go denerwowało. Była sztuczna, zgięta po roku spędzonym w magazynie, z krzywymi gałęziami, i nie pachniała. Igły miała za długie i zbyt zielone. Tak bardzo się starała rozweselić swoim widokiem, ale na próżno. Była fałszywa. Christy też się tak czuł. Był złotoustym sprzedawcą, który przekonywał do kupna swoich choinek bogatych nowojorczyków.

Podczas gdy jego rodzina rozpadała się na kawałki. Spojrzał na sąsiednie krzesło. Nie było na nim Catherine. Nie znał własnych dzieci. Sam, sam, pomyślał, podczas gdy lampki na sztucznym drzewku nieprzerwanie migają.

Catherine złapała taksówkę i pojechała do domu. Zamknąwszy za sobą drzwi, pobiegła prosto do mansardowego pokoju. Był pusty, od okienka wiał lodowaty wiatr. Rozejrzała się bez strachu. Ona i Brian pożegnali się. Wiedziała, że mąż odszedł na dobre.

Brian miał do odbycia swoją podróż, Catherine swoją. Jej podróż rozpoczęła się dzisiaj, przy ratownikach pracujących w zamku Belvedere. Catherine przepchnęła się ku zaspie, bo musiała dotrzeć do Christy'ego. Kiedy zobaczyła białe piórka na śniegu, wiedziała; inni mogli myśleć, że to puch z kurtki Danny'ego, ale Catherine wiedziała, że zostawił je Brian.

To były pióra z archanielskich skrzydeł Briana.

W jakiś sposób Brian i jego miłość - ich miłość - przetrwała. I Catherine wiedziała, że nigdy nie umrze, będzie żyła. Frunęli przez noc, Brian przyprowadził ją do pokoju pod samym dachem ich domu, ponieważ tutaj zaznali wielkiej miłości. Tylko w taki sposób mogła wyjaśnić, dlaczego biegła za wiatrem, za błyskiem białych skrzydeł.

Zaczęła się wolno odwracać. Nagle pojęła, że to niemożliwe, by człowiek był gotów na minutę przed właściwą porą. Oglądała fotografie na ścianach, po kolei każdą zdejmując. Ona i Brian na plaży, na stadionie Jankesów, po ślubie ... na schodach kościoła Świętej Łucji.

Coś błysnęło. Co to było? Catherine знаła to zdjęcie na pamięć: uśmiech Briana, jego rozbawione oczy, radość na jej twarzy, sam kościół. Przyjrzała się dokładnie budynkowi, fasadzie z różowego piaskowca, witrażowym oknom, kwadratowej dzwonnicy. Całość przypominała jej średniowieczne kościoły, które zwiedzali w podróży poślubnej.

Zdawało się, że fotografia naładowana jest elektrycznością. Catherine myślała o tym, jak dzisiaj po raz pierwszy od trzech lat poszła do kościoła. Niemal widziała migoczące czerwone świece, gęsty dym kadzidła. Ukłękła przy małym bocznym ołtarzu, pod kochającym spojrzeniem samej świętej Łucji, a potem podążyła za głosem męża ku aromatycznemu obłokowi, pod trybularz zawieszony nad żłobkiem, tam gdzie mgła była najgęstsza.

Co to wszystko znaczyło? Woal oddzielający ludzi i anioły, zmarłych i żywych wydawał się taki cienki. Dlaczego po tylu latach oczekiwania na Briana w tym pokoju zobaczyła go właśnie w kościele? Czy chodziło o coś związanego z tym kościołem? A może znaczyło, że Catherine powinna opuścić dom, to cudowne miejsce, które stało się jej kryjówką? Tutaj uwięziła siebie we własnym żalu.

Z bijącym sercem studiowała fotografię. Nie każdej nocy zdarzają się cuda, takie jak wizyta Briana czy uratowanie Danny'ego. Zamknęła oczy i pomyślała o Dannym w szpitalu, Bridget w podwójnym łóżku

obok Lucy, Christym w poczekalni przy izbie przyjęć. Zastanawiała się, kto z nich zaśnie tej nocy, wszyscy przecież martwili się, co przyniesie jutro.

- Niech zdarzy się właściwa rzecz - pomodliła się cicho.

Pocałowała Briana, swojego oblubieńca, a potem powiesiła fotografię na ścianie. Wzięła głęboki oddech. Nie była smutna, przecież pożegnali się wcześniej po raz drugi, na zawsze. Podeszła do okna i spojrzała na ulicę. Co ludzie pomyślą, kiedy w przyszłości spojrzą w górę? Będ~ sobie wyobrażać, że mieszka tu szczęśliwa rodzina? Ze pokój mansardowy to pokój dziecinny?

Czy będą mieli rację?

Catherine nie mogła tego wiedzieć. Akt wiary nie był przejściem od punktu A do punktu B, lecz skokiem w ciemność, w nieznanne. Był zapaleniem lampy i przyzwaniem ducha męża. Był upadkiem z wysokiego drzewa przy silnym podmuchu wiatru, pragnieniem chłopca, by zostać meteorologiem. Był wspięciem się na zamkową wieżę i upadkiem w ramiona anioła. Świadomością, że losy rodziny się ważą, zależne od decyzji innych ludzi.

A dla Catherine był oczekiwaniem na to, co przyniesie czas, i to stanowiło największy ze wszystkich akt wiary.

Powiodła wzrokiem po pokoju. Wiedziała, że przyszła tu po raz ostatni, i czekała, aż ogarnie ją smutek. Ale to nie nastąpiło. Wręcz przeciwnie, napełniając wielką radość. Catherine czuła, że istnieje nadzieja. Była gotowa. Jej czas nadszedł.

Zamknęła drzwi na klucz i zeszła na dół, by czekać.

Znowu gazety pełne były historii Christy'ego Byrne'a i jego rodziny. W całym Nowym Jorku ludzie czytali opowieść o chłopcu, który przeżył upadek z wieży zamku Belvedere. Wszystkie elementy ułożyły się w całość: Daniel Byrne był synem handlarza choinek, Christophera Byrne'a z Pleasant Bay w Nowej Szkocji, którego dzień wcześniej okradziono.

Rodzina Byrne'ów co roku przyjeżdżała z najbardziej wysuniętego na północ zakątka Cape Breton do Nowego Jorku, by tutaj sprzedawać swoje drzewa. Chociaż Daniel cudem uniknął śmierci, saga jego rodziny pod wieloma względami była tragiczna. Daniel uciekł z domu i dołączył do armii ludzi ulicy. Jego siostra Bridget przyznała się do kradzieży kasetki ojca, zawierającej kilka tysięcy dolarów.

Opieka społeczna prowadziła śledztwo. Rozważano rodziny zastępcze dla obojga nastolatków. Przygotowywano oskarżenia: przeciwko Danielowi za liczne wykroczenia od wtargnięcia na cudzy teren począwszy, na kradzieży skończywszy, przeciwko ojcu za zaniedbanie obowiązków rodzicielskich oraz przypuszczalnie przeciwko Bridget za kradzież.

Sylvester Rheinbeck senior poprawił na nosie złote okulary i czytał uważnie każdy artykuł o młodym Danielu. Szczególną uwagę poświęcił fragmentowi z "New York Timesa", w którym napisano: "W tej opowieści o świątecznej radości i smutku zagubiło się zdjęcie kamiennych dzwonów. Policja bada możliwość, że Daniel Byrne w pewnym okresie zatrudniony był przez Rheinbeck Group w filantropijnym projekcie «Popatrz w górę». Rzecznik firmy zaprzecza istnieniu takiego związku".

Sylvester pokręcił głową. Tylko w czcigodnym i napszonym "Timesie" mogło znaleźć się stwierdzenie, że historia kamiennych dzwonów "zagubiła się". Było wręcz przeciwnie: zgodnie z plotkami krążącymi w firmie, którym Sylvester wierzył o wiele bardziej niż "Timesowi", dzwony stały się obsesją całego miasta. Niektórzy mówili o "cudzie dzwonów". Gdzie znajdują się te kamienne dzwony? Dlaczego chłopiec miał ich zdjęcie? Dzwony uratowały mu życie; dzwony naprawdę nie istniały; dzwony, dzwony, dzwony. Stawały się miejską legendą.

Miejskie legendy to rzecz naturalna dla Manhattanu. Cyrkowy koń, który uciekł z Madison Square Garden i popłynął do morza z chłopcem na grzbiecie. Kojot, który przywędrował z gór, przemknął na skrótówkami domów w Westchester i zamieszkał w Central Parku. Naturalnie aligatory w kanałach. Niektóre były prawdziwe, inne aż nazbyt fantastyczne. Zdjęcie kamiennych dzwonów i cud, dzięki któremu życie Danny'ego zostało uratowane, pasowały do reszty doskonale.

Kamienne dzwony stały się sławne. Sylvester czuł wielką satysfakcję, w końcu przecież o to mu chodziło. Zaraz jednak jego wzrok znowu padł na artykuł, w którym wspomniano o jego korporacji: "Rzecznik firmy zaprzecza istnieniu takiego związku".

Starzec westchnął i powiodł wzrokiem po swoim gabinecie, po licznych dyplomach i świadectwach, listach pochwalnych i fotografiach. Oto on, w czarnym krawacie, ściskający dłonie politykom różnej orientacji, od Henry'ego Kissingera do Hillary Rodham Clinton. Stojący ramię w ramię z każdym burmistrzem Nowego

Jorku: Johnem Lindsayem, Abe'em Beane'em, Edem Kochem, Davidem Dinkinsem, Rudym Giulianim, Mikiem Bloombergiem.

Całe życie poświęcił na zarabianie pieniędzy i służbę innym. Dziwne, pomyślał Sylvester, przyglądając się uważniej ścianie. Nie było na nim ani jednego zdjęcia przedstawiającego go z synem. W grupach, tak: na spotkaniach z klientami, współnikami w interesach, urzędnikami państwowymi. ..

Rozległo się pukanie do drzwi. Sylvester senior odwrócił się i zobaczył syna stojącego w progu.

- Dzień dobry - powiedział, gestem zapraszając go do środka. - Czytałeś gazety? Mam rację zakładając, że jesteś anonimowym "rzecznikiem firmy"?

- Tak. Zadzwonili z "Timesa" i porozmawiałem z nimi nieoficjalnie.

- Zaprzeczyłeś, że chłopiec zaangażowany był w nasz projekt, chociaż wiedziałeś, że prawda wygląda inaczej - ciągnął starzec przez ściśnięte gardło.

- Tak.

Sylvester senior zamknął oczy. Zysk za wszelką cenę.

Trzeba chronić firmę przed skandalem, chociaż życie młodego człowieka i przyszłość jego rodziny wiszą na włosku.

- Gdzie jest Catherine? - zapytał syn.

- Zostawiła mi wiadomość w poczcie głosowej. Nie przyjdzie dzisiaj do pracy. - Odchrząknął; był przekonany, że jej nieobecność ma związek z Dannym Byrne'em i jego bliskimi.

- Ten chłopiec ma poważne problemy - stwierdził Sylvester junior, z namysłem spoglądając na bryłę zamku Belvedere, wznoszącą się w środku parku. - Najwyraźniej korzystał z klucza, żeby tam wchodzić, kiedy miał na to ochotę. Nie wiadomo, skąd go wzięł. Przypuszcza się, że stróż kiedyś mu go dał i zapomniał odebrać. Chłopak zatrudnił się, podając fałszywe dane, oszukał zarząd parku.

- Są gorsze rzeczy - odparł ojciec.

- Przekonał Catherine, żeby pozwałała mu korzystać z biblioteki. Prowadził badania meteorologiczne. -

Ostatnie słowo wręcz wypluł, jakby źle smakowało.

- Czasami myślę, że gdybym był innym ojcem, może park interesowałby cię jako miejsce, w którym człowiek cieszy się chmurami, stacją meteorologiczną i jastrzębiami przelatującymi nad miastem.

- A także budującymi gniazda na balkonach, brudzącymi tynki i sprawiającymi wiele kłopotów zarządcom nieruchomości - dokończył syn. - Posłuchaj, ojcze. Catherine wykorzystywała fundusze firmy, żeby płacić temu chłopcu za zdjęcia, w tym to, które znaleziono w komnacie na wieży. Nie muszę dodawać, że on nie ma pojęcia o fotografowaniu.

- Robienie zdjęć jest aż tak trudne?

- Cóż, nasi udziałowcy powiedzą, że zawodowi fotografowie lepiej nadają się do tej pracy.

- Wycelować obiektyw, nacisnąć. Gotowe. Te zdjęcia są wyłącznie do celów archiwalnych - powiedział starzec. Miał poczucie klęski. Wczoraj modlił się z synem. Stali przyoknie i prosili Boga o łaskę dla Daniela Byrne'a. A dzisiaj wszystkie myśli Juniora znowu skupiały się na przypadkach marnotrawienia funduszy firmy.

- Tak, to prawda.

Zdumiony, że syn zgadza się z nim w tym punkcie, ojciec spojrział na niego znad okularów.

- Nikt nie musi wiedzieć, że wykonywał dla nas prace fotograficzne.

- Ale ...

- Na pewno nie media. Jeśli dowiedzą się o tym, znajdziemy się w trudnej sytuacji.

Starzec stracił panowanie nad sobą. Uderzył pięścią w biurko, kipiąc gniewem i rozpaczą. Jak to się stało, że on, filantrop i humanista, wychował takiego chciwego i samolubnego człowieka interesu?

- Wszystko stracimy? - zapytał gwałtownie.

- W jaki sposób? Wartość naszych akcji spadnie o jedną czwartą punktu i nie będzie się dało tego odrobić w ciągu godziny? Nasi udziałowcy poczują się urażeni faktem, że zatrudniliśmy i próbowaliśmy pomóc młodzieńcowi dążącemu do realizacji swoich marzeń?

- Niewykluczone. Ważniejsze jednak jest to, że oskarżą nas o wykorzystywanie wpływów.

- Oszalałeś, Sylwestrze? Czy na własnym łonie wyhodowałem Ebenezera Scrooge'a?

- Ojcze - zaczął spokojnie syn - zadzwoniłem do ratusza i zwróciłem się z prośbą. Właściwie wysunąłem sugestię. Wiadomość trafi w Qdpowiednie miejsca. Chociaż śledztwo zostanie doprowadzone do końca, ze względu na dobro dwojga nieletnich nikogo nie aresztują.

- Ale ... o czym ty mówisz?

- Nasze nazwisko jest coś warte w tym mieście, ojczu. Poprosiłem tylko o zrewanżowanie się za przysługę. Dlatego uważam, że najlepiej będzie, jeśli zachowamy w tajemnicy nasze zaangażowanie w sprawę. Ojca nie aresztują, dzieci też nie.

- Mówisz o sprawie Byrne'ów? Syn potaknął.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Twarz młodszego z Rheinbecków ściągnęła się zrzędlwym grymasem, jak zawsze gdy zastanawiał się nad wyrzuceniem kogoś z pracy, gdy ceny akcji gwałtownie spadały albo gdy na lunch podawano potrawy, których nie lubił. Teraz jednak ojciec z zaskoczeniem zobaczył w oczach syna łzy, które sprawiły, że wydał się łagodniejszy i niemal niewinny. Nagle ten bezwzględny prezes wyglądał jak dziesięcioletni chłopiec.

- Zrobiłem to dla ciebie.

- Dla mnie?

- Wszystko zaczęło się od tego, że ten chłopiec miał marzenie. Wiem, ile dla ciebie znaczą marzenia, ojczu. I wiedziałem, że chciałbyś, żeby ta rodzina miała dobre Boże Narodzenie.

Sylvester senior poczuł, jak serce przepelniają mu radość i wdzięczność. Wciąż widział syna jako małego chłopca. Wtedy nazywali go Chip.

- Och, synu.

Sylvester junior, mężczyzna w średnim wieku, łaknął ojcowskiej aprobaty. Tak jak tyle razy wcześniej ojciec widział to w jego oczach, patrzących błagalnie, oczekujących, że pójdą razem na szkolny mecz baseballa, na biwak, do planetarium, na hot doga, i ogarnęło go dawne poczucie wmy ..

- Ciągle myślałem o tym handlarzu drzew - ciągnął młodszy Rheinbeck. - W ubiegłe Boże Narodzenie tak strasznie pragnął zatrzymać syna, że nie dostrzegł jego marzenia. I zrozumiałem, że i ja byłem ślepy na twoje marzenie.

- Moje marzenie?

- Projekt "Popatrzcie w górę". Patrzcie na dobre rzeczy, ważne rzeczy. Ludzie muszą marzyć.

- To prawda - powiedział starzec łamiącym się głosem. - Bardzo się martwiłem, że cię zawiodłem. Ze nauczyłem cię wszystkiego o indeksie Dow Jones, za to nic o twoim własnym sercu. Teraz widzę, że się myliłem.

- To nie przychodzi mi łatwo - odparł syn z pokorą, jakiej ojciec jeszcze u niego nie widział. - Ale to, co się wczoraj zdarzyło, zmusiło mnie do zastanowienia się. Wesołych świąt, ojczu.

- Wesołych świąt, Chip - powiedział Sylvester senior, starając się przełknąć grudę w gardle.

## 15

Dni mijały, Christy sprzedawał choinki. Ludzie przyjeżdżali ze wszystkich pięciu dzielnic, nawet z dalszych okolic. Przyjeżdżali z New Jersey, Westchester, Long Island i Connecticut. Płacili mu najwyższe ceny i dawali napiwki. Chcieli mieć z nim zdjęcie. Pytali o Danny'ego. Najdziwniejsze było to, że stracił swój dar przekonywania. Nie miał nic do powiedzenia. Kupią choinkę albo nie, nic go to nie obchodziło. Pomimo okazywanej mu uwagi, pomimo portfeli, które tylko czekały na opróżnienie, Christy nic nie mówił.

Był jak jeden z mnichów w opactwie na Cape Breton, którzy złożyli śluby milczenia. Jakby zajrzeli głęboko w duszę i oniemieli na widok złożoności, którą tam zobaczyli. Tak odczuwał Christy. Życie syna zostało oszczędzone, syn do niego wrócił, przynajmniej na razie. Córka ukradła pieniądze rodziny - wolała to, niż poprosić ojca o pomoc dla brata.

Christy wiedział, że dzieci nie wątpią w jego miłość.

On też nie wątpił w ich miłość. Jakoś jednak tak skupił się na pracy, że chyba Bridget i Danny odnieśli wrażenie, iż wszystko ma pod kontrolą. Albo jak powiedziała Bridget, nie chcieli go niepokoić. Niewykluczone też, że dał im do zrozumienia, że nie chce, by zawracali mu głowę swoimi sprawami. Sprzedając choinki, zastanawiał się nad wszystkimi tymi możliwościami.

Catherine nie przychodziła. Christy obserwował i czekał. Podczas gdy mieszkańcy bogatych przedmieść mocowali choinki na dachach swoich range roverów, on patrzył na południe, w kierunku jej domu.

Gdzie jest Catherine? Wszystkie słowa, których nie mówił klientom, zdawały się gromadzić jak pnie drzewa w rzece i czekały na Catherine. O tak wiele rzeczy chciał ją zapytać, tak wiele chciał wyznać. Ona wszakże nie przychodziła.

Minęło kilka dni, nim sprawy zostały rozwiązane, zakończono śledztwo i wypełniono stosowne dokumenty. Po badaniach i analizie wyników Danny wrócił ze szpitala do pensjonatu pani Quinn, żeby odzyskać siły i spędzić czas z rodziną. Byrne'owie cieszyli się, ale był to niespokojny okres.

- Tatusiu, co teraz się stanie? - zapytała Bridget w Wigilię. Christy sprzedał wszystkie choinki, zamykając w ten sposób kolejny rok pracy. Skończyli kolację, zapadała noc. Nim się obejrzą, wybije północ, a po niej zacznie się Boże Narodzenie.

Christy spojrział na Danny'ego, który siedział w fotelu i przeglądał swoje zdjęcia. Policja zwróciła mu je po zakończeniu śledztwa.

- To zależy od twojego brata.

- Ale co z nami? - nalegała Bridget. - Czy wszyscy mamy kłopoty?

Christy popatrzył na córkę. Jak ma wyjaśnić dwunastolatce, że największy kłopot jest z nią? Co ją opętało, że ukradła kasetkę z pieniędzmi? Serce go bolało od chwili, kiedy zobaczył, jak kasetka wypada z poszewki. - Bridget, powiedz mi.

Zmarszczyła brwi ze zdziwienia.

- O czym?

- O wszystkim.

- Nie rozumiem.

Przez cały ten tydzień Danny niewiele się odzywał. Nie mówił o swoich planach ani o przyszłości, spał do późna, jakby chciał nadrobić ostatnie trzysta sześćdziesiąt pięć dni życia na ulicach Nowego Jorku.

Teraz jednak Christy widział, że rozmowa go zainteresowała, bo charakterystycznie przekrzywił głowę, jak zwykle kiedy udawał, że nie słucha.

- Powiedz mi, co chcesz na Boże Narodzenie?

- Tatusiu, jak możesz nawet o to pytać? Ciągłe nachodzi nas policja! Popełniłam przestępstwo, ukradłam nasze pieniądze. Chcę wiedzieć, czy pójdę do więzienia? - Nie pójdziesz, Bridget.

- A co z Dannym, tatusiu? Czy on pójdzie?

- Nie.

- A ty, tatusiu?

- Też nie. Miasto potraktowało mnie wyrozumiale, chociaż wszystko zawałam. Zaniedbałem swoje dzieci.

- Tatusiu, wcale nas nie zaniedbujesz - sprzeciwiła się Bridget.

Christy patrzył na nią. Miała oczy Mary, zielonobrazowe jak miękki mech porastający od północy sosnowe pnie. Przez ostatnie lata tak go pochłonęła ciężka praca i wychowywanie dzieci, że nie miał czasu na tęsknotę za żoną. Teraz jednak za nią tęsknił. Mary ze swoim zdrowym rozsądkiem wiedziałaby, jak to wszystko uporządkować. Była w tym doskonała, zawsze sprawiedliwie obwiniała sprawców. Bez jej wskazującego palca Christy musiał sam to zrobić.

- Mylisz się, moja kochana. Zaniedbałem was straszliwie. Martwiliście się, ale o niczym mi nie mówiliście. Wzięliście sprawy w swoje ręce. Co cię skłoniło do zabrania tych pieniędzy? Jakich sygnałów nie zauważyłem?

- Zrobiłam to dla Danny'ego - powiedziała żałośnie, spoglądając na brata z wielką miłością.

- To prawda i wiem o tym. Miałaś szlachetne motywy. Ale postąpiłaś źle.

- W szkole czytaliśmy o Robin Hoodzie.

- Robin Hood już dawno siedziałby w więzieniu na Rikers Island, gdyby teraz żył w Nowym Jorku. Nie myl wielkodus?ności z przestępstwem. Bridget, ludzie z opieki społecznej mówią, że potrzebujesz terapię.

- Tato, ona nie jest wariatką - odezwał się Danny.

- To wszystko moja wina. - Bridget wybuchnęła płaczem. - Zachowałam się jak szalona i zhańbiłam rodzinę, chociaż chciałam tylko pomóc Danny'emu.

- Nikt z nas nie oszalał - powiedział Christy.

W głowie mu jednak wirowało i sam miał wrażenie, że wariuje. - Wszyscy wiedzą, że chciałaś pomóc bratu.

- Czy zamkną mnie w zakładzie? Kazań mi zostać w Nowym Jorku, kiedy ty wrócisz do Kanady?

- Nie, pojedziesz ze mną, tylko muszę znaleźć terapeutę, który całą tę sprawę z tobą omówi. To może być trudne w Cape Breton, ale damy sobie radę.

- Niewykluczone, że w Ingonish jest jakiś specjalista - odezwał się Danny.

Christy spojrział na syna. Danny wydawał się całą uwagę skupiać na zdjęciach, ale słuchał, a to musiało coś oznaczać. Jedna z fotografii zsunęła się na podłogę. Christy poczuł ból w sercu, gdy zobaczył, że przedstawia kamiennego anioła. Praca, którą jego synowi zleciła Catherine; pilnowała, żeby przez cały rok miał coś do jedzenia, dając mu pieniądze w jedyny sposób możliwy do zaakceptowania przez Danny'ego - zatrudniając go.

Christy przeszedł przez pokój i podniósł fotografię.

Długo się jej przyglądał. Wydawało mu się, że dusza Catherine wзира z oblicza anioła. Niemal widział jej czyste szare oczy, udzielające mu wskazówek.

- Wracasz z nami do domu? - zapytał. - Zeby pomóc mi w opiece nad twoją siostrą?

Danny pokręcił głową.

- Jeszcze nie - powiedział niemal niedosłyszalnie.

- Co mówisz?

- Jeszcze nie - powtórzył głośnie.

- Pytałeś Bridget, co chce dostać na święta - powiedział Danny, prostując się na krześle i patrząc na ojca. -

Kilka minut temu. Pamiętasz?

- Tak.

- Ja przypuszczalnie na nic nie zasłużyłem, ale czy miałeś zamiar mnie o to samo zapytać?

Christy nie był przygotowany na bezpośredniość syna. Ten rok przeżyty samodzielnie uczynił z niego męż-  
czynę.

- Chcę wiedzieć, na czym ci zależy.

- Zależy mi na twoim zaufaniu, tato.

Christy zmarszczył brwi. Na zaufaniu? Miał wrażenie, że zsuwa się na krawędź wysokiej skały. Pragnął się zatrzymać, chwycić czegoś z całej siły, byle tylko nie spaść w nicość. Pomyślał o Catherine, o tym, co czuł, kiedy się dowiedział, że pomagała jego synowi, i zobaczył pod stopami przepaść.

- Chcę zostać tutaj - dodał Danny. - Nie na zawsze, tylko dopóki nie nauczę się tego, co jest mi po-  
trzebne.

- Potrzebne do czego?

- Chcę być meteorologiem. Widzę, z czym musisz się zmagać, tato. Hodujesz drzewa, walcząc z żywiołami. Tato, to jak walka z demonami. Masz przeciwko sobie burze, huragany, susze, i nie potrafisz ich powstrzymać. Jeśli jednak będziemy więcej wiedzieli o przewidywaniu pogody, będziesz miał łatwiej. Ty i inni hodowcy drzew.

- Danny. - Christy'emu serce się ścisnęło, jakby ręka Boga wyrwała mu je z piersi. - Chcę, żebyś był z nami, ze mną i Bridget. Jesteśmy rodziną.

- Myślisz, tato, że o tym nie wiem? Wiem bardzo dobrze. Dlatego muszę to zrobić. Robię to dla ciebie! -  
Tak, tatusiu - Bridget znowu zaczęła płakać.

- Dlaczego nie mogłeś wcześniej mi tego powiedzieć? - zapytał Christy. - W zeszłym roku, zanim to  
wszystko się stało? Czemu ze mną nie rozmawiałeś?

- Nie chciałem zawracać ci głowy.

- Zawracać mi głowy? - Christy'emu zabrakło tchu w piersiach, pomyślał, że zaraz dostanie ataku serca.

- Taki jestem okropny, że nie możesz ze mną rozmawiać? Nie wiesz, jak bardzo cię kocham?

- Kochasz nas oboje tak bardzo, że oddałbyś za nas życie - powiedział Danny. - Wychodzisz do pracy  
przed świtem, wracasz po zmroku. Po prostu nie masz czasu, tatusiu. Nie masz czasu na rozmowy. Nie  
chciałem cię prosić o pomoc w podjęciu decyzji, bo wiedziałem, że i tak to zrobię.

- Ale mogliśmy o tym porozmawiać - odezwał się Christy.

- Powiedziałbyś mi, że to niemożliwe.

I Christy sam zaczął płakać, bo syn miał rację. Kiedy ukochana osoba wybiera inną drogę, oddalając się  
od ciebie, to bardzo boli.

- Czy ty nigdy o niczym nie marzyłeś, tato? Nie miałeś pewności, że musisz postąpić w taki a nie inny  
sposób?

Christy zastanowił się nad pytaniem syna. W młodości głód nie pozwalał mu marzyć. Później skupił się  
na przejęciu farmy od ojca, na pracy, na dbaniu, by dzieciom nie zabrakło jedzenia, i nie miał czasu na  
marzenia. A mimo to ...

Fotografia anioła była pomiędzy nim a Dannym. Christy patrzył na nią przez łzy. Cóż za szaleństwo wy-  
prawiającego serce. Jeśli kiedykolwiek miał marzenie, pragnienie, to było nim właśnie to. Wiedział jednak,  
że nigdy się nie urzeczywistni. Danny miał większą szansę na zgłębienie wiedzy niezbędnej  
meteorologowi niż Christy na związek z kobietą taką jak Catherine.

- Tato?

- Może teraz mam marzenie.

- Musisz za nim podążyć - powiedział Danny.

- Sprawić, by stało się rzeczywistością - dodała Bridget.

Christy uniósł wzrok. Dzieci wpatrywały się w niego intensywnie. Drgnął. Czy znały jego marzenie? To niemożliwe. Czyżby był aż tak przezroczystry? Poczul, jak oblewa się jaskrawym rumieńcem.

- Widzisz te zdjęcia? - zapytał Danny.

- Tak.

- Ja je wszystkie zrobiłem - powiedział Danny z dumą.

- Są bardzo dobre. - Christy odzyskał panowanie nad sobą. - Jeśli nie wyjdzie ci z meteorologią, zawsze możesz zarabiać na życie jako fotograf.

- Tak, sam już o tym myślałem. Żeby mieć pieniądze na studia, wiesz? Teraz muszę zrobić listę dla Rheinbecków. Napisać, gdzie zrobiłem te zdjęcia. Pan Rheinbeck chce opublikować książkę, rozdawać ją w szkołach i chyba na rogach ulic. Chce skłonić nowojorczyków, żeby patrzyli w górę.

- I zobaczyli wszystkie cuda! - wykrzyknęła Bridget. Jej oczy płonęły miłością do brata.

- Tak, Bridey. W każdym razie mam wszystkie miejsca w głowie. Widzicie tego anioła? - Wskazał czarno-białe zdjęcie przedstawiające gładką rzeźbę, cienie w kamieniu, szeroko rozpostarte skrzydła, spokojne i w jakiś sposób ciepłe granitowe oczy.

- Tak - odparł Christy, wpatrując się w anioła i widząc Catherine.

- To posąg przy moście w Central Parku. A ten ... - ze stosu wygrzebał następnego anioła - ... jest wyrzeźbiony na kościele przy Lexington Avenue. Widzicie tego gargulca? To właściwie jest gryfon na portalu biurowca przy Wschodniej Czterdziestej Drugiej. A te demony - mówił, przerzucając fotografie - są wyrzeźbione w kamieniu przy wejściu do Mangia, restauracji na Zachodniej Pięćdziesiątej Siódmej. Te dzwony natomiast...

- Tajemnicze dzwony! - wykrzyknęła Bridget z podnieceniem, cytując niedawny nagłówek z "Daily News". Artykuł opowiadał o fotografii kamiennych dzwonów, którą Penelope ścisnęła w dłoniach, kiedy Danny spadł z dachu. Nic na jej temat nie chciała powiedzieć, podobnie jak Danny. Nikt nie wiedział, gdzie kamienne dzwony się znajdują.

Nowojorczyki ruszyli na poszukiwania. Miasto zawrzało, wypatrując dzwonów. Rheinbeckowi sprawiło to wielką satysfakcję, jego projekt "Popatrzcie w górę" rozkwitł bujnie, mimo iż przewodnik nie został jeszcze opublikowany. Ludzie ze wszystkich dzielnic unosili wzrok ku niebu, szukając na elewacjach kamiennych dzwonów.

Mieszkańcy Brooklynu byli przekonani, że dzwony wyrzeźbione zostały na kościele Łaski, Brooklińskiej Akademii Muzycznej, potężnych kamiennych filarach mostu Brooklińskiego albo mostu Williamsburg. Kobieta z Queens twierdziła, że zdjęcie zrobiono w krypcie na cmentarzu Flushing, tuż koło grobu jej rodziców.

Pewien młody jezuita z przekonaniem utrzymywał, że dzwony pochodzą z domu rekolekcyjnego Mount Manresa na Staten Island, i wierni, którzy przybyli tam na bożonarodzeniowe rekolekcje, wzmacniali się duchowo, spacerując po terenie i uważnie przepatrując wnętrze domu. I tylko pewien stary mądry ksiądz wiedział, że dzwonów tu nie ma. Widywał je, gdy dorastał w Chelsea.

Minnie Maguire z Bronksu przeszła całą długość Bainbridge Avenue, przekonana, że jeśli znajdzie dzwony, jej syn Desmond rzuci picie i uda się na leczenie.

Pewna para wypatrzyła pojedynczy dzwon wyrzeźbiony na granitowym łuku katedry Świętego Jana Ewangelisty. Poruszony tym odkryciem mężczyzna oświadczył się; były to bożonarodzeniowe zaręczyny zainspirowane dzwonami. Słuszne posunięcie, lecz nie ten dzwon.

- Powiesz nam, gdzie one są? - zapytała Bridget.

- Może - Danny przekornie się uśmiechnął.

Bridget rzuciła w niego poduszką.

- Mów natychmiast!

- Wolę zatrzymać to w tajemnicy.

- Musisz przynajmniej powiedzieć Catherine - stwierdziła Bridget. - Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiła.

- Tak - zgodził się Danny. - Zasluguje, żeby wiedzieć.

Christy czekał, obserwując spojrzenia, jakie rodzeństwo wymieniło. Uśmiech Danny'ego był zaraźliwy, teraz taki sam pojawił się na twarzy dziewczynki.

- Zasluguje - powiedziała.

- Tato, mógłbyś jej pokazać te dzwony - zaproponował Danny.

- Nie wiem, gdzie one są. - Poczul, że się czerwieni, kiedy zobaczył, jak jego dzieci uśmiechają się do



mego.

- Danny ci powie - wtrąciła Bridget.
- Jeśli jej pokażesz, powiem ci, gdzie są - potwierdził Danny.

I zrobił to.

## 16

W każde Boże Narodzenie Lizzie i Lucy przychodziły do Catherine na wystawny obiad. Zawsze wkładały najpiękniejsze suknie, biżuterię i kapelusze. Jadły ostrygi, kapłona, trufle owiniętą w bekon i upieczoną w kominku oraz ziemniaki puree. Na deser miały *bCtehe de Noel*. Przed śmiercią Briana umieszczały także gwiazdę na choince, otwierały prezenty i szły na pasterkę do Świętej Łucji.

W tym roku święta przyniosły nowe powody do radości. Przede wszystkim Lizzie była zachwycona nowym chłopakiem. Przez wszystkie te lata, w czasie których patrolował ulice Chelsea, Rip Collins pozornie nigdy nie oglądał się za Lizzie. W tym roku jednak musiał często zatrzymywać się przy stoisku Christy'ego i wreszcie zdobył się na odwagę: umówił się z nią na randkę.

- Przewiół mnie policyjnym wozem - oznajmiła Lucy z podnieceniem. - Pokazał mi, jak się ściga podejrzanego.

\_ Miejmy nadzieję, że ta umiejętność nigdy ci się nie przyda - powiedziała Lucy kpiąco.

- Gdzie jest dzisiaj? - zapytała Catherine.

- Na służbie - wyjaśniła Lucy. - Pilnuje, żeby święty Mikołaj był bezpieczny na naszych ulicach. Powiedział, że go zapuszkuje, jak zaparkuje sanie na drugiego.

- Myślę, że Mikołaj w Chelsea ma wyjątkowe względy - odparła Catherine z uśmiechem. - Wziąwszy pod uwagę, że tutaj stał się sławny. Pamiętasz te słowa z kolędy „Twas the night before Christmas” i tak dalej.

- I tak dalej - powtórzyła Lizzie.

Catherine cieszyła się, widząc przyjaciółkę szczęśliwą.

I wiedziała, że Lizzie tak samo myśli o niej. W tym roku w Catherine zaszła zmiana. Choć nie opowiedziała Lizzie o wizycie Briana, była przekonana, że przyjaciółka dostrzeże, że na duszy zrobiło jej się lżej.

- Czas iść do kościoła - powiedziała Lucy, patrząc na zegar na kominku. Było wpół do jedenastej, w pasterce udział wezmą tłumy, a one chciały mieć miejsca siedzące.

- Powinnyśmy się zbierać - przyznała Lizzie. - Idziesz z nami, Catherine?

Catherine zastanowiła się. Pragnęła pójść. W tym roku tyle się zmieniło. Choć jednak przestała obawiać się Bożego Narodzenia, nie zdążyła kupić choinki, tak więc nie mogły powiesić gwiazdy. I nie przygotowała zbyt wielu prezentów, tylko parę motków islandzkiej włóczki dla Lucy i srebrną bransoletę dla Lizzie. Wcześniej myślała, że pójdzie na pasterkę z przyjaciółkami, ale poczuła, jak serce się jej ściska, i pokręciła głową.

- Muszę tu zostać.

- Możemy do nich wpaść - powiedziała Lizzie, czytając jej w myślach.

- Do Byrne'ów? - zapytała Lucy.

- O nich myślisz, prawda, Catherine? - ciągnęła Lizzie.

Catherine potaknęła.

- Jutro wyjeżdżają. Myślałam, że może przyjdą się pożegnać.

- Ja będę pisała do Bridget - oznajmiła Lucy. - Ty też możesz pisać do Christy'ego.

- Pomocna sugestia, no nie? - mruknęła Lizzie, wkładając płaszcz i prowadząc córkę do drzwi.

Catherine zdobyła się na uśmiech. Wiara nie opuściła jej od tamtego wieczoru, gdy zamknęła na klucz mansardowy pokój.

- Myślałam, że może wpadnie - dodała.

- Ha, wesołych świąt - powiedziała Lizzie, patrząc w okno.

- O co chodzi? - zapytała Catherine. Przyjaciółka otworzyła szeroko drzwi. Na ganku stał Christy.

- Bałem się, że jest za późno - powiedział, zerkając na zegarek - ale zobaczyłem światło w oknie.

- Nie jest za późno - zapewniła go Lizzie. - Wesołych świąt, Christy!

- I nawzajem.

- Pozdrów od nas Bridget i Harry' ego! - dodała wesoło, chwytając córkę za rękę i zbiegając po schodach na ulicę.

Catherine z uśmiechem otworzyła szerzej drzwi.

- Wejdz, proszę.

Wyciągnął do niej rękę.

- Szczerze mówiąc, chciałem cię zapytać, czy pójdziesz ze mną?
- Teraz? - Zadrżała, bo przez otwarte drzwi wpadł lodowaty wiatr.
- Tak. Muszę ci coś pokazać.

Zawahała się, spoglądając w jego błyszczące niebieskie oczy. Uśmiechnęła się, bo wyczuła w nim podniecenie.

- Poczekaj, tylko wezmę płaszcz.

Od razu złapali taksówkę. Christy polecił kierowcy, żeby zawiózł ich na południowo-wschodni kraniec Central Parku. Siedzieli z Catherine na tylnym siedzeniu, niewiele się odzywając i nie mając nawet odwagi, by na siebie spojrzeć. Wszystkie słowa, które Christy pragnął jej powiedzieć, teraz mu umknęły. Był skrępowany, zagubiony w myślach. Do marzeń nie dołączono scenariusza. Może po to są poeci, pomyślał, poeci i autorzy piosenek. Z radia w taksówce płynęły kolędy.

- Jaka jest twoja ulubiona? - zapytał wreszcie, zdenerwowany. - Ulubiona?
- Kolęda. Którą najbardziej lubisz?
- Hmm, muszę się nad tym zastanowić. Lubię wiele. A ty?
- "Święta noc". - Christy wyjął z kieszeni fotografię dzwonów.
- Jedziemy do parku? - zapytała po chwili Catherine.
- Tak.

- Myślałam, że nigdy nie będziesz chciał tu wrócić po tym wypadku Danny'ego.

- Też tak myślałem. - Christy przypomniał sobie wydarzenia ostatnich dni, przerażenie wywołane faktem, że dostał się w tryby miejskiej biurokracji, i zadrżał. - Ale chyba czuwa nad nami anioł stróż. Danny czuje się dobrze. I jakimś cudem władze uznały, że nie jesteśmy przestępcami.

Catherine uśmiechnęła się i Christy nie mógł oderwać od niej oczu. Pragnął tylko patrzeć na jej twarz, oświetloną miejskimi światłami wpadającymi przez okna taksówki.

Na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy Christy zapłacił taksówkarzowi i wszyscy życzyli sobie wesołych świąt. Ulica była śliska od lodu i śniegu, Christy ujął więc Catherine za rękę. Pomógł jej przejść przez zwały śniegu, ale ona nie wypuściła jego dłoni, kiedy już weszli na oczyszczony chodnik.

- Wiesz, dokąd idziemy? - zapytał, prowadząc ją do parku.

- Mam pewien pomysł - odparła, spoglądając na zdjęcie, które trzymał w drugiej ręce. - Chcesz mi pokazać dzwony? To tu Danny zrobił to zdjęcie?

- Zobaczysz.

Szli pod pięknymi żeliwnymi lampami, które rzucały pomarańczowożółte światło. Staw był zamrznięty, otoczony lśniąco od śniegu krzewami. Wokół siebie nie widzieli żadnej żywej istoty, bo mróz był za wielki dla zwierząt i ludzi. Christy miał wrażenie, że kroczą przez dzicz, że są zupełnie sami na całym świecie. Okrążyli staw i doszli do pięknego mostu.

Zbudowany z kamienia, wznosił się łukiem nad wąskim północnym krańcem stawu. Trzymając się za ręce, weszli na most i rozejrzeli się dokoła. Światło drapaczy chmur tańczyło na lodzie. Catherine wskazała jeden z najwyższych budynków.

- Tam wysoko jest moja biblioteka - powiedziała.

- Patrzę na ten most codziennie.

- Naprawdę? - Christy zastanawiał się, które okno należy do biblioteki.

Potaknęła. Ich oddechy zamieniały się w obłoki srebrnej pary, tulili się do siebie dla rozgrzewki. Jej dotyk sprawił, że Christy w środku cały drżał.

- Tak. To most Gapstow.

- A widziałaś ją? - zapytał, wskazując posąg, który stał naprzeciw, ukryty w cieniu lasu. Sam nigdy wcześniej go nie widział, ale Danny udzielił mu szczegółowych wskazówek.

Catherine wyteńczyła wzrok.

- Anioł - powiedziała, schodząc z mostu na drugą stronę. Z miejsca gdzie stali, posąg zasłaniały drzewa. - Nawet nie wiedziałam, że tu jest. - Przyglądając się uważnie, dotknęła złożonych skrzydeł, czoła, łagodnie uśmiechniętych ust.

- Jest piękna - powiedział Christy, patrząc na Catherine.

- Myślisz, że to kobieta?

Potaknął. Z walącym sercem objął Catherine. Ich oczy spotkały się i pojaśniały. Trzymając ją w ramionach, poczuł spokój. Pragnął mieć ją przy sobie, blisko, innego rozwiązania nie było. .

- Ona to ty - wskazała anioła. - Od chwili kiedy Danny pokazał mi zdjęcie, tylko o tym myślałem. Ona wygląda jak Catherine.

Pokręciła głową, ale ją pocałował, tak by nie mogła dalej zaprzeczać. Jak może to robić? Tak bardzo się boi zmarnować tę szansę, a równocześnie czuje, że musi spróbować natychmiast.

Po niebie przesunęły się chmury. Pośród nich gwiazdy płonęły tak jasno, jakby stali na ciemnym zboczu góry w Nowej Szkocji, a nie tutaj, w samym środku Manhattanu otoczonego światłami miasta. Christy wciągnął w powietrze mroźne powietrze, uspokoił się. Catherine patrzyła na niego i wiedział, że życie to wieczna pogoń za marzeniami, a on swoje marzenie wreszcie odnalazł.

- Catherine Tierney - powiedział, tuląc ją do siebie.

- Christy Byrne.

- Jesteś moim aniołem. - Nie śmiał się rozejrzeć, przekonany, że posagu nie będzie, skoro on trzyma anioła w ramionach.

- Bałam się, że uważasz mnie za jego przeciwieństwo, bo nie mówiłam ci o Danny' - odparła z uśmiechem.

- Pomogłaś mi, kiedy ja nie potrafiłem. Musiało minąć trochę czasu, nim to zrozumiałem.

Catherine pokiwała głową. Zadrzała, lodowaty wiatr powiał przez park, nad łąkami i stawem, przypominając Christy'emu, że Wigilia mija, a on musi pokazać jej inne mleJsa.

- Czy dzwony są tutaj? - zapytała. - Koło kamiennego anioła?

Nie wypuszczał jej z objęć, żeby nie zmarła.

- Nie, ale najpierw musiałem przyprowadzić cię tutaj. Żebym mógł ci pokazać, co czuję. To nie jest dla mnie łatwe. Słów używałem do sprzedaży choinek. Żeby zarobić mnóstwo pieniędzy na przechodzących obok nowojorczykach. "To świerk srebrzysty, obsypany światłem gwiazd", tak mówiłem. Albo: "Do tej jodły Prasera nie trzeba lamety, w jej gałęziach świeci się zorza polarna".

Catherine roześmiała się, słuchając, jak zachwala towar.

- Ale te słowa nic nie znaczą - powiedział.

- Słyszałam, jak mówisz inne rzeczy.

- Ale nie takie, jakie próbuję powiedzieć ci teraz. Brakuje mi słów na to, co czuję, Catherine. Zadne nie wydają się odpowiednie.

Spojrzała na niego, jakby chciała, żeby spróbował.

Pocałował ją więc i tym razem poczuł, że jej serce bije tak samo mocno jak jego.

- Danny doskonale odczytał ducha waszego projektu, kiedy robił te zdjęcia - powiedział.

- Skłonić ludzi, żeby popatrzeni w górę. Mój szef jest mu bardzo wdzięczny. W mieście panuje gorączka. Każdy chce wiedzieć, gdzie sfotografował te dzwony.

- Ty też?

- Oczywiście.

Wokół nich wznosiło się miasto, miliony oświetlonych okien, za którymi poruszali się ludzie. Było to ogromnie romantyczne i Christy wiedział, że stał się jednym z tych, którzy przybyli do Nowego Jorku z nadzieją, że ich marzenia staną się prawdą.

- Więc ci pokażę. - Ujął Catherine za rękę i poprowadził przez most Gapstow.

Chodniki zatłoczone były rozbawionymi ludźmi wracającymi do domu, idącymi do kościoła albo spacerującymi tylko dlatego, że jest Boże Narodzenie. Catherine i Christy minęli kilka przecznic, dopiero pod hotelem Plaza na Piątej Alei zobaczyli taksówkę, z której ktoś wysiadał, i skorzystali z okazji.

- Skąd jesteście? - zapytał kierowca, zerkając we wsteczne lusterko. - Nie z miasta?

- Jesteśmy z Chelsea - odparł Christy. Roześmiała się, od jego poufalego tonu poczuła mrowienie. Kierowca wciąż im się przyglądał.

- Hej, pan jest tym handlarzem choinek. Mam rację?

Christy go zignorował, całował Catherine w szyję,

puliczek, kącik ust. Drżała, tuląc się do niego. - Co u pańskiego syna? Lepiej się czuje?

Odpowiedziało mu milczenie.

- Pan jest ojcem tego chłopaka, co się pośliznął i spadł z zamku? Jak on się czuje?

- Doskonale - odparł wreszcie Christy, choć Catherine widziała, że taksówkarz go zdenerwował. Ujęła jego dłoń i ścisnęła, a on spojrzał na nią z wdzięcznością. Wcześniej powiedział, że przypomina mu anioła. Catherine zamknęła oczy, myśląc o prawdziwym aniele, który w tym tygodniu odwiedził Nowy Jork, i

zastanawiając się, co jeszcze się wydarzy.

- Musi mi pan coś powiedzieć - mówił kierowca.

- Tak? A co?

- Musi mi pan powiedzieć, gdzie są te cholerne dzwony?

Catherine z uśmiechem patrzyła w okno. Sama nie wierzyła, że aż tak jest podekscytowana, bo za chwilę będzie wiedziała. Jak wszystkich nowojorczyków, ją też zauroczyła legenda o Dannym, który mieszkał w zamku Belvedere, mając przy sobie niewiele więcej poza aparatem fotograficznym i czarno-białą fotografią kamiennych dzwonów.

- Na pewno panu powiedział, co? - nalegał taksówkarz.

- To tajemnica - odparł Christy. - Nie chciałbym panu psuć przyjemności szukania.

- Dajże pan spokój! Jest Wigilia, a pan robi w tej branży, sprzedaje pan Boże Narodzenie! Zarabia pan na choinkach. A gdybym podkreślił radio i wprowadził pana w świąteczny nastrój, co? Pan też stosował tę sztuczkę, no nie? Zrobię to teraz i pan mi powie, dobra?

- Jaką sztuczkę? - zapytał Christy.

- No, przecież pan wie. Stare kolędy, które działają na przechodniów. Po to wszyscy zapalają lampki. Po to są dekoracje świąteczne w oknach wystawowych sklepów. Zeby ludzi wprawić w odpowiedni nastrój i skłonić do kupowania. Po to stoi ta cholerna choinka w Rockefeller Center!

- Sam tak wcześniej myślałem - powiedział Christy.

- No, niech pan mówi. Jest pan w nastroju do dawania. Powie mi pan coś, o czym nikt inny w całym Nowym Jorku nie wie, ja sprzedam to "Postowi" i podzielimy się zyskiem. Niech go pani przekona!

- Nie sądzę, by łatwo go było przekonać - odparła Catherine.

Kiedy zatrzymali się u celu, na rogu Dziesiątej Alei i Dwudziestej Trzeciej Ulicy, Christy dał taksówkarzowi dwudziesto dolarowy banknot.

- Reszta dla pana.

- Więc pana nastrój dotyczy napiwków, tak? - zachichotał kierowca. - Lepsze to niż rozwiązanie tajemnicy dzwonów. Dzięki, stary.

- Wesołych świąt - powiedział Christy i uśmiechnął się do Catherine. - Gotowa?

- Tak.

Światła w restauracji Empire Diner płonęły, rozpraszając mrok na Dziesiątej Alei. Znowu zaczął padać śnieg, wielkie płatki zasłaniały woalem niebo i jasne okna mieszkań. Catherine zadrżała, choć nie z zimna. Christy objął ją i poszli na południe.

- To kiedyś było gospodarstwo - powiedziała Catherine, kiedy mijali St. Nicholas Park, skwer wielkości znaczka pocztowego. - Cała ta ziemia należała do Clementa Clarka Moore'a.

- Trudno to sobie wyobrazić. - Christy powiódł wzrokiem po budynkach. Ciekawe, czy myśli o własnej ziemi, pomyślała Catherine. Jak tam jest? Jak wygląda nocne niebo bez wszystkich tych miejskich świateł, jak wysoko rosną drzewa, czy z domu widać morze?

- Mieszkasz tak daleko stąd - powiedziała.

- Wiem.

- I jutro wracasz do domu.

Nie odpowiedział. Serce skakało jej w piersiach

- Danny postanowił, że zostaje - powiedział wreszcie Christy. - Nie wiem, co będzie, ale pani Quinn zaproponowała mu pokój, jeśli będzie pomagał Johnowi w sklepie. Danny jest przekonany, że będzie mógł dostać stypendium w college'u.

Catherine słuchała uważnie. Nie wątpiła, że Rheinbeck - a ściślej, obaj Rheinbeckowie - w miarę swoich możliwości otoczą Danny'ego opieką. Teraz jednak obchodziły ją plany kogoś innego.

- A ty, Christy? Myślałeś, żeby tu zostać?

Objął ją mocniej. Szli na południe w coraz gęściej padającym śniegu, który utrudniał widoczność. Catherine zadała pytanie tonem niemal swobodnym, choć była roztrzęsiona. Jak mogłby wyjechać? Zrezygnować z daru, który oboje otrzymali? Obejmując się, szli przez śnieg. Jak mogliby się rozstać?

Nagle spojrzała przed siebie i zobaczyła kościół Świętej Łucji. Ludzie wciąż napływali; zerknęła na zegarek - dochodziła północ. Gardło jej się ścisnęło na myśl o tym, co wydarzyło się w kościele ledwo tydzień temu. Brian wrócił... tej nocy, kiedy Danny o włos uniknął śmierci.

- Dlaczego tu jesteśmy? - zapytała, patrząc na Christy'ego.

Jego oczy poruszyły ją, były błękitne, wypełnione ogniem.

Catherine zadrżała i ujęła go za rękę. Nagle ogarnął ją strach, jakby świat zaczął coraz szybciej wirować. Powiał wiatr od północy, przytuliła się mocniej do Christy'ego.

- Dlaczego tu przyszliśmy? - zapytała znowu.

- Nie wiesz?

- W kościele są Lizzie i Lucy. Tutaj odbyły się najważniejsze uroczystości w moim życiu. Tutaj ... - Mów dalej - ponaglił ją Christy.

- Tutaj pożegnałam się z przeszłością - szepnęła Catherine.

- Musiałas to zrobić - odparł, przytulając ją mocniej - bo czeka na ciebie przyszłość. - Znowu się pocałowali, nie zważając na wiernych za ich plecami wchodzących do kościoła. W kwadratowej dzwonnicy zaczęły bić dzwony.

- Nie odpowiedziałeś mi - szepnęła. Północny wiatr rozwiał jej włosy. - Myślałeś kiedyś, żeby tu zostać?

- Mam tam gospodarstwo. A ty myślałaś kiedyś o Nowej Szkocji?

- Brzmi pięknie.

- Chciałbym ci ją pokazać. Pojedziesz z nami?

- Chcę pojechać.

- Więc jedź.

- Mam pracę ... - zaczęła.

- Nasze spotkanie było cudem. Nie czujesz tego?

- Wiem. - Krew dudniła jej w żyłach. Rzeczywiście wiedziała. Jej serce zamknięte na głucho otworzył ten mężczyzna i jego rodzina. Poszła za duchem, widziała anielskie pióra na śniegu, pożegnała się ze swoją żalobą.

- Trzeba cię przekonywać? - Christy dotknął jej policzka. - To nic złego, jeśli tak. - Przekonywać?

- Pamiętaj, po co tu przyszliśmy.

- Po co, Christy? - zapytała, bo w środku zamieci szalejącej w jej sercu i na ulicy zupełnie zapomniała. Jego błękitne oczy patrzyły na nią z taką mocą, że mogłaby się przestraszyć, gdyby nie była urzeczona.

- Popatrz w górę - odparł Christy.

Nie musiał nawet wskazywać. Catherine przekrzywiła głowę i głośno westchnęła. Oto one: kamienne dzwony.

Czasami rzeczy najbardziej znajome są najbardziej obce. Ile razy wchodziła przez te drzwi? Wniesiono ją do kościoła jako niemowlę, bywała tu jako dziecko, weszła radośnie jako panna młoda i chwiejnym krokiem jako wdowa. Dzwony przez cały czas tu były.

- Danny.

- Powiedział mi, że kiedy dałaś mu aparat, najpierw przyszedł tutaj, do Chelsea, gdzie po raz ostatni widział mnie i Bridget - mówił Christy. - To mu o nas przypominało, tutaj czuł się bliżej domu. Spojrzał na kościół i zobaczył mnóstwo interesujących rzeczy do sfotografowania.

- Przechodziłam przez te drzwi tysiące razy. Musiałam widzieć je wcześniej, ale nie pamiętam.

- Twój szef jest mądrym człowiekiem. Dobrze wie, czego ludziom potrzeba.

Catherine zgadzała się z nim. Przymknęła oczy, czując wiatr na twarzy. Tak wiele piękna otacza nas w każdej chwili, pomyślała.

- Sądźmy, że wszystko już wcześniej widzieliśmy, że znamy to na pamięć.

- Ale zapominamy - odparł Christy. - Tak łatwo jest zapomnieć.

- Albo wcale nie patrzeć - uzupełniła Catherine.

- Przyrzeknijmy sobie, że nigdy nie zapomnimy patrzeć - powiedział Christy; oczy mu płonęły jak zorza polarna.

- **Będę** ci przypominała, obiecuję.

Pocałowali się, a potem znowu unieśli wzrok. W świetle gwiazd przytłumionym śniegiem różowy piaskowiec wydawał się płonąć od środka, przez okna padało błękitne światło. Ale to kamienne dzwony przyciągały uwagę Catherine: przysypane płatkami śniegu, pokryte lodem wyglądały jak zrobione ze srebra.

Światła miasta połyskiwały na ulicy, chodnikach, kamiennych murach, srebrnych dzwonach, okrywały poświęcą Christy'ego Byrne'a i Catherine Tierney, handlarza choinek z dalekiej północy i bibliotekarkę z wielkiego miasta.

Śnieg padał i w mroku rozbrzmiewało bicie dzwonów.

